


**PODWÓJNY
NUMER**



**Urban do
Daniszewskiej**
str. 16



RĄBANKA POWYBORCZA

♦ Sondáže: CBOS, IPSOS dla „More in Common”, Pollster dla „Super Expressu”. PiS – 30 proc. do 33,1 proc.; PO – 26 proc. do 31,3 proc.; Trzecia Droga – 13 proc. do 16,95 proc.; Lewica – 8,37 proc. do 10 proc.; Konfederacja – 6,7 proc. do 9 proc. Inny sondaż IPSOS przynosi radosną wiadomość: 57 proc. Polaków opowiada się za prawem do aborcji „z ważnych dla kobiety przyczyn osobistych bez ich podawania” – co jest skądinąd bardzo udatnym sformułowaniem zastępującym nie-szczęsną „aborcję na życzenie” – z czego 38 proc. – do 12. tygodnia ciąży, a 19 proc. – do 24. tygodnia ciąży. 35 proc. mówi o aborcji „tylko w ściśle określonych przez prawo przypadkach”, co pewnie oznacza stan sprzed wyroku trybunału Przyłębskiej. Zaledwie 9 proc. uważa, że przerywanie ciąży powinno być w ogóle zabronione.

♦ I nie jest to jedyna zła wiadomość dla PiS. SW Research dla „Rzeczpospolitej” zbadało, kiedy Kaczyński wróci do władzy. 12 proc. ankietowanych uważa, że jeszcze w tej kadencji, nieco ponad 20 proc. – że w przyszłej, kolejne 12 proc. – że najwcześniej za osiem lat. 38,6 proc. Polaków orzekło optymistycznie, że nigdy. Z kolei United Surveys w imieniu RMF FM i „Dziennika Gazety Prawnej” zapytał, kto powinien kandydować na prezydenta. Ankietowani mogli wskazać tylko jednego polityka i 24,5 proc. wskazało Rafała Trzaskowskiego, 11,9 proc. – Szymona Hołownię, 9,9 proc. – Mateusza Morawieckiego, 2,7 proc. – Adriana Zandberga, a 2,6 proc. – Mariusza Błaszczaka. A jeszcze w lutym tego roku Błaszczak wy-dawał się kandydatem na czarnego konia PiS z ponad 30 proc. poparcia. To mógłby być moment, w którym zażęsknilibyśmy za intelektualnym wyrafinowaniem Andrzeja Dudy.

♦ Donald Tusk pojechał do Brukseli i obcałował wszystkich dawno niewidzianych znajomych, którzy w nagrodę wręczyli mu czek na 5 mld euro, choć PiS mówi, że czek był dawno obiecany i całowanie nie miało na to żadnego wpływu. Kancelaria Premiera powiesiła na platformie X tiktokowy filmik, na którym jej nowy człowiek w Brukseli Piotr Serafin galopem niesie dokumenty potrzebne do uruchomienia wypłat, żeby zdążyć przed końcem pracy. Tytuł postu: „Biegiem po pieniądze z KPO dla Polski!”. Ambasador Serafin jest szczupły i długonogi i nawet się nie zadyszał, wbiegając po schodach.

♦ Nowy rząd dziarsko przystąpił do pracy. Praca, jak się zdaje, polega obecnie głównie na uwalnianiu stanowisk, choć trudno nie zauważyć, że stanowiska, które poszły na pierwszy ogień, stanowczo wymagają uwolnienia. Barbara Nowacka swoją pierwszą głośną decyzją odwołała Barbarę Nowak. „Średniowiecze właśnie się skończyło” – orzekła nowa minister, na co odwołana krakowska kuratorka zareagowała ciętą ripostą: „Średniowiecze było wspaniałą epoką budowania katedr i uniwersytetów”. Oraz palenia na stosach tych, których papizm nie chciał widzieć w katedrach i na uniwersytetach. Wywalenie z pracy, nawet ogłoszone na konferencji prasowej, można w tym kontekście uznać za potraktowanie zgola dobrotliwe.

♦ Donald Tusk odwołał szefów wszystkich pięciu służb specjalnych: ABW, AW, CBA, SKW i SWW. Pewien problem jest z szefem CBA, którego kadencja, zgodnie z ustawą, upływa w maju przyszłego roku. Wprawdzie nowa władza chce CBA zlikwidować, ale do tego potrzebna jest ustawa, którą podpisać musiałby prezydent, którego kadencja upływa jeszcze później. Na pocieszenie Tusk obiecał odwołanie Kurskiego z Waszyngtonu z Rady Dyrektorów Wykonawczych Banku Światowego. To wszakże będzie oznaczało powrót Kurskiego do polskiej polityki. Nie jesteśmy pewni, czy jest się z czego cieszyć.

♦ Nowy minister obrony rozwiązał podkomisję Macierewicza i kazał jej zdać sprzęt oraz dokumenty. Antoni Macierewicz początkowo mówił, że nie odda, zwołał nawet posiedzenie rozwiązanej podkomisji i doniósł na Kosiniaka-Kamysza do prokuratury, że „oskarża polskich pilotów, polskie wojsko, a usprawiedliwia zbrodniarza rosyjskiego pana Putina”. W końcu jednak bez oporu wyszedł z budynku, wyraźnie pociesząc się myślą, że „dokumenty są w sejfach, a on ma klucze”. Oznaczać to będzie zapewne konieczność prucia sejfów, co wiąże się z kosztami, ale w porównaniu z 31 mln zł, które podkomisja kosztowała budżet państwa, to przecież drobne. Dodając krzywdę do zniewagi, Kosiniak-Kamysz zabrał Macierewiczowi ochronę żandarmerii i samochód z kierowcą, które – jak się okazało – miał od pięciu lat.

♦ Marszałek Hołownia, dotychczas grający w orkiestrze postępu, niepostrzeżenie przesuwając się na bardziej tradycyjne pozycje, choć stara się to robić tak, żeby być za, a nawet przeciw. Z dumą ogłosił, że jest za związkami partnerskimi. „Ja nie mogę kazać ludziom ganiać z aktami notarialnymi do szpitala, gdy umiera ich partner” – wyjaśnił cokolwiek egocentrycznie, ale zaraz dodał, że nie zgadza się na małżeństwa jedнопłciowe. Oburzył się na „haniaebny wyrok TK” w sprawie aborcji, ale szybko dorzucił, że jest za powrotem do „kompromisu aborcyjnego”. O Bronisławie Geremku mówiono kiedyś w sejmie, że jak stoi na schodach w holu głównym, to nie wiadomo, czy wchodzi, czy schodzi. Panie marszałku, niech pan nie idzie tą drogą.

♦ Po gąsnicowym wybuchu Grzegorza Brauna w sejmie odbyła się rekonstrukcja zapalenia świec chanukowych, tym razem bez Brauna, za to z udziałem prezydenta RP oraz marszałków sejmu i senatu. Przewodniczący Chabad-Lubawicz w Polsce rabin Szalom Dow Ber Stambler zgodnie z tradycją uświetnił uroczystość śpiewem a capella, do którego najwyraźniej nie ma predyspozycji. Czego by nie mówić o pierwszej, drugiej oraz trzeciej osobie w państwie, udało im się utrzymać na twarzach wyraz uprzejmego zainteresowania, co dowodzi, że polska klasa polityczna ma niejaki kompetencje dyplomatyczne.

Z URNY URBANA

Skoro nadchodzą święta, to przypominamy felieton Urbana ze świątecznego numeru z 2015 r.

Wśród głośnej ciszy

Jezus Chrystus nie obchodzi moich urodzin, co zwalnia mnie od okazywania wzajemności. Jest ona jednak oczekiwana pomimo tego, że od chrześcijańskiego mesjasza na Urbanowe happy birthday nie dostaję życzeń ani prezentów. Boże Narodzenie, dalej nazywane BN, to bowiem jedyne święto narodowe wszystkich obywateli Rzeczpospolitej. Wielkanoc ma charakter drugorzędny, a 11 Listopada świętują tylko władze, wojsko i faszyci.

Ateści, postkomuniści, a także potomkowie żydokomuny praktykują gorliwie BN, chociaż w wersji okrojonej: nie łamią się opłatkiem, nie śpiewają kolęd, idą spać zamiast na pasterkę. Choinka, prezenty, mordowanie co najmniej jednego niewinnego karpia i wczesna kolacja, w czasie której zamiast szynicy je się świąństwa, bezwzględnie ich jednak obowiązują.

Skoro cała żydokomuna obchodzi BN, a ja się wylamuję, uzasadnianie tego brakiem takiej tradycji jest mało miarodajne. Chociaż mam argument indywidualny. W czasie okupacji hitlerowskiej rodzice i ich mały sukinsyn, ja, udawaliśmy katolików. Żyliśmy na tzw. aryjskich papierach (dokumentach), i to na ws. Mimo to mój ojciec nigdy nie przemógł się i nie wszedł do kościoła, co wtedy wydawało się samobójstwem. W istocie stanowiło dobry kamuflaż. Udający chrześcijan Żydzi nosili na szyi krzyże po pępek i gorliwie praktykowali katolicyzm. Zachowanie odmienne świadczyło więc właśnie o niezgodzie faceta obojętnego wobec religii. Skoro mój strachliwy z natury ojciec brzydził się obrządkami, gdy była to sprawa gardłowa, gwoili rodzinnej tradycji ja współcześnie nie stawiam choinki. Szczególnie że zagraża to tym tylko, iż pies nie będzie miał w domu niczego nowego do obszczenia.

BN jest jak miłość poślubna – ciągnie się przez miesiąc. Warszawa po zmroku, czyli przez prawie cały dzień i na pewno noc, zmienia się w tandetny lunapark małowartościowy. Bufetowa HGW robi powódź kiczowatych świateł. W galeriach handlowych grasują Mikołaje i płyną rzewne melodie religijnego disco polo. Dzwonią dzwonki. Ludzie w istnym amoku kupują przyszłą zawartość śmietników. W tzw. okresie świątecznym esteta boi się wyjść z domu, bo wówczas wdepnie we wszechogarniający kicz. Wszystko na pamiątkę Boga chrześcijan, który rodził się w scenarii eklektycznej. Z jednej strony stajenka, siano i osioł, z drugiej złota gwiazda z takimż chwostem i paradni królowie z kosztownościami na łbie i w rękach.

Najbardziej jednak odręcza nie atmosfera świąteczna, bo kicz jest też w Polsce dnia powszedniego i emblematem pisowskiej władzy, ale presja na celebrowanie BN. Jest ona totalna, bezwzględna, czyniąca ucieczkę od tego niemal bohaterstwem. Żadna inna okoliczność ani władza nie stosuje tak silnego przymusu.

Społeczeństwo jest w stanie amoku. Można mu więc w takim czasie skasować Trybunał Konstytucyjny i kraść swobody. Społeczeństwo stawia jednostce betonowy but na gardle.

Co robicie w święta? Czy kupiliście już choinkę? Macie może pomysły na prezenty? Koło nas sprzedają karpie, które nie śmierdzą bagnem. Dzieci są już chyba za duże na Mikołaja. Osiem dań starczy, brak pomysłu na 12. A w pierwszy dzień? A może w drugi. I lulajże, Jezuniu!

Afryka, upał, Wigilia. Polscy turyści otwierają przywiezione z kraju na równik w słoikach śledzie, karpie w galarecie, pie-

rogi z kapustą. I Bóg się rodzi, kelner truchleje.

Podobno myśmy narodem społecznym. Nieprawda. Stanowimy stado, ławicę ryb, wiedzie nas ślepy instynkt zbiorowy. Podobno rozkwitł indywidualizm. Bzdura. Ulegamy dyktaturze zbiorowości, gdy zawołanie brzmi: tradycja.

Celebrowanie świątecznego kiczu pod naciskiem rodzinnym, znajomych, pod presją handlu, jego reklam i ogółu ludności stanowi także legitymację deklarowanego katolicyzmu Polaków. Mniejszość obcuje sobie z Bogiem. Wszyscy natomiast dają świadectwo wierze przodków, żrąc karpia, zapalając choinkę i obdarowując się skarpetkami w deseni.

W tych okolicznościach do kupy wziętych bunt przeciw BN wymaga wysiłku jak jazda na nartach, ale daje także przyjemność. Zauważam przy tym, że ignorując Boże Narodzenie, nic za to nie płacę. Nieświętowanie wiedzie nawet do cnoty oszczędności.

Gdyby – wyobrażam sobie – Polak mojąszowego wyznania poszedł do rabina i zapytał: rebe, czy mogę nie obchodzić urodzin mesjasza gojów – ten zadumałby się. Poczem rzekłby: wpierw musisz oddać polski paszport, bo to święto narodowe wszystkich obywateli. Ale lepiej ty zjedz łeb od karpia w tę ich Wigilię, a nie wyrzucaj europejskich papierów. Starozakonny nie powinien mieć takiego marnego rozumu, żeby się ich pozbyć i potem brać porzucony ponton i wiosłować przez morze. Bałwany od Europy pogonić mogą ponton, uchowaj Boże, z powrotem do Syrii.

URBAN

PRASA ŚNIADANIOWA

• **Beata Szydło** oburzyła lewacka nowomowa posłanek Lewicy. Zgodnie z życzeniem: Szydło, Szydło, ty chuj!

• Portal zrzutka.pl oświadczył, że wszelkie zrzutki na **Grzegorza Brauna** będą kasowane. Może chociaż jakaś reklama kosmetyku do kąpieli w pianie się trafi?

• Andrzej Duda ulaskawił **Marikę**, która napadła na dziewczynę z tęczową torbą. Oby teraz nikt Kindze nie wpierdolił, powołując się na ten kasus.

• **Barbara Nowak** została odwołana ze stanowiska szefowej Kuratorium Oświaty w Krakowie. Z predyspozycjami pani kurator na pewno znajdzie się jakaś praca w ośrodku w Gostyninie.

• Jak informuje Gazeta.pl, **pracownicy TVP** rozważają przykucie się do kaloryferów w siedzibie firmy. Trzeba będzie puknąć w zeberko.

• **Portal Fronda** ostrzega przed epidemią opętań. Na szczęście Franciszek wyzdrowiał.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WINTER



Jakieś pomysły na
przejęcie TVP? Kulturalnie
czy wjeżdżamy siłą?

Facebook

Kamil Matwiewej: Czekamy, aż się zabarykadują, i... otwieramy siedzibę w innym zupełnie miejscu, by kontynuować działalność.

Beata Staszak: Po dobroci na pewno nie wyjdą, Braun z gąśnicą by się przydał.

Wojciech Mazurek: „Się wjeżdża, się wjeżdża...”

Jakub Klos: Byle ich zbytnio nie zrachonić, bo będzie holec-ko.

Mariusz Er: Siłowo, a preterterzy „Wiadomości” obowiązko-wo w mundurach. Ze też Urban nie doczekał...

Marek Bratos: Wyrwać kłeczki!

Przemysław Mazurowski: Jak Misiewicz siedzibę NATO.

Rafał Różański: Na pełnej ku... łturze.

Wojciech Marian Dudek: Tutaj tylko Rutkowski Patrol da radę.

Marcin Kołodziejczak: Po co tam wjeżdżać? Wybudować drugi gmach, zatrudnić normalnych, a minister niech kuriera po sprzęt wyśle do tamtych.

Grzegorz Wasilewski: Odkuwać razem z grzejnikami.

Waldemar Biernacki: Zrobić brzydkie rzeczy, ale bardzo ładnie.

Michał Kowalczyk: Zmienić nazwę na TVN – sami wyjdą.

Ewa Tomaszewska: Pożyczyć granatnik od wiadomo kogo, przebić sufit i robić, co należy.

Piotr Rębisz: Mammy czas, że najlepiej przez komin wpaść.

Daniel Kurpacz: Niech zostaną i szkalują opozycję – w tym są dobrzy.

Forum

IroB: Prąd wyłączysz.

Maskirowka Kaczyńskiego

**Kto najgłośniej krzyczy:
„Łapać agenta!”?**

Przypomnijmy, jak to ostatnio w sejmie było. Kaczyński niezadowolony z wystąpienia Morawieckiego (zwanego najbardziej mdłym endposę upadającego premiera) postanowił przystąpić i wymłaskał z mównicy, że przez Tuska ojczyzna zmieni się w „teren zamieszkiwania Polaków zarządzany z zewnątrz, z Brukseli, a konkretnie z Berlina”. Miało to wywołać burzę i reakcję oponentów, a tymczasem ledwie pomruk rozległ się na sali. Litościwie przemilczano zgrane banialuki staruszka. Kaczyński przeżuwał gorycz porażki, aż nadarzyła się kolejna okazja. Wtedy, jak wyjaśnił, w trybie „obrażonego” wyszedł na mównicę i rzucił w stronę Tuska: „Pan jest niemieckim agentem”.

To musiało wywołać efekt i wywołało. Symetryści natychmiast ruszyli tłumaczyć prezesa, że został sprowokowany przez Tuska. Inni, dość powszechnie, dopatrywali się u Kaczyńskiego zaburzeń emocjonalnych, a nawet psychicznych. Ot, starszy pan to albo nerwus, albo czubek, dostoyny senior oszalały w wściekłości, więc nie poniesie za swoje słowa odpowiedzialności, co najwyżej można mu współczuć. A przecież rzucone w kierunku Tuska oskarżenie wybrzmiało pełną siłą. Taki scenariusz bardzo Kaczyńskiemu sprzyja. Osiągnął efekt, oczernił przeciwnika, używając najcięższych w polityce zarzutów, w świat poszło, że Tusk to niemiecki agent. Pisowskie szczujnie, zwane dla niepoznaki mediami, mają pożywkę, ciemny lud to kupić i podaje z ust do uszu. To bonusowe efekty, bo najważniejszy jest inny:

sprowadzenie ewentualnej dyskusji o działaniu na rzecz obcego państwa do piaskownicy, do politycznego mordobicia pozbawionego jakiegokolwiek sensu. Od teraz ktokolwiek powie, że Kaczyński realizował interesy Kremla, będzie wpisywał się w taki właśnie kontekst.

Półtora roku biesiadowania

W 2016 r. ukazało się „Porozumienie przeciw monowładzy”, autobiografia Kaczyńskiego, dziś do kupienia na Allegro za 14,45 zł. W tej mało znanej książce pojawia się po raz pierwszy wzmianka o relacjach Kaczyńskiego z pierwszym sekretarzem ambasady ZSRR Anatolijem Łasinem. „Łasin zaczął mnie zapraszać do swojego mieszkania na Saskiej Kępie i częstować bardzo obficie” – pisze Kaczyński, dokładnie wskazując, że było to lato 1989 r. Jak ustalił Tomasz Piątek, chodzi o Anatolija Wasina, urodzonego 21 września 1938 r., oficera KGB, którego zadaniem było m.in. zwalczanie Solidarności i Lecha Wałęsy. Wcześniej Wasin dał się poznać w Finlandii, gdzie również prowadził działalność wywiadowczą. Jego kontaktem był Esko Aho, premier Finlandii w latach 1991–1995, następnie kandydat na prezydenta, który miękko wyładował w rosyjskim Sbirbanku. Jak donoszą fińscy dziennikarze śledczy, Wasin miał zwyczaj zapraszać swoich informatorów do siebie do domu, gdzie często i długo razem biesiadowali. Kaczyński w „Porozumieniu przeciw monowładzy” tak opisuje zakończenie tej znajomości: „Uciąłem te kontakty, gdy zostałem szefem Kancelarii Prezydenta. Jednocześnie przekazałem wszystkie informacje Andrzejowi Milczanowskiemu”. Był to grudzień 1990 r., Milczanowski był wtedy szefem Urzędu Ochrony Państwa. Pyta-

ny po latach Andrzej Milczanowski twierdzi, że Kaczyński niczego takiego mu nie wyjawiał.

Podsumowując: Kaczyński przez blisko półtora roku spotyka się z wybitnym szpiegiem KGB, biesiaduje z nim w jego mieszkaniu, a następnie ucina tę znajomość w momencie, gdy otrzymuje ważną posadę państwową przy Lechu Wałęsie. O wszystkim rzekomo informuje szefa polskich służb, tylko że on akurat tego nie pamięta.

Dlaczego w ogóle Kaczyński ujawnił tę znajomość? Wygląda to na „kontrolowane odpalenie” tajemnicy, o której mogło wiedzieć więcej osób. Kaczyński wpisał to na strony swojej nudnej biografii i zgodnie z przewidywaniami nikt wątku o Wasinie nie podchwycił. Oczywiście z wyjątkiem skrupulatnego Tomasza Piątka.

W sferze domysłów pozostawmy, czy liczne biesiady Kaczyńskiego w mieszkaniu Wasina były w jakiś sposób dokumentowane. Nie da się jednak bezkrytycznie dać wiary Kaczyńskiemu, że jednostronnie zerwał ten kontakt w czasie, gdy stał się istotnym politykiem przy boku Wałęsy. Przecież właśnie wtedy dla rosyjskiego szpiega stawał się jeszcze wartościowszym źródłem wiedzy. Szczególnie że Wasin bardzo interesował się Wałęsą.

Cudowne wzbogacenie

Następnie historia Kaczyńskiego nabiera politycznego tempa. Dochodzi do wrogiego roztania braci Kaczyńskich z Lechem Wałęsą. Nienawiść jest naprawdę silna, do tego stopnia, że podczas jednej z demonstracji, w której bierze udział Kaczyński, dochodzi do spalania kukły Wałęsy.

Kaczyński organizuje wtedy własne środowisko polityczne. Nie da się tego zrobić bez zaplecza finansowego. I tu kolejna niespodzianka: pieniądze pojawiają się bardzo łatwo i w ogromnej ilości. Jest ich na tyle dużo, że starcza na wykupienie znanego tytułu prasowego („Express Wieczorny”) i ogromnej nieruchomości z biurowcem w centrum Warszawy. Jest kilka źródeł tego niezwykle finansowego sukcesu. Są zdolni przedsiębiorcy lub – jak kto woli – malwersanci, czyli znany ze spółki Art B duet Bagsik-Gąsiorowski. Jest prezes państwowego Budimexu Grzegorz Tuderek, wysokiej rangi działacz PZPR. Jest włoska spółka Di.Fra.Bi powiązana z kamorą, specjalizująca się w biznesie śmieciowym. Jest wreszcie osoba najważniejsza – Janusz Quandt, prezes państwowego Banku Przemysłowo-Handlowego, a wcześniej dyrektor departamentu w Narodowym Banku Polskim. Przez BPH przeszły pieniądze ze słynnej „moskiewskiej pożyczki” (Agencja Gospodarcza, która przyjęła pożyczkę, miała konto w BPH). To właśnie BPH za prezesury Quandta przelał na konto spółki Telegraf ogromne kwoty. Telegraf i Fundacja Prasowa Solidarność to pierwsze i najważniejsze instrumenty finansowe stworzone przez Kaczyńskiego i jego otoczenie. Posłużyły do zbudowania imperium kapitałowego, które z sukcesem przetrwało do dzisiaj. Nie byłoby spółki Srebrna i dwóch wież, gdyby nie Telegraf i fundacja. Jak podały w swojej książce „Prezes i spółki” Agata Kondzińska i Iwona Szpala, przez rok BPH wypompało w projekty biznesowe środowiska Porozumienia Centrum ponad 52 mld zł (starych).

Przyjaźń z drużyną Putina

Zostawmy zamierzchłą przeszłość Kaczyńskiego. Ważne, żeby zakonotować związki z agentem KGB i następujące po tym cudowne wzbogacenie się środowiska politycznego Kaczyńskiego.

Przenieśmy się do czasów współczesnych. W listopadzie 2021 r. CIA ostrzega rząd Morawieckiego, że szykuje się napaść Rosji na Ukrainę. Tymczasem w grudniu 2021 r. Jarosław Kaczyński i Mateusz Morawiecki przyjmują w Warszawie europejskich polityków, których łączy sympatia do Putina i skrajnie prawicowe poglądy. Do stolicy Polski przybywa premier Węgier Viktor Orbán zwany kieszonkowym Putinem. Jest też francuska nacjonalistka Marine Le Pen, która przyjęła od rosyjskich banków wielomilionowe pożyczki. Zjawia

się też Santiago Abascal z hiszpańskiej sympatyzującej z Rosją partii Vox. Le Pen wykorzystuje pobyt w Polsce, by oświadczyć, że „Ukraina należy do sfery wpływów Rosji”.

W lutym wybucha wojna. W marcu Kaczyński, który rzadko wyjeżdża poza Polskę, jedzie z Morawieckim do Kijowa. Jest to moment w którym prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski oświadcza, że Ukraina mogłaby zrezygnować ze swoich aspiracji przystąpienia do NATO. Był to czytelny sygnał skierowany przez Zełenskiego do frakcji pokojowej na Kremlu. Wojska rosyjskie są w natarciu, sytuacja Ukrainy wydaje się beznadziejna. Prezydent Ukrainy rozpaczliwie stara się zyskać na czasie i osłabić agresję Putina. I oto głos zabiera Kaczyński, który jak filip z konopi wyskakuje z pomysłem „zbrojnej misji pokojowej NATO w Ukrainie”. Robi to bez jakichkolwiek konsultacji z NATO i oczywiście wbrew Zełenskiemu. Na efekty nie trzeba długo czekać. Wojenna propaganda Putina dostaje pożywkę. Kremlowskie media grzmia, że może i Ukraina nie będzie w NATO, jak sugeruje Zełenski, ale NATO będzie na Ukrainie, bo tak powiedział Kaczyński. Jeśli w otoczeniu Putina była jakaś frakcja pokojowa, to właśnie została skutecznie wyciszona.

Następne miesiące to nieustannie bohaterka postawa polskiego społeczeństwa, które masowo pomaga ofiarom wojny, i zniemna opieszałość w tym zakresie rządu PiS.

Dodajmy do tego rząd, który był ślepy na aferę zbożową, aferę transportową, podsycal antyukraińskie nastroje poprzez nieustanne nawiązywanie do tragicznej historii obydwu narodów czy też niby niefortunne wypowiedzi premiera Morawieckiego o tym, że Polska nie będzie już dostarczać broni Ukrainie. Plus dotowanie i popieranie środowisk nacjonalistycznych z Bąkiewiczem na czele. Wszystko to zamyka się piękną kłamrą działań Kaczyńskiego, które można nazwać „niby z Ukrainą”.

W tym samym nurcie ideologicznym

W jednym artykule prasowym nie sposób zmieścić wszystkich tropów i nici łączących Kaczyńskie-

go z Rosją. Odsyłam zainteresowanych do książek Tomasza Piątka, Grzegorza Rzeczkowskiego czy też wspomnianego już duetu autorek Agaty Kondzińskiej i Iwony Szpali.

Kaczyński, zarzucając Tuskowi agenturalność, pokazał, czego sam najbardziej się boi. Niewątpliwie nagromadzenie materiału dowodowego jest wielkie, co musi prędzej czy później dotrzeć do szerokiej opinii publicznej.

Już dziś nawet mało skrupulatny obserwator życia politycznego musi dostrzegać, że Tusk jest gorącym zwolennikiem Unii Europejskiej i zacieśniania współpracy państw członkowskich, a Kaczyński może jeszcze głośno nie mówić o polexicie, ale wyraźnie uderza w fundamenty Wspólnoty.

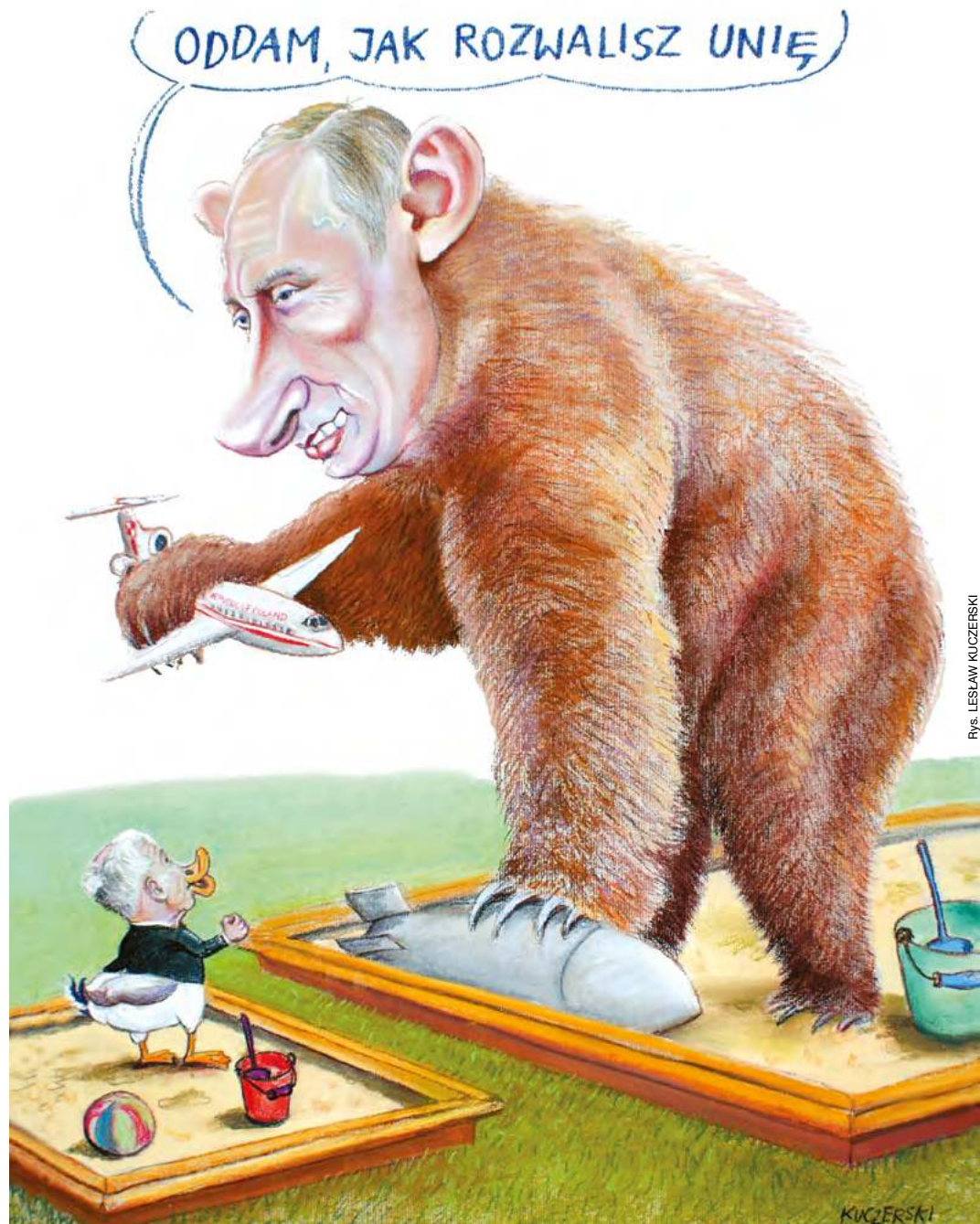
Jest oczywiste, że Kaczyński od dawna, choć ostatnio coraz ostrzej, atakuje Unię Europejską i Zachód. Buduje atmosferę zagrożenia, bazując na wciąż jeszcze żywych nastrojach antyniemieckich. Straszny utratą niepodległości, germanizacją, niebezpieczeństwem związanym z multikultu, bo – jak wiadomo – przybysze roznoszą choroby i pierwotniaki. Zachód utożsamia z moralną zgnilizną, czym w jego mniemaniu są m.in. ruchy LGBT. Tęcza to wręcz najgroźniejszy symbol, zjawisko grożące Polsce, naszej tożsamości narodowej. Poświęca tym tematom mnóstwo czasu i energii. Walczy z Zachodem, z LGBT, z Unią, ale jakoś omija to, co jest faktycznie zagrożeniem dla Polski i pokoju w Europie – agresywną politykę Putina.

Jak zauważa w swoim artykule „Aksjologia wojny” prof. Marek Melnyk, teolog i religioznawca, machina propagandowa Rosji głosi, że „Rosja to bastion tradycyjnych wartości. Rosja broni tradycyjnego modelu rodziny, konserwatywnej etyki seksualnej, zwalczą homoseksualistów, genderizm. W ten sposób Rosjanie są przekonywani o swej wyższości moralnej nad zdegenerowanym Zachodem”.

30 listopada tego roku rosyjski Sąd Najwyższy orzekł, że działacze LGBT powinni zostać uznani za ekstremistów, a sam ruch ma być zakazany na terytorium Rosji. Coś wam to przypomina?

Kaczym to nic innego jak putinizm w budowie.

ANDRZEJ ROZENEK



Wydrwienie trzeciego rządu Morawieckiego, składającego się z nieudaczników bez kompetencji, było, co tu dużo mówić, czystą przyjemnością. Jeśli chodzi o trzeci rząd Tuska, przyjemnie byłoby go pochwalić. W końcu, jak każdy z 11,5 mln wyborców, którzy oddali 15 października głos na tzw. opozycję demokratyczną, miałam wielką nadzieję na zmianę jakościową. Powiedzmy sobie szczerze: jeśli to najlepsze, co partię nowej koalicji mają do zaproponowania obywatelom, to optymizm mi nieco przyszał.

Z 14 ministrów namaszczonych przez Koalicję Obywatelską jednym facetem, który na pewno wie, o czym mówi, jest **Adam Bodnar**. Można zapewne się zastanawiać, czy jego wyraźne zaangażowanie po stronie opozycji jeszcze na funkcji rzecznika praw obywatelskich było zgodne z duchem tego urzędu, ale z drugiej strony to rząd PiS ze szczególnym uwzględnieniem ministra Ziobry wpełchnął rzecznika w koleiny walki politycznej, albowiem pisowski zamach na praworządność i prawa obywateli miał wybitnie polityczny charakter. A co ważniejsze, były rzecznik praw obywatelskich, doktor habilitowany prawa, dziekan Wydziału Prawa humanistycznospołecznego Uniwersytetu SWPS, specjalista od praw człowieka z całą pewnością ma pojęcie o prawie.

Niejakie pojęcie o swoim nowym-starym resorcie ma też na pewno **Radosław Sikorski**. W jego przypadku problemem jest raczej osobowość, która ni cholery nie przystaje do dyplomacji. Kwieciistość jego retoryki („Dorżniemy watahy”) i wyświeżona na Twitterze – jak choćby podziękowanie Stanom Zjednoczonym za wysadzenie rurociągu Nord Stream – to niekoniecznie są zachowania znamionujące dojrzałość. Dobrze byłoby, gdyby minister spraw zagranicznych był człowiekiem dojrzałym.

A dalej jest tylko gorzej. **Marcin Kierwiński**, nowy minister spraw wewnętrznych, z wykształcenia inżynier elektroniki, miał kontakt z mundurem, bo tatuś jest generałem. Wprawdzie w wojsku, ale jednak. Marcin Kierwiński jest typowym aparatchikiem

Platformy, jego energia od 20 lat skierowana była głównie w stronę pięcia się w partyjnych strukturach, a przez ostatnie osiem – poprzez szczególnie bojowe, acz niezbyt oryginalne nacieranie w PiS. Jeśli chodzi o doświadczenia związane z resortem, którym ma kierować, to w 2021 r. przez osiem miesięcy zasiadał w sejmowej komisji administracji i spraw wewnętrznych.

Adam Szłapka – minister ds. Unii Europejskiej. Z wykształcenia politolog, jego startem do wielkiej polityki była funkcja wiceprzewodniczącego rady miejskiej w Kościele. Tytuł do objęcia stanowiska w rządzie daje mu fakt przewodniczenia jednej z partii satelickich PO. Kompetencje posła Szłapki w zakresie UE nie są powszechnie znane.

Tomasz Siemoniak. Był ponoć niezłym – bo powściągliwym i gotowym się uczyć – ministrem obrony narodowej. Wobec czego w nowym rządzie został koordynatorem ds. służb specjalnych. Z wykształcenia ekonomista po handlu zagranicznym, zanim zaczął karierę polityczną, zawodowo pracował w różnych mediach publicznych.

Bartłomiej Sienkiewicz – minister kultury i dziedzictwa narodowego. Do zarządzania dziedzictwem ma tytuł jako prawnik noblisty. Jego zaangażowanie w kulturę nie było dotąd zbyt głębokie, ale fakt, że był podpułkownikiem UOR, ma się okazać użyteczny w walce o odbicie TVP.

Andrzej Domański – minister finansów. Mój osobisty faworyt. Donald Tusk „jest spokojny o polską gospodarkę, bo ma wokół siebie takich lu-

dzi jak on”. Życiowe osiągnięcia Domańskiego to fakt, iż był trzykrotnym laureatem nagrody Alfa dla najlepszego zarządzającego funduszami rynku akcji oraz Złotego Portfela Gazety Giełdy „Parkiet”. Skończył Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie, nie ma tytułu ani dorobku naukowego, ale za to przez kilkanaście lat zajmował się „analizą rynków finansowych”. Zero doświadczeń związanych z makroekonomią.

Borys Budka – minister aktywów państwowych. Niezbyt błyskotliwy prawnik i nie najlepszy, na szczęście chwilowy, minister sprawiedliwości w rządzie Ewy Kopacz. Budce stanowisko ministra należało się jak psu zupa, bo bez oporów ustąpił Platformie Tuskowi w 2021 r.

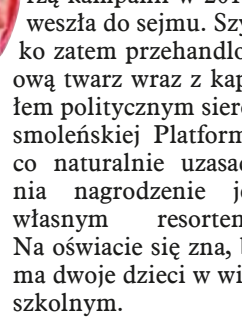
Sławomir Nitras – minister sportu i turystyki. Z wykształcenia politolog, ale sport bardzo kocha. Jak wyznał w „GW”, „śni mu się, że jest piłkarzem i wygrywa Ligę Mistrzów”. W piłkę nie gra, bo „jest po trzech rekonstrukcjach więzadeł krzyżowych”, ale „biega, jest wysportowany”.

Barbara Nowacka – minister edukacji. Z wykształcenia jest informatyką, a jej kontakt z edukacją polegał na piastowaniu stanowiska kanclerza w prywatnej uczelni należącej do jej ojca. Nowacka miała być swego czasu wielką nadzieją lewicy, została twarzą kampanii w 2015 r., po której lewica nie weszła do sejmu. Szybciutko zatem przehandlowała ową twarz wraz z kapitałem politycznym sieroty smoleńskiej Platformie, co naturalnie uzasadnia nagrodzenie jej własnym resortem. Na oświacie się zna, bo ma dwoje dzieci w wieku szkolnym.

Izabela Leszczyna – minister zdrowia. Jedyne, co dobre można powiedzieć o tej nominacji, to że nikt inny nie chciał jej wziąć. Izabela Leszczyna chciała być ministrem finansów, ale postanowiła się poświęcić. Jakby ktoś się zastanawiał: nie, p. Leszczyna nie jest ekonomistką. Skończyła filologię polską i uczyła w podstawówce, po czym zrobiła podyplomowe studia z zakresu filozofii i etyki oraz z audytu wewnętrznego i kontroli zarządczej. Słowem: zna się na wszystkim. Na zdrowiu też, w końcu każdy czasem choruje.

Z grona nominatów PO wyróżnia się **Marzena Czarnecka**, która została ministrem przemysłu. Jest bowiem doktorem habilitowanym nauk ekonomicznych, co wskazuje, że może mieć pewne pojęcie o gospodarce. Dodatkowo jest radcą prawnym, więc można optymistycznie założyć, że wie coś o prawie. A poza tym jest ze Śląska, gdzie się przeniesie ministerstwo, więc będzie miała blisko do pracy.

Nominaci mniejszych partii – w sumie jest ich jedenastu – także nie budzą szczególnego zaufania. Pozytywnie wyróżnia się **Czesław Siekierski** z PSL, który ma doktorat z ekonomiki rolnictwa na SGGW i od ponad pół wieku jest działaczem ludowców, był też wiceministrem rolnictwa w rządzie Millera, więc ma zarówno wykształcenie, jak i doświadczenie.



ŚWIĘTY OJCIEG CHRZESTNY 1.



Osobiście zrobiłabym jeszcze wyjątek dla **Agnieszki Dziemianowicz-Bąk** z Lewicy, która została ministrem rodziny, pracy i polityki społecznej, acz głównie dlatego, że jest pryncypialną lewicówką ze zdrową świadomością klasową, a do tego zażądała przywrócenia „pracy” do nazwy resortu. Z wykształcenia jest doktorem filozofii – może nie bardzo po linii resortu, ale wskazuje na rozbudowaną zdolność myślenia.



Paulina Hennig-Kloska – minister klimatu i środowiska z Polski 2050. Gdyby w Polsce istniało zjawisko odpowiedzialności politycznej, Hennig-Kloska zapewne nie zostałaby ministrem po minie, na jaką wsadziła przyszły jeszcze wtedy rząd, z ustawą wiatrakową, ale przecież polskich polityków z zasady się w ten sposób nie krzywdzi. Pani Hennig-Kloska jest z wykształcenia politologiem, pracowała w radiu i w banku, ale środowisko jest bliskie jej sercu.

Katarzyna Pelczyńska-Nałęcz z Polski 2050 została ministrem funduszy i polityki regionalnej. Ma doktorat z socjologii, była ambasadorem w Moskwie, zna się na Wschodzie i teoretycznie mogłaby zostać szefową MSZ, ale to miejsce było zajęte przez Sikorskiego.



Agnieszka Buczyńska – minister do spraw społeczeństwa obywatelskiego z Polski 2050. Na społeczeństwie obywatelskim zna się jak nikt, bo w 2019 r. była szefową sztabu WOŚP w Gdańsku i stała obok Adamowicza, gdy został zaszyty. Trauma wymagała nagrody. Trauma zagwarantowała stanowisko także **Katarzynie Kotuli** z Lewicy, która została konstytucyjnym ministrem do spraw równości. Z wykształcenia i zawodu jest anglistką, ale w młodości była molestowana seksualnie przez trenera od tenisa, więc wie, z czym walczy.



I wreszcie – to moja ulubiona nominacja – **Dariusz Wiczorek**. Minister nauki i szkolnictwa wyższego. Inżynier elektryk bez żadnego tytułu naukowego ani jakiegokolwiek doświadczenia akademickiego lub naukowego. Dariusz Wiczorek ma wszakże inne zasłu-



Dalej jest już tylko gorzej. **Władysław Kosiniak-Kamysz** został ministrem obrony narodowej, bo chociaż jest lekarzem, jest także przewodniczącym PSL i z tego tytułu należał mu się poważny resort, żeby sędzi w parze ze stanowiskiem wicepremiera. Ministerstwo Zdrowia wyraźnie nie uchodzi za poważne.

Krzysztof Gawkowski, politolog z doktoratem zrobionym na prywatnej uczelni pod kierownictwem Leszka Moczulskiego, został wicepremierem i ministrem cyfryzacji. Będzie promował „higienę cyfrową”. Na pewno zna się na komputerach, bo w końcu jest z tego pokolenia. A poza tym lewicy należał się jeden wicepremier, a ważniejsi od niego liderzy mieli inne plany: Czarzasty chce zostać



marszałkiem, a Biedroń nie zamierza rezygnować z diet europosła. **Dariusz Klimczak** – minister infrastruktury z PSL – skończył historię i politologię, do aparatu PSL należy od 22. roku życia, więc również sobie zapracował.

Krzysztof Hetman, też politolog, też z PSL, został ministrem rozwoju i technologii. Ma niejakie doświadczenie, bo był już w tym resorcie wiceministrem. Na jego korzyść przemawia fakt, że aby wejść do rządu, zrezygnował z mandatu europosła, co oznacza, że jest gotów do poświęceń dla Polski.



MÓZDZEK ROKU

Kto głupszy? Ten, który igał, igał i igał aż do końca, gdy reprezentanci narodu wyjebali go na polityczny kompost historii? Czy ten, który autorytetem sprawowanej funkcji uwiarygadniał te kłamstwa? Ten, który udawał, że rozmawia ze zjawami o poparciu dla swojego rządu z niepełnosprawnością? Czy ten, który powoływał się nie na rozum, tylko na zwyczaj i tradycję? Ten, który przyjmował i wykonywał niedorzeczne polecenia od Kaczyńskiego? Czy ten, który też wykonywał te polecenia, z których tłumaczyły go takie indywidua jak Paprocka, Ćwik i Dera?

Który głupszy, a który bardziej nieprzyzwoity, arogancki, bezczelny i amoralny? Kto jest większym szubrawcem? Chyba jednak wolimy głupkowate miny Morawieckiego



niż zadarty podbródek Dudy. Zwłaszcza że ten drugi ma jeszcze półtora roku, żeby zaszkodzić temu krajowi i ludziorom, którzy w nim mieszkają, a ten pierwszy przewrócił się i leci już tylko w dół.

A może obydwaj nie są tacy głupi? Tłuką kasę i tylko ona ich interesuje. Podróżują, bywa-

ją w mediach, otaczają się luksusem niedostępnym dla większości tych, którymi rządzą.

Ale jednak jeśli wytrzeć kurz, zeszkrobać sreberko i zajrzeć w otchłań, może się okazać, że najdurniejszymi durniami jesteśmy my, którym w ogóle wpadło do głowy, żeby na takich durniów głosować.

gi: wywalczył dla Lewicy przyzwoite warunki w pakcie senackim, więc jakieś stanowisko musiał się po prostu należało. A innego nie było.

Ze składu nowego gabinetu, sklejonego z czterech mocno różniących się programowo i tożsamościowo środowisk, wielkim głosem krzyczy stary koncept „teraz, kurwa, my”. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że rozdział ministerstw w trzecim

rządzie Tuska jest w gruncie rzeczy podziałem łupów, który oddaje nie tyle kompetencje, co pozycję wewnątrzpartyjną poszczególnych polityków.

Tymczasem – nazwijcie mnie staroświecką – lubiłabym, gdyby szefowie poszczególnych resortów poza kompetencjami politycznymi, to jest umiejętnością wywalczenia sobie eksponowanego miejsca w sztyku, mieli także kompetencje merytoryczne. Znaczący, żeby znali się na tym, czym mają kierować. Byłoby na przykład nie od rzeczy, żeby w gronie ministrów tak przełomowego rządu znaleźli się – bo ja wiem – profesoria uznani w swoich dziedzinach?

Ale czym wtedy nagradzać polityków?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

2



Bez wątplenia najważniejszym wydarzeniem politycznym mijającego roku było odspawanie – długie, bolesne, pełne skandali, acz nieuchronne – PiS-u od władzy. Myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem rzesza ludzi pracowała na to w pocie czoła od ośmiu lat. Chcąc uniknąć kolejnej recydywy rządów prezesa z Żoliborza i Pinokia, że o Zerze czy Januszu Kowalskim nie wspomnę, trzeba właściwie pojąć przyczyny zwycięstwa koalicji 15 października, do którego skądinąd – co odnotowujemy z niekłamany smutkiem – najmniejszą cegiełkę dołożyła lewica. Przybliży to też scenariusz trwałej marginalizacji populistycznej skrajnej prawicy (taką są i PiS, i Konfederacja).

Zacznijmy od tego, co – wbrew temu, co chciałaby myśleć i mówić ówczesna opozycja demokratyczna – nie miało większego wpływu na wynik wyborów. Ludzie nie zakochali się w Tusku i Hołowni, nie wzruszyli ich losy sądownictwa, nie sprzeciwiali się programom 500 czy 800 zł na dziecko, wypłacie 13. czy 14. emerytury.

PiS jak komuna

To zabawne, ale w jakimś istotnym sensie tego słowa partia prezesa podzieliła los nieboszczki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Miała realne osiągnięcia na niwie spraw społecznych, ale rozbudziła nadzieje, którym nie tyle nawet nie chciała, ile nie mogła z wielu względów sprostać.

Komuna zwalczyła analfabetyzm, dokonała reformy rolnej, praktycznie zlikwidowała bezrobocie (ba, był nieformalny przymus pracy!), w pierwszych dekadach udało jej się poradzić sobie ze strukturalnymi problemami gospodarki: uprzemysłować kraj, wyciągnąć miliony ludzi z tego, co Marks nazwał idiotyzmem życia wiejskiego. Dokonać awansu społecznego na bezprecedensową w historii Polski skalę. Zdemokratyzować stosunki społeczne w miejscu pracy.

Ale po dość tłustej dekadzie gierkowskiej przyszła zgrzebna era gen. Jaruzelskiego, ludzie w telewizorach i na kasetach wideo widzieli inny świat, a jeśli wyjechali do Niemiec czy Austrii, zaznali luksusu niedostępnego w PRL-u. Po czasie widać wyraźnie, że komunę, poza kwestiami geopolitycznymi, zniszczyły rosnące aspiracje robotników żądających godności, swobody i – co nie powinno dziwić – analogicznego do zachodniego dostępu. Ludziom nieznanym innemu niż Polska Ludowa światu nie mieściło się w głowie, że mogą w robocie być traktowani jak chłopcy pańszczyzniani, co po 1989 r. stało się niechlubną normą.

PiS dał Polakom lekcję, której na wiele lat nie zapomną. Mówiąc słowami byłej premier Beaty Szydło, „wystarczy nie kraść” i na transfery socjalne znajdą się pieniądze. No i ogromnym plusem – bądźmy obiektywni – były skokowe podwyżki pensji minimalnej i wprowadzenie

Prezes przedobrzył

PiS wyhodował własnych grabarzy.

pensji godzinowej. To brednia, że prezesa kochają darmozjady, które żyją z pomocy społecznej – PiS stał się poniekąd partią ludzi mało zarabiających, nieposiadających wysoko pożądaných i sówicie opłacanych na rynku pracy umiejętności. A przy niskim bezrobociu mogą oni znaleźć pracę i (zwykle z trudem, ale jednak) związać koniec z końcem.

Ale ludzie, gdy już mają jakąś tam pracę i coś tam zarabiają, stają się hardzi. Rację miał Ryszard Kapuściński, że skuteczni dyktatorzy troszczą się o nędzę zwykłych ludzi – gdy ci są zajęci kombinowaniem, co włożyć do gara, polityka im nie w głowie. Ludzie chcą żłobków i przedszkoli, dostania się do lekarza na NFZ, a nie prywatnie. Widzą, że kasy na to nie ma albo PiS jej nie umie załatwić, kolejki do specjalistów liczone są w długich miesiącach, a często w latach, a gdyby chcieli się rozmnożyć, nie stać by ich było na publiczne placówki opiekuńcze.

Warto rozmawiać

Cas Mudde, jeden z najwybitniejszych i najczęściej cytowanych znawców populizmu w skali świata, ma doskonałą radę, jak z sukcesem zwalczać partie radykalnej prawicy. Nie, nie należy z nimi się układać i liczyć, że przy władzy zmadrzeją i staną się bardziej umiarkowane. Przypadek rządzącego przez ostatnie osiem lat PiS-u pokazał coś dokładnie odwrotnego: że partie populistyczne u władzy mogą się jeszcze bardziej zradykalizować i próbować (na ile skutecznie, to inna rzecz) przekształcić społeczeństwo na swoją modłę.

Kluczem do poradzenia sobie z pravicowym populizmem jest rozmawianie z ludźmi, którzy go wspierają. Nie ma innej recepty. Na tym polu jest źle, a może nawet bardzo źle lub jeszcze gorzej.

Solidne badanie sprzed kilku lat pokazuje rzecz nader niepokojącą: wyborcy antypisowscy dehumanizują na masową skalę zwolenników partii prezesa. Znaczące, że w drugą stronę ten proces też zachodzi, lecz na mniejszą skalę. Jak wyjaśniała Paulina Górską z Centrum Badań nad Uprzedzeniami Uniwersytetu Warszawskiego, było to pokłosiem bezsilności sympatyków ówczesnej opozycji i brakiem kontaktów z miłośnikami partii rządzącej:

„Wedle wyników naszego sondażu wyborcy partii opozycyjnych rzadziej rozmawiali z wyborcami PiS niż wyborcy PiS ze zwolennikami opozycji. A tymczasem to właśnie w rozmowie z osobami o innych poglądach mamy szansę przekonać się, jakie jest ich nastawienie wobec nas. Wyniki tysięcy badań wskazują, że kontakt z reprezentantami grup obcych obniża uprzedzenia wobec tych grup”.

Rządząca koalicja, jeśli nie chce być czymś przelotnym i wielkim zawodem, powinna wyjść naprzeciw lękom i nadziejom zwolenników Kaczyńskiego. Jego partia powinna odpłynąć w niebyt, ale ci wszyscy ludzie, którzy na nią



3



głosują, nie znikną z dnia na dzień. To są nasze babcie, siostry, nasi wujkowie i sąsiedzi.

Oni też płacą podatki, nie sposób im zabronić udziału w życiu społecznym i politycznym – byłoby to nie tylko podłe, niedemokratyczne, lecz w rzeczywistości niewykonalne. Nie wolno ich głosu marginalizować i utwierdzać ich w przekonaniu, że ich jedynym reprezentantem są prezes i jego wierni żołnierze.

Czas na socjal(izm)

Ogromnym błędem jest ekstrapolacja wyników ostatnich kilku wyborów sejmowych – w przyszłości może nastąpić skarlienie Prawa i Sprawiedliwości do kilkunastu procent. Ta partia ma w swoim DNA – co widać w jej samej nazwie i początkach – zamordyzm, zwalczanie przestępczości, silną karzącą rękę państwa. Transfery socjalne to były narzędzia zdobycia poparcia, przekupywania żywą gotówką kolejnych grup społecznych.

Doskonale zrozumiał to Tusk, dlatego obiecał, że nic, co PiS dał, nie będzie odebrane. I zapowiedział natychmiastową podwyżkę dla nauczycieli o 30 proc. (od przedszkoli przez szkoły podstawowe i ponadpodstawowe po uczelnie) i dla całej budżetówki o 20 proc. To sfera (poza służbami mundurowymi) silnie sfeminizowana, więc zapunktował u rzeszy kobiet.

Gwoli ścisłości: doszliśmy do takiego absurdu, że o podwyżki dla budżetówki gardłowały już jakiś czas temu nawet organizacje pracodawców, bo fatalne zarobki w urzędach były hamulcem dla biznesu, który oczekuje szybkiej i profesjonalnej obsługi ze strony aparatu państwa. Przy pensjach na poziomie najniższej krajowej (plus wysługa lat) stawianie ludziom jakichkolwiek wymogów jest równie sensowne jak czesanie morza grabiami.

Do tego dodajmy powszechny jak pryszcz na twarzy u nastolatków mobbing w urzędach. Choćby do ZUS-u dawno już powinna zawitać Państwowa Inspekcja Pracy, a po prawdzie za nią mógłby wjechać prokurator. Było o tym sporo w mediach jakiś czas temu, ale nie znalazło to odzewu ze strony państwa. I złe traktowanie ludzi wynikało najczęściej nie z osobistych cech tej czy innej naczelniczki czy kierowniczk, ale braków etatowych (skandaliczne wygaszanie etatów), w wyniku których robotę, wykonywaną kiedyś przez cztery pracownice, muszą wykonać zaledwie dwie. Dodajmy do tego nieludzki system nadzoru nad personelem utrzymanym na krótkiej elektronicznej smyczy i rozliczanym z każdej sekundy. Ukrócenie mobbingu w budżetówce będzie ważnym zadaniem nowej wła-

dzy, bo plany Tuska spalą na panewce, jeśli będą sabotowane przez rzeszę pracujących w takim czy innym okienku urzędu.

Obniżyć poziom przemocy

Jak wyjaśnia klasyk rodzimej teorii polityki Mirosław Karwat: „Przemoc zmierza do pozbawienia drugiej strony jakiegoś dobra (terytorium, całości lub części majątku, ale i bezpieczeństwa, samodzielności) i/lub pozbawienia jej pewnych praw, łącznie z elementarnymi, pozbawienia dobrego imienia. Zakłada się tu – jako warunek nieunikniony lub też jako cel sam w sobie, swoiste źródło satysfakcji – wyrządzenie szkody lub krzywdy drugiej stronie”.

Karwat zwraca uwagę na moralno-psychologiczny wymiar przemocy: „nieliczenie się z interesami i uczuciami drugiej strony (poszkodowanej, ofiary), satysfakcja wynikająca z odczuwania, potwierdzania i czynnego urzeczywistniania uprzedzeń, wrogości, nienawiści, ew. z porachunków, zemsty, sadystyczna satysfakcja z cierpienia innych”.

PiS był jak ten anioł stróż z opowiadania Sławomira Mrożka, który pewnego chłopca, aby nawrócić na dobrą drogę, zaczął bić. Przejawiał w tym dużą pomysłowość, a to wałęsał w kark, a to podstawiając haka. W pewnym momencie anioł bije chłopca bez powodu, żeby nie wyjść z wprawy. PiS też zaczął bić ludzi dla wprawy, wszak czym innym był wyrok Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej, po którym policjanci – nieradzący sobie szczególnie dobrze z kibolami, że o innych bandytach nie wspomnę – już niemetaforycznie bili pałkami telekopowymi dziewczyny, które chciały bronić praw do swego ciała?

Koalicja rządząca dla dobra siebie i kraju (a może w odwrotnej kolejności) musi zrobić wszystko, by w polityce było mniej agresji. Polityka miłości, w tym to słynne serduszko Tuska, to krok w dobrą stronę.

Jednocześnie trzeba rozliczyć PiS bez litości za wszelkie nikczemności, tak profilaktycznie, aby nikt więcej nie ważył się tak znowu postąpić. I jedno z drugim się nie kłóci. W polityce trzeba umieć grać na wielu fortepianach...

ZUZ

PLURALIS MAIESTATIS

Pastorałka

„Bombki wiszą na choinkach, wieńce na drzwiach, a wisielcy na rurach pod sufitem jak Ameryka długa i szeroka” – napisał o bożonarodzeniowej magii Cormac McCarthy w „Sunset Limited”. Nikt by tego nie zrobił lepiej. W punkt. Tak, Bóg jest zdecydowanie niechcianym dzieckiem. Powinien udowodnić swoją przydatność i wartość. Jak każdy teraz. Teraz i na wieki wieków, amen.

Magia również jest do dupy, chyba że potrafimy na niej zarobić. Jak na przykład J.K. Rowling i dystrybuowane przez nią fikcyjne świry (jakby nam na prawdziwych zbywało...). Rok temu dowiedziałam się, że moja znajoma, którą wówczas miałam za całkiem normalną, ściga po całym świecie i ściąga licencyjne lalki z Harry’ego Pottera. Kolekcjonerka? Może i dałoby się to lyknać, gdyby to nie była nieprawda. Kompulsywna zakupoholiczka z dziurą w sercu. Potterowskie gadżety, które przysły przed Wigilią, były uroczyście pakowane i lądowały pod choinką – nietykalne i nietykane przed migotem pierwszej gwiazdki. Kto miałby to sprawdzić? Pies z kulawą nogą, bo znajoma mieszkała i była sama. Nie żebym uważała, że singlom jakoś specjalnie jebie w święta, bo jebie wszystkim po równo. Samotni nie mogą wytrzymać sami z sobą, a ci z rodzinami nie mogą wydolić ze wszystkich bliskimi – osobno i do kupy. W sumie trudno kibicować urodzinom Jezuska, wiedząc, jak rzeczony Jezusek skończy – przybity do krzyża. Oplatek pachnie padliną. Ale, ale, wszystko gra, jeśli padlina generuje pieniądze. A te na pewno ładnie pachną. Inaczej byśmy się tak dla nich nie zabijali i nie zabijali innych. Wszystkich łącznie z Bogiem.

Mówi się, że idiotów nie sieją, sami się rodzą. Owszem, idiotów się sieje. W budach cyrkowych, w ciemnych domach, w złych szkołach. Nie tylko w kościołach i salach katechetycznych – choć tam ze szczególną werwą, prawda? „O połowę mniej godzin w szkole oznacza o połowę mniej pieniędzy w syste-

mie. A są to wydatki stałe. Zatem ogromne. Mniej pieniędzy z ministerstwa dla katechetów i jednocześnie konieczność finansowania katechezy przy kościołach. Czy ubożące parafie to udźwigną?” – niejaki ksiądz Jacek Siepiak deliberuje nad pomysłem minister Barbary Nowackiej o „wygnaniu religii ze szkół do salek przykościelnych”. Równy gwizdź na to, jak poradzą sobie parafie, a chyba jesteśmy zgodni, że religia nigdy nie powinna się znaleźć w państwowej szkole? Kłopot polega na tym, że wywalanie religii to za mało. Polska szkoła była i jest potwornie głupia. Jak słyszę o obcinaniu podstawy programowej, braku prac domowych i co tam jeszcze, to dochodzę do wniosku, że elitarny Hogwart polskim uczniom nie grozi. Produkuje, produkowali i wciąż będziemy produkować kalekich dorosłych kryjących swoje deficyty za gaśnicą, lalką, wstążką i krzyżem. Brakuje im oświeceniowej i oświeconej pewności siebie. Kato-licyzm, konsumpcjonizm, komunizm – jeden chuj, a ludzie wciąż tak samo szpetni, bo nie-szczęśliwi... W nowych czasach trzeba umieć sprzedawać siebie, Boga, czarodzieja. A w święta Bożego Narodzenia ta konieczność urasta do procedury ratującej życie! Własne!

Tylko śmierć z nudów uchodzi w ten magiczny czas za przyzwolitą. Śmierć z przejedzenia albo przepicia – niekoniecznie. Jeśli jesteście odważni, wnikliwi, piękni i młodzi albo chociaż

sarkastyczni, to nie oglądajcie „Kevina samego w domu”, bo macie „Wielkie żarcie”

Marca Ferreriego na HBO. Niech karp po żydowsku lekkim na żołądku będzie, żeby Braun nie wpadł wam do domu z wielkim penisem w rękach zamiast gaśnicy... No, chyba że akurat będzie zajęty żoną, którą rzeczony Braun sprezentował sobie w mikolajki 6 grudnia 2014 r. O tym, czy pakował ją w papier prezentowy i wiązał wstążką, wiedzy nie mam...

IZABELA SZOLC



Rys. MIROSLAW HAJNOS



Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

✦ Oddzielenie **wiary od rozumu** sprawia, że wiarę zastępują emocje, a **rozum ideologia**.

ks. Janusz Chyła, X, 14 grudnia

✦ Zapowiedź minister Nowackiej **ograniczenia nauki religii** i likwidacja prac domowych jest uderzeniem w edukację polskich dzieci i młodzieży. [...] **Ale jest też próbą usunięcia ostatniego przedmiotu**, który odnosi się w pełni do życia duchowego, **kształtującego naszą tożsamość narodową** zgodnie z wyznawanymi przez **nasz naród** od tysiąca lat **wartościami**. Ma więc wyraźny charakter **anty-narodowy**. [...] To powrót do gomulkowskiej strategii najpierw ograniczenia nauki religii, a potem jej eliminacji.

Robert Bąkiewicz, X, 14 grudnia

✦ To, że młodzież dopiero teraz odkryła, że w sieci są transmisje sejmów, to oczywiście dobra wiadomość [...], ale by młodzi faktycznie chcieli się zainteresować sejmem, potrzebują igrzysk jak w starożytności – ktoś komuś musi **ściąć głowę**, a innego **wyśmiać** tak, by nigdy nie chciało mu się wrócić do polityki [...]. Będziemy teraz mieli **nieustanne igrzyska i polowanie na ludzi prawicy na oczach wszystkich**. Dlatego tak ważne będzie **nieuleganie zbiorowej hysterii** ani zbiorowej modzie na nową wersję „polityki miłości”.

dr Jolanta Hajdasz, dyrektor Centrum Monitoringu Wolności Prasy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Radio Maryja, 13 grudnia

✦ **Koalicja** rozpoczęła swoje prace jeszcze w ramach prac sejmowych od dwóch ustaw, które radykalnie pokazują **niszczenie wolności**. To ustawa dotycząca **liberalizacji tzw. aborcji i ustawa dotycząca in vitro**. Ta koalicja ma bardzo niewiele wspólnego z wolnością, jeżeli wolnością,

to w rozumieniu libertariańskim, które jest w gruncie rzeczy **prowadzeniem społeczeństwa i narodu w stronę anarchii**, a nie w stronę rzeczywistej wolności.

ks. Paweł Bortkiewicz, Radio Maryja, 13 grudnia

✦ Ludzkie życie jest wartością podstawową i niezbywalnym dobrem. Domaga się zatem bezwzględnej ochrony, a więc niezależnie od okresu i jakości życia człowieka. **Metoda in vitro** tymczasem jest **eksperymentem** na człowieku, jego swoistą „produkcją” stanowiącą „**formę zawładnięcia ludzkim życiem**”.

ks. abp Stanisław Gądecki, Apel do prezydenta RP Andrzeja Dudy, 15 grudnia

✦ **Deklaracja** pani minister edukacji (Barbary Nowackiej) dotycząca **nauczania religii w szkole** jest jej pomysłem na rozwiązanie sytuacji. To, co proponuje czy będzie proponować [...], to kwestia **osobistego przekonania** pani minister. [...] Ja akurat poszedłbym w drugim kierunku niż pani minister – uważam, że **pragnieniem większości rodzi-ców, katolików, większości społeczeństwa** jest to, aby **katecheza w szkole była**.

bp Artur Miziński, wPolityce.pl, 15 grudnia

✦ To, co obserwujemy, czyli wprowadzanie nowomowy do urzędów państwowych, jest niczym innym niż **realizacją neomarksistowskich teorii** zakładających **przejmowanie języka**. Obserwujemy to już od dawna w wielu krajach Zachodu. To bardzo niebezpieczne zjawisko, bo **lewica** poprzez zapanowanie nad językiem **chce zapanować nad społeczeństwem**. Nie możemy na to pozwolić.

Beata Szydło, X, 14 grudnia

✦ Jest coś **smutnego** w tym, że tak bardzo **troszczymy się dziś o czystość środowiska naturalnego**; o czystość powietrza, wody, lasów i miast, że tak zdecydowanie walczymy ze smogiem i spalinami [...], a jednocześnie tak **szybko godzimy się na nieczystość ciała**, rozpustę, **rozwiązłość, rozpasanie**, na wulgarność.

abp Adrian Galbas, Ekai.pl, 11 grudnia

Wybrał KLECHA

Mesjasz

Twórczość misyjna Szymona H.

Media zachwycają się osobą największego teologa naszych czasów, pierwszego religioznawcy, proroka i duszpasterza, metafizyka, którego – jak można sądzić – w całej swojej dobroci Najwyższy zesłał nam na marszałka sejmów. Zaprawdę powiadam wam, umysłowość Szymona Hołowni jest pospolitą manifestacją radzieckiej dedukcji, harwardzkiej analityki zaśmieconej przez modyfikacje postprzeżyciowe oraz chrześcijańsko-polskiej psychofizyki. Z tych najbardziej niebezpieczna jest ta ostatnia. Powiedzmy sobie to jasno. Prace koncepcyjne polskiego Kościoła w zakresie mitologii chrześcijańskiej są stosunkowo nowe, liczą zaledwie 1000 lat. Na tle rzymskiego chrześcijaństwa (2 tys. lat) i poprzedzającego go jaskiniowego judaizmu (4 tys. lat) wyglądają niemrawo. W zestawieniu z innymi wyznaniem (hinduizm np. 6 tys. lat lub więcej) mamy do czynienia z chorobami typowymi dla wieku dojrzewania.

Bajkopisarz

Szymon Hołownia oprócz gwiazdzenia w telewizji przez większość swojego dorosłego życia odzwierciedlał swój umysł w postaci druku nudnych, długich i chaotycznych dzieł popularno-religijnych.

Nie będę gołosłowny: „Kościoł dla średnio zaawansowanych” (228 stron) to relacja z życia Kościoła dla średniozaawansowanych w jego sprawach, które opisywane są z pominięciem pedofilii, cudzołóstwa, nieumiarkowania w jedzeniu i picu, chciwości oraz obłudy. Bardzo uprzejmie. Średniozaawansowany czytelnik nie powinien zmagać się z takimi eschatologicznymi zjawiskami, trapiącymi polskie duchowieństwo.

„Tabletki z krzyżykiem” (336 stron). Poradnik z gatunku tych sprzedawanych w EMPiK-u, z półki zatytułowanej „Rozwój osobisty”, o tym jak pozbyć się duchowego cierpienia, zadając sobie fizyczne tortury, lub jak pozbyć się fizycznego bólu, popadając w depresję przy pomocy różańca, gromnicy czy drucianej włosienicy. Są to porady zasadniczo trafne, bowiem człowiek nie jest w sta-

nie cierpieć naraz z dwóch powodów. Jeżeli boli mnie ząb, a dostanę postrzał w nogę, to któraś z tych dolegliwości musi ustąpić. Nasz umysł nie może też cierpieć jednocześnie z powodu łamania praw człowieka w Korei i niezrozumienia istoty rachunku różniczkowego liczb zespolonych. Albo jedno, albo drugie. Mieszanie do tego mocy różańcowych jest niepotrzebnym nadużyciem.

„Monopol na zbawienie” (512 stron) to taka gra karciana napisana przez Hołownię dla miłośników planszówek, zawierająca krótkie przypowieści w manierze, jak osiągnąć zbawienie, tkwiąc w okowach celibatu i szponach masturbacji.

Następnie „Bóg. Życie i twórczość” (332 strony). 300 stron gładzenia i 32 strony zawierające jakieś konkretne. Jednak są one dość chaotycznie umieszczone między tymi trzystema, zatem trudno je znaleźć. Mógłby być to podręcznik dla studentów filozofii na zajęcia z przedmiotu błędy poznawcze. Katalog błędów poznawczych jest zamknięty. Składa się z 68 pozycji. Hołownia popełnił prawie wszystkie, że cytuję jeden po skrótach: „Konwersja chrześcijanina na mahometanizm jest rodzajem prostytucji duchowej”.

Hołownia popełnił ponadto: „Last minute. 24 h chrześcijaństwa na świecie” (428 stron), „Ludzie w czasach Jezusa” (256 stron), „Maryja. Matka rodziny wielodzietnej” (156 stron). I tak dalej, i tak dalej. Ostatnio udało mu się napisać w sznycie poradników „Zrób to sam” śp. majora Adama Słodowego instrukcję: „Jak zostać świętym?”. W papierze tego nie wydał, tylko w formie audiobooka na płycie CD (208 megabajtów) zawierającej ponad dwie godziny gadaniny.

Lepszy od Pana Boga

Zaprawdę powiadam wam, jest to tylko mniej więcej połowa tytułów. Po zsumowaniu wychodzi, że marszałek sejmów na tematy dewocyjne napisał jakichś 7,5 tys. stron maszynopisu, czyli więcej niż Pan Bóg o sobie samym (zakładając, że przypisywanie Bogu autorstwa Pisma Świętego jest zasadne). Można odnieść

5



w sejmie

wrażenie, że tak naprawdę to Pan Bóg powinien uczyć się od Hołowni w sprawach swojego pijaru, natury i kompetencji jak – powiedzmy – Andrzej Lepper od Piotra Tymochowicza (wiemy, jak to się skończyło).

Z przyczyn zrozumiałych wydawca tej gazety nie miałby miejsca na publikację diatryby polemizującej z takim ogromem materiału pisarskiego. Skoncentrujemy się jedynie na powielanych przez Hołownię w swoich dziełach nonsensach wynikłych z niezbyt intensywniej pracy i ograniczonej mocy obliczeniowej jego szarych komórek.

Nie będę też zajmował stanowiska teologicznego ani religijnego, nie mając seminaryjnego przygotowania, ale przypuszczam, że

gdyby czytał Hołowni dzieła wszystkie papież Franciszek, doszedłby do przekonania, że ma do czynienia z kolejnym schizmatykiem w gnieździe chrześcijaństwa,

których – rachując Kościoły protestanckie – było jakichś pięciuset. Posłuże się jedynie rozumem i szeroko pojętą empirią.

Statyczny czas przeszły

Pierwszym problemem, z którym Hołownia nie potrafi sobie poradzić, jest jego zegarek. On wyraźnie widzi, że tam przesuwają się te wskazówki. Zatem czas musi płynąć. Hołownia imaginuje, że istnieje jakaś przyszłość i przeszłość. Ta ostatnia jest dla niego

tym bardziej problematyczna, że zadaje sobie pytanie, jak to wszystko się zaczęło.

Zaprawdę powiadam wam, to złudzenie. Przyszłość nigdy u nas nie gości, a przeszłość nigdy nie wraca. Miejsce, w którym się znajdujemy, to teraźniejszość – jedyne miejsce, w którym Hołownia może być. Czujemy, że nie jesteśmy ani w przyszłości, ani w przeszłości. Zawsze jest teraz. Zatem stosowanie liniowej logiki następstwa spraw w czasie i początku owego czasu to szukanie czarnego kota w ciemnym pokoju, którego tam nie ma. Nie było żadnego początku, zawsze było teraz.

Hołownia uznaje, że musi być Bóg jako jakiś pierwszy poruszyciel. Ulega bowiem złudzeniu, że świat raczej stoi, niż się porusza. Zatem stan statyczny musi być pierwotny, a dynamika wynika z przyłożenia jakowejś siły. Jest to wyobrażenie nieprawdziwe, ponieważ nawet jeżeli czytasz ten tekst, siedząc nieruchomo na krześle, to obracasz się z prędkością 456 m/s wraz z ruchem obrotowym Ziemi wokół własnej osi. Dodatkowo przemieszczasz się w przestrzeni wraz z naszą planetą wokół Słońca z szybkością 107 tys. km/h. A w ogóle to jeszcze wirujesz wraz z całą galaktyką Drogi Mlecznej. Nic nigdzie i nigdy nie pozostaje w bezruchu. Od atomu po wszechświat. Bezruch to złudzenie, podobnie jak wrażenie, że Ziemia jest płaska, a Słońce wiruje wokół niej. Te dwa ostatnie złudzenia już ludzkość pokonała. Z tym pierwszym nadal się zмага razem z Hołownią.

Hołownia utrzymuje, że Bóg jest praprzyczyną wszystkiego, wszystko bowiem musi mieć jakąś przyczynę, a zatem jego istnienie jest konieczne. To nieprawda. Albowiem zaprawdę powiadam wam: wyraźnie widać, że są zjawiska bezprzyczynowe, jak na przykład to, że liczba dwa jest parzysta. Również analiza większości wydarzeń w kategorii łańcucha przyczynowo-skutkowego w końcu doprowadza do punktu, że musimy przyznać, że coś nie miało żadnej przyczyny.

Tajemnica nieistnienia

Następnie Hołownia, opierając się na wierze Kościoła, utrzymuje, że Bóg

stworzył świat z niczego. Błąd ludzkich umysłów polega na tym, że wymyśliły sobie to „nic”. Doświadczalnie nie wykazano istnienia „niczego”. Zawsze jest coś. Nawet jeżeli wyobraźmy sobie trójwymiarową próżnię (praktycznie nie ma czegoś takiego), to nadal mamy do czynienia z jakimiś wymiarami. Uczciwiej byłoby przyjąć, że owo „nic” jest jednak czymś, na co brak wyrazów w naszym słowniku, bo nie sięgamy też tam wiedzą. Owo „nic” może być znacznie rozleglejsze i pełne niż wszystko to, co uznajemy za istniejące i nazwane.

Hołownia pisze, że ma duszę nieśmiertelną. A na chuj mu ta dusza? Pan marszałek równie dobrze mógłby się cieszyć, że składa się z miliarda trylionów niezniszczalnych atomów. Tylko co mu z tego? Hołownia, aby wpaść na właściwy trop, który wyprowadziłby go ze stanu obezwładniającej dezorientacji, musiałby zauważyć, że jest duszą, czyli umysłem, który może lub mógłby przetrwać w formie nienaruszonej, gdyby nie rozpad mózgu w rezultacie śmierci. Nie przychodzi mu to do głowy, bo na katechezach okłamano go co do faktycznego stanu rzeczy i spraw.

Z duszą na ramieniu

Hołownia, wskazując kierunki ku świętości, znacząco zbawienia, zachwyca się znaczeniem cierpienia. Męczennictwa, umartwiania i pokuty. Dziwne, że nie każe budować pomników sadytom i psychopatom potrafiącym robić różne przykrości na masową skalę. Ci dobroczyńcy, wyrządzając nam krzywdę, mają ogromne zasługi w przybliżaniu Hołowni do nieba. Wielką niesprawiedliwością jest, że Kościół ceni męczenników, nie oddając należnych honorów katom, jakże zasłużonym dla świętości, a przede wszystkim ryzykującym wiekiście piekło.

Ów paradoks wynika z nadawania przez Kościół szczególnej rangi nieprzyjemności. Utrzymywanie poddanych w stanie wiecznego niezadowolenia, strachu, cierpienia, rozrywania ran i wypominania krzywd pod pozorem wzbudzania przebaczenia to wyprobowana metoda utrzymywania władzy krzyża przeciw pospolitemu dobru stanowi.

Mnich bezhabitowy

Hołownia też sprytnie unika, a może nawet nie sięga umysłem sensu swojego chrześcijańskiego życia, jakim miałoby być zbawienie jego duszy. Na czym ów zbawczy stan miałby polegać? Oczywiście nie ma zbawienia dla złodziei, lesbijek, a i dr Kulczyk nie wszedł do

królestwa niebieskiego, ale co z masochistami?

Przypuszczam, że motywem infantylnej twórczości Szymona Hołowni, oprócz tantien ze sprzedaży dzieł, było pozyskanie tych chaotycznych idei niewcelu „wyzwolenia wszystkich dusz”, ale zabiegania o świecki sukces.

Udało mu się: kandydat na prezydenta, marszałek sejm, przywódca na razie kanapowej partii.

Pewnym usprawiedliwieniem dla tej laickiej postawy i gałganerii jest, że Hołownia wszak chciał wybrać drogę wyrzeczenia, ubóstwa i kontemplacji, dwukrotnie starając się wstąpić do zakonu dominikanów. Tyle że oni tam go nie wzięli, dla siebie na szczęście, a dla Hołowni na pożytek.

ROBERT JARUGA



6



Za personelem z własnym mundurem murem stoją ministrowie.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej – nie wiedzieć czemu – są kochane przez miliony Polaków. Miliony te żałują, że u nas nie jest jak tam, i zazdroszczą amerykańskiego stylu życia. No i amerykańskich agentów, pracujących w niezliczonych służbach mogących ścigać, inwigilować, zabijać i walczyć ze sobą.

Niedrogówka

Lud nadwiślański miłujący amerykański sposób wymierzania sprawiedliwości nawet nie zauważył, że u nas jest już niemal to samo. Dbały o to kolejne rządy, a nade wszystko PiS, który nawet w ostatnim dniu funkcjonowania wydmszki Morawieckiego wrzucił do laski Hołowni projekt ustawy ustanawiającej kolejną służbę mundurową.

Nie ma się co śmiać, że poprzedni reżim miał na to osiem lat. Nie ma sensu drzeć z projektu łacha za to, że służba ta istnieje od dwóch dekad i oczywiście występuje w mundurach, dzięki którym kolorowi zyskała miano krokodyli. Ale dopiero kiedy szef krokodyli został na dwa tygodnie ministrem, okazało się, że mundurowi nie są mundurowymi. Ba, ludzie od lat kontrolujący samochody ciężarowe, a nawet osobowe, mogą nakładać mandaty, przesłuchiwać i zatrzymywać, nie mają nawet statusu funkcjonariuszy. Co z tą legislacyjną wrzutką zrobi nowa władza? Oczywiście zaklepie. Bo przecież Inspekcja Transportu Drogowego to wymóg unijny, bo w ITD pracuje niemal tysiąc ludzi, a nadto służb mundurowych nigdy dla polityków za wiele, gdyż polską miłość do munduru fajnie ogra się politycznie w ujęciach telewizyjnych i fotkach internetowych.

Czym zajmuje się policja, wiadomo. Przestrzeganiem prawa o ruchu drogowym również. Po cholere zatem podległe drogowictwu ITD? Zadania inspektorów w stu procentach pokrywają się z obowiązkami drogowki. Jaki zatem sens ma istnienie krokodyli jako osobnej formacji z własną wysoko wynagradzaną czapą i kosztownymi strukturami administracyjnymi? Inspektorzy mogliby z dnia na dzień zmienić barwy klubowe i robiąc to, co robią, zacząć nazywać się policjantami. Byłoby taniej? Jasne, że tak.

Podkład kolejowy

Czy jak jesteście na dużym dworcu kolejowym, to widzicie policjantów? Pewnie tak. A czy przydarzyło się wam spotkać funkcjonariuszy zupełnie innej formacji noszącej nazwę Straż Ochrony Kolei? Pewnie nie. A przecież noszący spluwy funkcjonariusze SOK odpowiadają za bezpieczeństwo na kolei i w jej okolicach.

Do ich obowiązków należy również zwalczanie zorganizowanych grup przestępczych na obszarze kolejowym. Ale też kontrola punktów skupu metali, nawet tych od torów nader odległych.

Sokiści mają zapewniać bezpieczeństwo ludziom, dysponują możliwością użycia środków przymusu bezpośredniego i broni palnej. Oczywiście mogą też zatrzymywać i przesłuchiwać, kogo chcą. Kazać dmuchać w alkotest. Zatrzymywać i kontrolować samochody. Nakładać mandaty i grzywny. I przeprowadzać śledztwa nazywane czynnościami wyjaśniającymi. Rzecz jasna mogą też legitymować ludzi w celu ustalenia ich tożsamości na podstawie przepisów o policji. Właśnie – o policji. Bo, jak widać, wszystko, czym zajmuje się SOK, należy do kompetencji policji. A najśmieszniejsze, że gliniarze też mają komisariaty na dworcach kolejowych. Ba, tak jedni, jak i drudzy podlegają temu samemu ministrowi. Po cholere więc zamiast stać się policjantami, niemal 3 tys. sokistów niepotrzebnie generuje dodatkowe koszty?

Na bezrybiu

Ponad 300 osób nosi mundur strażnika Państwowej Straży Rybackiej. Każda z nich ma prawo do noszenia broni palnej krótkiej, broni sygnałowej, kajdanek zakładanych na ręce, ręcznych miotaczy substancji obojętniających, pałki służbowej i przedmiotów przeznaczonych do obezwładniania osób za pomocą energii elektrycznej. Oczywiście może używać środków przymusu bezpośredniego i broni palnej. W praktyce strażnicy mogą legitymować każdego stojącego w okolicy cieku wodnego. Każdy bowiem może mieć przy sobie żyłkę i haczyk, czyli kłusować. A strażnik ma przecież prawo do kontroli dokumentów uprawniających do połowu ryb. Strażnik może zatrzymać dowolne auto, by sprawdzić, czy nie ma w nim płonów połowu, i zażądać dokumentów. Strażnicy mogą też pojawiać się w sklepach rybnych, wędzarniach i innych przetwórcach i wieszając sobie, czego tylko chcą. A jeśli tego nie dostaną, to wolno im dokonywać zatrzymań i nakładać mandaty. Na te 300 osób robiących to, co może zrobić każdy policjant, polski podatnik wywala rocznie ok. 30 mln zł.

Darzbory

Kłusownictwo czy wycinka drzew lub inne formy niszczenia przyrody są opisane w kodeksach. Tych samych, na których podstawie działają gliniarze. Ale Lasy Państwowe muszą mieć swoją armię. Nazywa się ona Straż Leśna i ma na stanie ok. 1 tys. mundurowych. Drugie tyle mają straże parków narodowych.

Każdy strażnik leśny czy parkowy ma prawo do legitymowania każdego, kogo zobaczy. Wszyscy mogą przecież być podejrzeni o popełnienie przestępstwa lub wykroczenia. Jeśli strażnik znajdzie jakiś powód, to oczywiście ma prawo wypisać mandat. Chyba że uzna, że delikwenta lepiej zakuć w kajdanki i zatrzymać. Lasów w Polsce mamy dostatek, dzięki czemu strażnicy leśni mogą zhałtować i poddać kontroli dowolny samochód. Zawsze mogą powiedzieć, że znajdujący się 10 km dalej las jest w bezpośrednim sąsiedztwie zatrzymanego autka.

Uniformy do

Na dodatek strażnik może wleźć każdemu do chałupy i ją przetrzepać. Wystarczy, że ma „uzasadnione podejrzenie o popełnieniu przestępstwa”. Gdyby jednak ktoś nie chciał, żeby osobnik niewyglądający jak policjant go do czegoś przymuszał, to nie warto. Strażnicy leśni mają prawo do noszenia broni palnej długiej i krótkiej, kajdanek, pałki służbowej, ręcznego miotacza substancji obojętniających oraz przedmiotów przeznaczonych do obezwładniania osób za pomocą energii elektrycznej. I w razie czego nie zawahają się tego użyć.

Nie ma się też co dziwić, gdy podczas zbierania grzybów ktoś wymierzy do nas z dwururki i będzie w zielonym mundurku, ale innym niż strażnik leśny. Bowiem część opresyjnych uprawnień strażników przysługuje podleśniczczym, leśniczym, inżynierom nadzoru, zastępcom nadleśniczego i nadleśniczemu.

Żeby tylko! Jest jeszcze przecież Państwowa Straż Łowiecka. W całym kraju służy w niej kilkadziesiąt osób. Ale oczywiście PSŁ ma swoje księgowości, kadrowe, szefostwa i wiele pomieszczeń biurowych. Bo strażnicy są pracownikami wojewody. I każdy z nich może wręczać mandaty, skuwać kajdankami, strzelać albo popieścić prądem. Straż łowiecka ma

bowiem to samo wyposażenie i te same uprawnienia co podległa komu innemu Straż Leśna. A że jedno i drugie powiela zabawki i możliwości policji, tej samej, która znacznie częściej niż strażnicy wypłtuje kłusowników i nocnych drwali?

Goryle marszałkowscy

Przejdźmy z lasu na ul. Wiejską w Warszawie. W zabudowaniach parlamentarnych działa Straż Marszałkowska. Jej pracownicy chronią budynki sejmu i senatu, mienie oraz osoby w nich przebywające, w tym oczywiście posłów, senatorów, ministrów, premiera i prezydenta. Strażnicy kontrolują osoby i pojazdy wjeżdżające na tereny należące do polskiego parlamentu. Można by zatem stwierdzić, że Straż Marszałkowska zajmuje się ochroną najważniejszych osób w państwie.

Zupełnie tak samo jak zupełnie inna formacja podlegająca całkiem innej zwierzchności. Ta druga nazywa się od 2018 r. Służbą Ochrony Państwa i robi to, co wcześniej robiła pod nazwą Biura Ochrony Rządu. Znaczą chroni wysokich urzędników państwowych w kraju oraz poza jego granicami. Pod ochroną tej służby mundurowej są m.in. prezydent, premier i byli prezydenci oraz marsza-

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Minister finansów wydał rozporządzenie w sprawie wydatków komitetów wyborczych w wyborach samorządowych, które – jak wiemy – odbyć się powinny na wiosnę. W gminach liczących do 40 tys. mieszkańców kandydaci na radnych mogą wydać na autopromocję 1344,16 zł. W gminach większych maksymalna kwota wynosi 1613 zł na osobę. Kandydat do rady powiatu może spędzić 3225,99 zł, do rady miasta – 4838,99 zł, a do sejmiku – 8064,98 zł.

■ Ponieważ praca w Urzędzie Miasta Rybnik nie jest ciekawa, nudzący się urzędnicy wyglądają przez okna. Zauważyli, że w budynku naprzeciw, nad biurem agencji ubezpieczeniowej, znajduje się napis „Agencja Ubezpieczeniowa”. Ale nie jest to dwuwymiarowy płaski napis, tylko trójwymiarowy podświetlany kaseton, którego jeden z wymiarów wystaje bezprawnie nad magistralną

chodnik, zajmując całe 20 cm przestrzeni napowietrznej. Magistrat ustalił, że nigdy się na coś takiego nie zgodził. W związku z nielegalnym zajęciem pasa ruchu drogowego właścicielka agencji otrzymała karę w wysokości 16 tys. zł. Wiceprezydent Rybnika Janusz Koper zapewnia, że urzędnicy nie popełnili błędu. Wybory samorządowe odbędą się w Rybniku, jak napisano wcześniej. Życzymy elektoratowi, aby tym razem nie popełniał już błędów, które poprzednio mu się przydarzyły.

■ Przed Sądem Okręgowym w Elblągu rozpoczął się kolejny proces policjantów z Olsztyna, którzy w 2014 r. wydobylali od podejrzanego zeznania kopniakami, rażeniem prądem, biciem pałą i pięściami. Torturujących było 17. Postawiono im 72 zarzuty. Z przyczyn proceduralnych kolejna rozprawa odbędzie się już w marcu przyszłego roku. Młyny sprawiedliwości miały powoli – w tym przypadku to wychodzi nam jakieś 10 lat.

■ Prezydent Puław skierował do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez własnych urzędników, polegającego na publicznym znieważeniu symbolu państwowego. Na terenie Zakładu Usług Komunalnych znaleziono worki z flagami państwowymi. W kontenerze przeznaczonym na odpady tekstylne, do którego dostęp miały osoby postronne. Pracownicy urzędu utrzymywali, że flagi były zużyte, więc przeznaczyli je do likwidacji. Zdaniem prezydenta Pawła Maja flagi powinny być najpierw rozcięte w celu rozdzielenia barw na-



wietrzenia

łek sejmu. Ten, który ma pod sobą przecież Straż Marszałkowską. Najciekawsze jednak jest to, że ile razy chronieni przez SOP politycy są w sejmie, to SOP, a nie Straż Marszałkowska, opiekuje się oficerami. Dlaczego zatem nikt nie wpadł do tej pory na pomysł, który uprościłby procedury, zmniejszył koszty państwa i nie wcielił Straży Marszałkowskiej do SOP jako jej części odpowiadającej tylko za parlament?

Nowa władza w kampanii wyborczej i później dużo opowiadała o racjonalizacji pisowskiej schedy budżetowej. Ale nie wspomniała o funkcjonariuszach poprzebieranych w mundury i podległych

dziwnym ministerstwom i instytucjom. Z drobnym wyjątkiem, na którym wietrzenie służb w Polsce się zacznie i skończy, bo tylko agenci CBA znów wrócą na łono policji.

Nikomu nie wpadło do głowy, że rozmnożone mundurowe byty, których zadania się pokrywają, prowadzą do chaosu i marnotrawienia pieniędzy. Oraz niepotrzebnego współzawodnictwa, podkładania sobie świni i wszystkiego, co każdy zna doskonale z amerykańskich filmów.

TADEUSZ JASIŃSKI



rodowych, a następnie spalone w niepublicznym miejscu. Prokuratura robi swoje. Prezes Zakładu Unieszkodliwiania Odpadów wyjaśnił, że flagi zostały już maszynowo zmiełone z poszanowaniem obowiązującego prawa. Wybory samorządowe w Puławach również odbędą się wiosną.

■ Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego i prokuratorzy z Prokuratury Krajowej ujęli 18-letniego mieszkańca gminy Ciepłowody, który z chrześcijaństwa konwertował na islam. Zdawało mu się, że jest Osamą bin Ladenem. Dlatego podjął działania w celu dokonania samobójczego zamachu na Komendę Powiatową Policji w Żabkowicach Śląskich. W garażu terrorysty znaleziono: pas szahida, gwoździe, puszki po piwie i baterijkę elektryczną mające posłużyć do konstrukcji bomby.

■ Krajowy potentat w przerobie złomu, tamogórski Olmet, zaprezentował jak co roku o tej porze kalendarz na 2024 r. Publikacja jest takim wydarzeniem obyczajowym na południu Polski jak na świecie wydanie słynnego kalendarza przez włoskiego producenta opon Pirelli. Do tej pory, jak łatwo się domyślić, na stronach kalendarza największej firmy recyklingowej w Polsce były kobiece akty na tle metalowych odpadów. W tym roku, z myślą o roku przyszłym, jest inaczej. Zamiast zdjęć cyncatych nagusek strony zdobiją portrety kobiet wygenerowane przez sztuczną inteligencję, których ciała wykonane są z drutu, śrutu, pogiętej blachy, wyszczerbionych kół zębatach oraz innych puszek po farbie i konserw po makrelu. Olmet odszedł od

nagości, ponieważ „kontrahenci z dużych korporacji nie mogą przyjmować prezentów, na których są nagie kobiety. Nie powieszają ich też na ścianie w swoim gabinecie”. Słusznie! Goła dupa każdego może znieścaczyć w przeciwieństwie do nagiej miski olejowej i biustu z drutu kolczastego, które mają całkowicie pobożną wymowę.

■ W ławie natomiast wykryto wściekle nietoperze. Powiatowy lekarz weterynarii Małgorzata Kalitowska stwierdziła, że wścieklizna jest chorobą śmiertelną dla ludzi, ale obecnie ryzyko transmisji jest niskie. Chyba że się przebywa w okolicach ulic: Dąbrowskiego, Kajki, Zalewskiej lub ogródków działkowych Grządka, uznanych za obszary szczególnego zagrożenia.

■ Auto Agaty M. od pół roku stoi zniszczone po wypadku w Świebodzinie. Do kolizji doszło na parkingu przed miejscowym ośrodkiem zdrowia. Kiedy prowadzącej nie było w samochodzie, najechał na jej pojazd furgon miejscowej policji. Zakład ubezpieczeń odmawia odszkodowania za straty szacowane na 80 tys. zł, ponieważ prosząc policję o wskazanie sprawcy kolizji, otrzymał z miejscowej komendy wyjaśnienie, że sprawcy nie ma. Dokładniej, że na obecnym, trwającym sześć miesięcy etapie postępowania nie ma możliwości udzielenia bardziej szczegółowych informacji. No nie ma i już!

■ Pogranicznik z portu lotniczego Katowice Pyrzowice został kopnięty w okolice biodra (zapewne chodzi o po-

śladek) przez silnie gestykulującego po norwesku turystę udającego się na Maderę. Kąpiący prowadził z samym sobą ożywiony monolog (zauważamy, że mógł być to równie dobrze dialog) najpierw po angielsku. Następnie pokazał wyciągnięty środkowy palec. W wyniku badań stwierdzono u Norwega: tetrahydrokannabinol, alprazolam, metaklozepam, kłobazam oraz 1,92 promila alkoholu we krwi. Wiking przebywa teraz w Bytomiu na detoksie.

■ Natomiast turyści z Holandii włamali się do terminala kontenerowego w porcie Gdynia, w którym zdeponowano 150 kg czystej kokainy o wartości 40 mln zł. Skoro my o tym piszemy, to znaczy, że kradzież się nie powiodła. Zatem nie porzucajcie nadziei. 40 baniek nadal do wzięcia.

■ Koncern BAIC oryginalnie zlokalizowany w takiej mekce motoryzacji, jaką są Chiny, rozpoczął sprzedaż w Polsce miejskiego SUV-a BAIC Beijing 3 (Beijing to mandaryński Pekin, ale co oznacza ta trójka, nie wiemy). Samochód wykonany jest z blachy powleczonej niemetalizowanym lakierem. Fotele przytwierdzone są do podłogi. Tu i ówdzie kokpit o fakturze styropianu zdobity plastiki przypominające niklowany mosiądz. Producent zapewnia, że auto jest ekspresją chińskiej niezawodności. Żadnego dziadostwa. I co ważne, a podkreślone, „w jego wnętrzu bez problemu zmieszczą się cztery osoby”! Cena od 79 tys. zł.

■ Stoleczny Dworzec Centralny przestanie być symbolem taksówkowej mafii, napisała „Rzeczpospolita”. A to dla

tego, że amerykański Uber wygrał przetarg na dzierżawę postojów taksówek wokół warszawskiego dworca kolejowego – cieszy się dziennikarstwo „Rzeczy”. My również jesteśmy pod wrażeniem oszałamiającej kultury korporacyjnej i osobistej kierowców Ubera, pochodzących – jak nam się przydarzało przy ogromnym pechu – z Sudanu. Wyobrażamy sobie, jakiego trudu wymagało uzyskanie prawa stałego pobytu w Polsce. Jakim wyrzeczeniem jest dla Sudańczyka płacenie ZUS-u i podatków. No i co by nie gadać, otrzymanie polskiego prawa jazdy wymaga przecież przynajmniej znajomości podstaw polszczyzny, która w Sudanie nie jest językiem pospolicie rozpoznawalnym.

■ Zakopane podpisało umowę z telewizją publiczną na przeprowadzenie „Sylwestra marzeń”. Rozpoczęto już budowę sceny plenerowej na Górnej Równi Krupowej, co wiąże się z koniecznością demontażu wykonanego z desek napisu „Zakopane”. Brak tego napisu może się okazać dla przyjezdnych dotkliwym i przejmującym doświadczeniem. A nuż pomyślą sobie, że są w Buenos Aires.

■ W związku ze świętami życie w naszym kraju straciło 11 mln karpi. Zanim staną się lokatorami waszych żołądków, pomyślcie o bezmiarze tej tragedii. Nabijajcie ich zwłoki na widelce z należytą czcią i zadumą.

R.J.

PS Informacje pobrano z prasy lokalnej jako potencjalnie inspirujące dla globalnej opinii publicznej, co jednak nie znaczy, że muszą być absolutnie prawdziwe.



Jak Lolek został papieżem.

Klawe konklawe

Kiedy w listopadzie 1978 r. Jan Paweł II spotkał się z delegacją Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, oświadczył (cyt. dosł.): „Jego wybór był darem dla Polski od Boga”. Jedną z pierwszych decyzji nowego papieża, którego wybór publicznie ogłoszono 16 października 1978 r. o godzinie 18.45, było przywrócenie odrzuconej przez poprzednika formy pluralis maiestatis, czyli liczby mnogiej majestatu. Oznacza to używanie właśnie liczby mnogiej przez papieża wobec siebie samego i wymaganie, aby inni również jej używali w celu podniesienia dostojęstwa władcy. „Ja, Jan Paweł I” – „ja, Albino Luciani”. „My, Jan Paweł II” – „My, Karol Wojtyła”.

Gdzie dwóch się bije...

„Z szacunku, miłości i oddania Janowi Pawłowi I, a także Pawłowi VI, który był dla mnie źródłem inspiracji i siły, przyjmuję imię Jana Pawła II” – oznajmił po wyborze Wojtyła, który chciał pierwotnie przyjąć imię Stanisław na cześć polskiego męczennika i niewątpliwie średniowiecznego kościelnego warchoła św. Stanisława ze Szczepanowa. Wybito mu to jednak z głowy. Zasugerowano, że dobrze, aby istniała choć sugestia ciągłości pomiędzy jego pontyfikatem a 33-dniowym pontyfikatem „uśmiechniętego papieża”. Zagadkowa śmierć Lucianiego oszołomiła katolików i zdruzgotała wielu purpuratów, którzy liczyli na Kościół z ludzką twarzą. Wprowadzenie reform, o których potrzebie mówił już Jan XXIII, inicjator soboru watykańskiego II. Wybór nieznanego szerzej Wojtyły, a wcześniej prospołecznego Lucianiego, miał odsunąć od możliwości zajęcia tronu papieskiego arcybiskupa Genui konserwatyście Giuseppe Siriego.

Siri co prawda uchodził za zwolennika soboru, ale raczej tego w Trydencie z lat 1545–1563, wyznaczającego początek kontrreformacji. Pewny tego, że zostanie papieżem (wybrał sobie imię Grzegorz XVII), pod obietnicą absolutnej dyskrekcji udzielił wywiadu zaufanemu dziennikarzowi z zaprzyjaźnionej „Gazzetta del Popolo”. Miał się on ukazać dopiero w momencie, kiedy purpuraci udadzą się na konklawe i dopóki nad bazyliką św. Piotra nie pojawi się biały dym, nikt nie będzie się mógł z nimi skontaktować. Siri w swoich wypowiedziach wyśmiał Jana Pawła I, skrytykował swojego głównego konkurenta arcybiskupa Florencji Giovanniego Benellego uchodzącego za zwolennika kontynuacji głębokich reform zapowiedzianych przez Jana Pawła I. Obsmarował watykańskiego sekretarza stanu i szarą eminencję kardynała Jeana-Marie Villota oraz odrzucił jednoznacznie zasadę kolegiałności przy podejmowaniu

decyzji w Watykanie. Cóż, materiał wypłynął, co jednak zaszkodziło i Benellemu, bo poszła plotka, że to on odpowiada za zbyt jawnie niesportowe uwalenie aroganckiego kontrkandydata. Ostatecznie zabrakło florentczykowi dziewięciu głosów do wymaganej przy konklawe większości.

Lisek chytrusek

Kardynałowie nie mieli pojęcia, że Karol Wojtyła również opowiada się za absolutną władzą i nieomylnością papieską. Ten potrafił trzymać język

godności, znów zwracając się do Boga, co jest przejawem tej szczególnej godności człowieka, jego duchowej wielkości, spotkania między człowiekiem i Bogiem, w wewnętrznej prawdzie sumienia”. Humanista pełną gębą, który tak ujął swoim czarem Pawła VI, że ten w latach 1973–1975 przyjmował go na prywatnych audiencjach aż 11 razy! Budziłoby to zazdrość innych, gdyby nie to, że Wojtyła był w Watykanie lekceważony. Tymczasem on od 1969 r., korzystając z pogarszającego się zdrowia Wyszyńskiego, budował sobie pozycję w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. W lipcu 1976 r., licząc



za zębami. Uchodził za bardzo zaangażowanego w sprawy Kościoła, niekontrowersyjnego mężczyznę z dalekiego kraju, gorącego w samej istocie wiary. Trzymającego się z daleka od polityki, a także spraw administracyjnych i finansowych, przy których dłużej Jan Paweł I. Niegroźny typ. Zawsze skłonny do pomocy przy nużących i nudnych sprawach. Przewodniczący i główny mówca – na prośbę Pawła VI – watykańskich rekolekcji wielkopostnych z 1976 r. Aktor recytujący z uniesieniem: „Tylko w tajemnicy słowa, które staje się ciałem, naprawdę zrozumiała staje się tajemnica człowieka. [...] Człowiek ukłęknie przed konfesyjonałem, bo zgrzeszył. W tej chwili zyska na

na to, że skłóci się go z Wyszyńskim, wydano Wojtyłę paszport na filadelfijski Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny. Wcześniej obokczył podobny w Melbourne. Nigdy nie miał problemów z wyjazdem do Rzymu czy do Genui, dokąd jeździł, by wygłaszać wykłady filozoficzne. Nowa Zelandia, Papua-Nowa Gwinea, Filipiny? Proszę bardzo, pan jedziesz!

Przy okazji prezentacji jego filozoficznych tekstów na Harvardzie „The Acting Person”, uzupełnionych przez przebojową zamerykanizowaną filozofkę Annę Teresę Tymieniecką, wadowiczanie nie miał nic przeciwko temu, aby przedstawiano go jako „przyszłego papieża”. Tak lansował Wojtyłę mąż rzeczony Hendrik S. Houthakker,

nagradzany ekonomista i członek Council of Economic Advisers.

„New York Times” poświęcił krakowskiemu arcybiskupowi artykuł. W Ameryce *show must go on, yeah*, a książki muszą się sprzedawać... Stary Watykan miał na to wyjebane. A Wojtyła się uczył i uczył – rznąć liska chytruska, tyle że ze skromną szarą kitą.

Kandydat niedorzeczny

3 października, wciąż promowany przez polskich aparatczyków jako opozycja do Wyszyńskiego, wyjechał z Warszawy do Rzymu. Pod pachą miał teczkę z kompletem badań lekarskich. W tym z EKG zrobionym tego samego dnia o godz. 7.30, które wskazywało, że arcybiskup krakowski Karol Wojtyła ma serce jak dzwon. Na pewno nie pierdyknę na zawał jak Jan Paweł I...

Konklawe to nie tylko chaos, konklawe to koszty, w które brną tak pojedynczy purpuraci, jak i Watykan. I to upierdliwe pakowanie walizek... W Watykanie i Kurii Rzymskiej się rozgrywało, a Wojtyła, którego nazwisko padło przy poprzednim konklawe w jednym z szeregu głosowań, postanowił tym razem wygrać po swojemu.

Kawaler maltański, wysoki urzędnik Kurii Rzymskiej kardynał diakon Andrzej Maria Deskur uświadomił Karolowi Wojtyłę, którego był protektorem, że jeśli ostatecznie włoscy purpuraci nie zjednoczą się wokół kandydata Włocha – a zrobili to z trudem kilka tygodni temu – mogą sięgnąć po cokolwiek szokującą, ale z pozoru bezpieczną dla nich kandydaturę Polaka. Kolejną, który poniecha zmian personalnych, jakie chciał poczynić Jan Paweł I, i nie wdroży kontroli w Banku Watykańskim.

Wyszyński zapytany o kandydaturę Wojtyły powiedział w prywatnej rozmowie z wiedeńskim kardynałem Franzem Königiem: „Wojtyła jest nieznany. Ten pomysł jest niedorzeczny.”

Włosi chcą mieć kolejnego włoskiego papieża i tak się stanie. Wojtyła jest o wiele za młody, żeby go w ogóle brać pod uwagę”. Nieznany arcybiskup krakowski zostaje jako tzw. kandydat kompromisowy zaproponowany przez Königa i kardynała metropolitę Filadelfii abepa Johna Krola. Jest drugi dzień konklawe, mija szóste głosowanie.

Głosowanie ósme wymagana większością głosów (75 proc.) czyni z Karola Wojtyły Jana Pawła II.

IZABELA SZOLC

9



Święta Barbara w kopalniach i pielgrzymki do Piekar – taki ułtarz się obraz bogobojnych Ślązaków. A tymczasem „4 grudnia w dzień św. Barbary na kopalni »Morgenstern« od 6 godziny do 12 tańczono i hulano, tańczyli górnicy i żony górników, a po tańcu i po balu to się ciarali jak w błocie. Robotnicy po części są katolikami niezupełnymi. Tańczyli w adwencie, a na posła katolickiego mało kto głosował” – tak skarżono się w śląskiej gazecie „Katolik” w 1885 r. Kopalnia „Morgenstern” mieściła się na terenie obecnych Katowic.

Podobne wrażenie wynieśli przybysze spoza regionu. „O moralności nie ma mowy w okęgach przemysłowych Śląska. Proletariat wie rzadko, co to pociecha religii, a rzadziej co trzeba, a czego nie wolno” – pisał Teodor Jeske-Choiński w „Listach ze Śląska” publikowanych w warszawskim dzienniku „Wiek”. Może więc ten śląski ludek wcale nie był aż tak bogobojny, jak mu się później to przypisało?

Duch nienawiści

Tradycyjnie Śląsk kojarzony był jako ostoja katolicyzmu. Wyrwani z wiejskiego środowiska robotnicy szukali oparcia w religijnych rytuałach, a w pracy pod ziemią – przy kiepskich zarządnach ucieczkowych – modlitwa mogła wydawać się jedynym źródłem pociechy wśród wszechobecnych zagrożeń. Tak było jednak tylko na początku industrializacji.

W miarę zakorzenienia się w środowisku miejsko-robotniczym postępował proces laicyzacji i ograniczania sfery religii do obrzędów, a ksiądz przestawał być ostatecznym autorytetem.

Zaczął się to już w końcówce XIX w. na austriackim Śląsku. W katolickiej „Gwiazdce Cieszyńskiej” pisano w 1894 r.: „Od pierwszego socjalistycznego zgromadzenia [...] wielką część górników opanował jakiś duch nienawiści, najprzód ku kościołowi, bo od tego czasu wielu górników poczyną w niedzielę kościół opuszczać; potem nienawiść ku swoim kapłanom. Ta nienawiść się objawia w ten sposób, że wielu górników, którzy swoich duszpasterzy szanowali i też od nich krzywdy nie mieli, kapłanów nie pozdrawiają, im różne imiona szkaradne dawają, na nich wywołują, obmawiają bez wszelkiej przyczyny, nawet przy wyborach

Kler w desperacji

Czerwona zaraza na Śląsku.

gminnych raczej swojemu przyjacielowi niż kapłanowi głos oddawają”.

Z kolei w Ustroniu księża, przy wsparciu dyrekcji kuźni, otworzyli czytelnik katolicką. „Biblioteka osiągnęła wręcz odmienny skutek, niż zarząd huty zamierzał, bo robotnicy chętnie wypożyczali, czytali, a były tam i dobre książki. Jezuickich wydawnictw robotnicy nie czytali” – wspominał jeden z robotników. O nowej pozycji kleru świadczy też ludowa humoreska z „Gwiazdki Cieszyńskiej” z 1894 r., gdzie jeden z bohaterów opowiada, że „w węglarskiej okolicy” (Zagłębie Ostrawsko-Karwińskie) „ubywa w kościołach ludzi, bo raczej słuchają kazania socjalistycznego niż słowa Bożego”.

Wiara wydarta z serc

Po austriackiej stronie Śląska Kościół był mocno związany z władzą i arystokracją, natomiast po stronie niemieckiej działał w ramach państwa oficjalnie świeckiego. To odsunięcie Kościoła od władzy – i strach przed konkurencją ze strony socjalistów – popchnęły księży do zaangażowania w tworzenie organizacji łączącej religię z obroną pewnych praw społecznych.

Demoralizacja ludu jednak postępowała. W 1883 r. „Katolik” z przerażeniem donosił, że nie dość, że na babskim combrze w osadzie robotniczej Wilhelmina niedaleko Katowic pojawiły się chłopcy, to jeszcze „gdy sobie nieco popili, poleciał jeden chłop do domu zaraz wąs zgolić i wziął szaty kobiece i za babę się przestroił, a kilka bab za chłopów, a zakończyli potem z bijatyką”. W 1912 r. upadek obyczajów był już pełny: „Kiedy ubiegłej niedzieli wracałem z kościoła do domu” – skarży się w liście czytelnik – „napotkałem dziewczę uczące się szycia w Oleśnie. Nie wiadomo skąd, ale tak przewrócone ma teraz owa dziewczyna w głowie, że już do człowieka katolickiem pozdrowieniem nie odezwie się. Kiedy powiedziałem jej »N.b.p.J.Chr.« uciekła, jak złodziej, którego przylapi się na uczynku. Nauka w mieście zdaje się powoli wydziera wiarę z serc dzieci naszych. Matki, pilnujcie dziatwy i nie pozwólcie bałamucić się jej kulturą »fajną«. Lepiej będzie Wam i dzieciom, jeżeli pozostaniecie uczciwymi, choć biednymi Polakami, bo wiary św. nie zatracicie”.

Śląscy ateści

W 1907 r. badacz Adolf Levenstein rozesłał ankiety do kilku tysięcy działaczy socjaldemokra-

tycznych i związkowych pracujących w górnictwie, przemyśle metalowym i tekstylnym na terenie całych Niemiec. W ankiecie znalazło się 26 pytań dotyczących pracy, płac, polityki, życia rodzinnego, alkoholu, ale i wiary w Boga. Odpowiedziało ponad 5 tys. osób, a wyniki badania opublikowano w pracy zatytułowanej „Die Arbeiterfrage”.

W gronie respondentów znalazło się 502 górników ze Śląska, tak z Zagłębia Wałbrzyskiego, jak i z Górnego Śląska. Oczywiście chodzi o górników bliższych socjaldemokracji, a więc stanowiących mniejszość, jednak ich odpowiedzi pokazują zmiany zachodzące w ramach całej górniczej społeczności. Nie były to dla Kościoła wieści optymistyczne.

„Tu na Górnym Śląsku nie można wyjść z Kościoła” (górnik, lat 21). „W Boga nie wierzę. Z Kościoła nie odszedłem, bo nie chcę mieć problemów z pracodawcą” (lat 29). „Jeszcze nie odszedłem z Kościoła. To jest bardzo trudne na Górnym Śląsku” (lat 29). Wśród śląskich respondentów 207 zadeklarowało wiarę w Boga, nieco mniej w ogóle nie odpowiedziało na to pytanie, ale aż 126 określiło się jako ateści.

Przyszł kler i piekło wszczął

Jednak nawet wierzący ulegali miazmatom socjalizmu, doprowadzając kler do desperacji. „Gazeta Robotnicza” w 1898 r. donosiła: „W niedzielę 19 czerwca w kościele w Ostrogu pod Raciborzem odbyło się zamiast nabożeństwa polityczne zgromadzenie. Ks. Pfleger mijał z kazalnicy najbrudniejsze potwarze przeciw socjaldemokratom, jadował się z całej duszy, że w jego parafii padło na Bebla [socjaldemokratę] 363, a na księdza Franka nie wiele więcej, bo tylko 400 głosów. Oto jego kazanie: Wstyd i hańba, iż tak daleko u nas ta zaraza socjalistyczna zapuściła korzenie. Ja pomiędzy moimi kolegami nie będę się mógł wcale pokazać, bo ci będą na mnie wskazywać palcem i mówić: Patrzcie to owoce w jego parafii, po co dopiero odbyte świętej misji. Precz z wami z kościoła! Albo wy 363 socyal-

demokratów opuście moją parafie, albo ja tu się ztąd wyniosę”.

Do walki z czerwona zarazą proboszczowie werbowali kobiety. Jak czytamy w korespondencji z Dąbrowki Małej: „Oni najpierw wyspiegują, kto »Gazetę Robotniczą« czyta, a to za pomocą spowiedzi, lub kiedy my jesteśmy u pracy, to oni łażą od domu do domu i nasze żony przeciw nam podburzają. Żona robotnika musi księdzu przysięgać, iż będzie z mężem tak długo walczyć, aż go zwalczy, a chociaż by ona i śmierć poniosła, to zostanie męczenniczką. Nie macie pojęcia towarzysze, co stąd wynika; gdzie była miłość i zgoda, gdzie choć biedni, ale żyli szczęśliwie, to teraz przyszedł kler i wszczął w rodzinie piekło”.

Nie zamykajmy historii Śląska w kruchcie.

DARIUSZ ZALEGA



Rys. TOMASZ WIATER



W świetle najnowszych badań hejt, który spływa na dojrzewających chłopców w związku z „niedostateczną męskością”, pochodzi w zdecydowanej większości od mężczyzn, a nie – jak się powszechnie uważa – tylko od kobiet. Hołdujący idei macyzmu, wizji fantasmagorycznie silnego fizycznie i psychicznie samca, który dominuje w relacjach i trzyma emocje na wodzy, nie tylko zatruwają życie innym, ale i nieświadomie skracają swoje. Jak się okazuje, wszystkie zjawiska, o których mówi się w kontekście toksycznej męskości, ludzko przypominają te wyrosłe z ruchu muskularnego chrześcijaństwa.

Za socjologiczną koncepcją toksycznej męskości kryje się szereg postaw mających wpływ nie tylko na samych mężczyzn, ale i na ich środowisko. Dewaluacja kobiet, obsesja dominacji, homofobia, wypieranie własnych uczuć czy stosowanie przemocy dla osiągnięcia założonych celów to składowe, które wyznaczają pułap kulturowego wzorca męskości. W kręgu samców alfa nie ma miejsca ani na inteligencję emocjonalną, ani dla kogokolwiek, kto odstaje od ikonizowanego modelu prawdziwego mężczyzny.

Powstały na gruncie anglosaskim i protestanckim XIX-wieczny męski ruch mitotwórczy muskularnego chrześcijaństwa zyskał efekt śnieżnej kuli i zbiera krwawe żniwo w XXI w.

A wszystko przez te baby

W XIX w. zachodnie chrześcijaństwo stało się na tyle sfeminizowane, a brak równowagi płciowej tak uwypuklony, że dwaj angielscy pisarze i myśliciele Charles Kingsley i Thomas Hughes, obrzydzeni zniewieścieniem Kościoła angikańskiego, stworzyli w swoich książkach bohaterów stanowiących idealną

Muskularne chrześcijaństwo podbija oczy chłopcom.

przeciwwagę, posiadających cztery podstawowe cechy: męskość, moralność, zdrowie i patriotyzm. Obaj autorzy uważali, że udział w sporcie może przyczynić się do rozwijania chrześcijańskiej moralności, sprawności oraz męskiego charakteru. Ponadto sport w wiktoriańskiej rzeczywistości spełniał jeszcze jedną ważną funkcję: miał być narzędziem w walce z lenistwem i grzechem. Tak więc w powieściach Hughesa i Kingsleya narodzili się młodzi mężczyźni, którym udało się połączyć etykę chrześcijańskich dżentelmenów z atletyzmem.

Termin „muskularne chrześcijaństwo” został użyty po raz pierwszy przez prawnika Thomasa Coletta Sandarsa w recenzji jednej z książek Kingsleya.

American dream

Amerkanie, którzy ochoczo chłonili europejskie idee, prędko przejęli filozofię muskularnego chrześcijaństwa, które popchnęło etos Kościoła w bardziej praktycznym, bo zorientowanym na działanie, kierunku. W nastawionym na silną rywalizację wobec postępu industrialnego społeczeństwie należało zredefiniować męskość. Modelowi bogobojnego chrześcijanina towarzyszył wzorec *self-made man*, człowieka przepełnionego ambicjami i twardo dążącego do celu.

Mit samca alfa



Maskulinizacja religii poprzez odrzucenie zniewieściałości rozwijała kult supersamca. Samoroż-woj obiecywał osobiste zbawienie,

a dyscyplinowanie ciała poprzez ćwiczenia sportowe budowało pewność siebie i tolerancję na ból. Męskość w nowej odsłonie miała wykreować kulturę silnych, agresywnych samców potrafiących sobie poradzić w czasach sufrażystek, imigrantów i monopolistów. Powstawało pokolenie dżentelmenów barbarzyńców. I choć po I wojnie światowej idea zaczęła wygasać, głęboko zakorzenione atrybuty słabości i strachu w dalszym ciągu kształtują społeczne kody zachowań.

Co nie wzmocni, to zabije

Wspólne badanie psychologów z Uniwersytetu Gdańskiego i Uniwersytetu Południowej Florydy, którego wyniki opisano w wydawanym przez Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne czasopiśmie „Psychology of Men & Masculinities”, dowodzi, że w krajach, w których dominuje skostniały ideał hiperbolizowanej męskości, mężczyźni umierają w młodszych wiekach.

Ankiety badawcze przeprowadzono w latach 2018–2020 na grupie 33 tys. studentów płci męskiej w 62 krajach. Respondentów zapytano o poglądy na temat płci, a następnie na podstawie czynników określających tradycyjne męskie zachowania (uzależnienie od alkoholu, tytoniu, niebezpieczna jazda samochodem i skłonność do podejmowania ryzykownych działań) zweryfikowano je ze wskaźnikami zdrowia i długości

życia mężczyzn w poszczególnych krajach. Wnioski nie napawały optymizmem:

w krajach o solidnie wrosłym w kulturę stereotypie mężczyzny w typie macho panowie żyją średnio o 6,5 roku krócej niż tam, gdzie macki idei samca alfa nie sięgają.

Toksyczna męskość prowadzi również do większej liczby samobójstw, gdyż presja bycia silnym zniechęca do sięgania po specjalistyczną pomoc.

Według ostatniego badania Infuture Institute „Dojrzewanie polskich chłopców” przeprowadzonego w 2023 r. na grupie 300 nastolatków jednym z największych wyzwań, z jakimi mierzą się dojrzewający młodzi mężczyźni, jest poznanie siebie i obawy związane z budowaniem bliskich relacji (np. głębokich przyjaźni czy związków). Jednym z powodów tej blokady jest poczucie bycia „niedostatecznie męskim”.

IDALIA DUBICKA

Nowe hobby Polaków.

W myckach lobbystów

W związku z tzw. aferą wiatrakową, którą wywiali już z głów wichry kolejnych skandali i aferek parlamentarnych, na salony wkroczył lobbying. Bardziej nawet samo słowo niż jego de-
sygnat. „Lobbying”, „lobbysta” połączone ze złowrogim przymiotnikiem „niemiecki” przywołuje w odbiorcach pisowskiego przekazu obrazy żywcem wzięte z horrorów. Niemiecki lobbysta to blondyn z esesmańską facją, wilczymi oczami i neseserem pod pachą. W walizce oczywiście euro, żeby do końca wykupić Polskę. Lobbyista to kolejna postać z tego samego imaginariu, co agent, zdrajca, mason czy żyd. W każdym razie nikt, komu można podać rękę bez późniejszego przeliczenia palców.

Najpopularniejsze lobby to niemieckie, żydowskie i gejowskie. Czasem się przenikają lub ich przedstawiciele pomagają sobie wzajemnie, bo cel mają wspólny: zniszczyć Polskę i Kościół. Na nic tłumaczenia, że lobbying to normalna praktyka w demokratycznych państwach (w niedemokratycznych nie jest potrzebna, bo tam i tak o wszystkim decyduje władza bez żadnych konsultacji). Na nic próby wyjaśniania, że nawet w Polsce mamy lobbying uregulowany ustawą jako pokłosie po aferze Rywina. Ustawa licha, bo licha, ale jest. Niestety, gdy pisowcy i ich medialni funkcjonariusze uczepią się jakiegoś hasła, to zaruchają je na śmierć. A więc lobbysta to: neseser, korupcja, Niemcy.

Oczywiście lobbysci nie są kumplami od piwka, z którymi można sobie bezinteresownie pogadać o życiu. To raczej przyjaźń z barmanem: on zawsze cierpliwie wysłucha, pokiwa głową ze zrozumieniem, poklepie po ramieniu, ale płacisz ty, a czasem też stawiasz i jemu kolejkę. Lobbyista reprezentuje interesy korporacji czy branży, nie jest filantropem. Idealny stan to taki, kiedy uda się wypracować w miarę sensowny i opłacalny kompromis dla każdej ze stron: biznesu i państwa. Zapewne wśród parlamentarzystów nie ma zbyt wielu pasjonatów i ekspertów od wiatraków albo innych niszowych zagadnień, za to odpowiednie firmy uprzejmie służą wiedzą i doświadczeniem. A nawet przyniosą gotową ustawę przygotowaną przez najlepszych prawników. Będzie sympatycznie i profesjonalnie, a może i jakiś upominek się znajdzie. Sprawę



przecież uregulować trzeba, to leży w interesie społecznym, i nie tylko społecznym.

Gdy Braun widowiskowo zgasił świecznik chanukowy w Sejmie, a zdrowsi mentalnie politycy próbowali gasić skandal, który tym wywołał, z otchłani konfederackich umysłów wypetliła myśl o lobby żydowskim. Bo to przecież niemożliwe, żeby polscy (czy aby na pewno?) posłowie nie byli na żydowskim żołdzie. Gdy-

by nie brali szekli pod stołem, toby się tak nie płaszczyli przed starozakonnymi. Braun obnażył, kto jest kto i co nam tu szykuje. Wasze ulice, nasze kamienice. Żeby Polska była Polin itd. Ci konfederaci nawet nieźle kombinują i jak dorosną, to może będą z nich ludzie. Wiedzą, że dzwoni, ale nie wiedzą, w której świątyni. Nie słyszą, że to nie w synagodze dzwoni, a w kościele. Lobbyści rzeczywiście noszą małe czapeczki na czubku głowy, lecz nie są to jarmulki, ale piuski.

Jeszcze dobrze sprawa Brauna nie ucichła, a tu przewodniczący episkopatu abepe Gądecki pisze do Dudy, żeby ten blokował ustawę o in vitro. „Zwracam się z uprzejmą prośbą o odmowę podpisania ustawy z dnia 29 listopada 2023 r. o zmianie ustawy o świadczeniach opieki zdrowotnej finansowanych ze środków publicznych i przekazanie jej do ponownego rozpoznania przez Sejm lub skierowanie jej do Trybunału Konstytucyjnego” – pisze do prezydenta Gądecki. Chłop jakby nie zauważył, że co nieco się w kraju pozmieniało. Albo zauważył i zignorował. Napisał w końcu do ostatniego bastionu kościółkowych mającego coś do powiedzenia. Ale Duda z przyzwyczajenia zapewne podpisał, jak leci. Arcybiskup zrobił to w czasie, kiedy Barbara Nowacka ogłosiła, że w szkołach będzie mniej katechezy, i wyrzuciła Barbarę Nowak ze stanowiska małopolskiej kuratorki oświaty. Dość wyraźne znaki nadchodzących zmian. A tu wychodzi Gądecki cały na fioletowo i chce ustawy pod kościelną doktrynę ustawiać.

I kto tu jest lobbystą? Kto chce naciskać na organy państwa i na głowę państwa? Mamy przecież całe oficjalne gremium od tego: Komisję Wspólną Rządu i Episkopatu. Gwoli ścisłości, jest też Komisja Wspólna Rządu i Polskiej Rady Ekumenicznej, no i tam rzeczywiście są Żydzi. I też lobbowali – w sprawie uboju rytualnego na przykład.

Stawiam jednak dolary przeciwko orzechom, że dużo więcej obowiązujących ustaw konsultowanych było z duchownymi katolickimi niż z rabinami.

Były dominikanin prof. Tadeusz Bartoś wspominał, że w czasach rodzenia się tzw. kompromisu aborcyjnego rozgrzani do czarności klerykałowie na poważnych stanowiskach służalczo raportowali klechom, co i jak sprytnie udało im się przepchnąć, żeby Polska była katolicka.

Już z tą aborcją to – powiedzmy – pół biedy, tak są zaprogramowani, urzędowo muszą się sprzeciwiać i nikt niczego innego się po nich nie spodziewa. Ale o in vitro naprawdę nikt ich nie pytał i stracili szansę, żeby nie wyjść na idiotów. I to w dodatku przed Bożym Narodzeniem, upamiętniającym narodziny z poczęcia dalece nieklasycznymi metodami.

Na koniec zaś kamyk do konfederackiego ogródka i puzzel do ich układanki. W końcu są święta, czas dobroci dla ludzi i zwierząt. Otóż abepe Gądecki, dzisiejszy lobbysta przeciwko in vitro, swego czasu uchodził w środowiskach narodowych za naczelnego żydofila episkopatu. Gdy w 2009 r. wybierano przewodniczącego episkopatu, a Gądecki miał spore szanse na wygraną (udało mu się dopiero w kolejnych wyborach), przed siedzibą Konferencji Episkopatu Polski witały go okrzyki poprzedników Brauna: „Gądecki do domu!”, „Polacy do władzy!”, „Chcemy Ewangelii, a nie Talmudu!”. Wygrał wówczas abepe Michalik, któremu prawdziwi Polacy sprzyjali. W 2013 r. zaś jako wiceprzewodniczący episkopatu Gądecki przewodniczył delegacji polskich biskupów podczas oficjalnej wizyty w Izraelu i gadał sobie na tle flag izraelskich w pałacu prezydenckim z Szymonem Peresem. Co więcej, w latach 1995–2008 był konsultorem Papieskiej Komisji ds. Religijnych Relacji z Żydami i zainicjował obchodzenie Dnia Judaizmu w polskim Kościele kat. Wisienka na torcie: był członkiem Komitetu Budowy Muzeum Historii Żydów Polskich. Przypadek? Czy to jeszcze episkopat, czy już rabinat?

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Ostatnie podrygi
Jędraszewskiego.

Odchodne



To prawdopodobnie ostatni numer świąteczny, w którym piszemy szerzej o abepie Jędraszewskim. Stały bohater kronik klerykalnego szaleństwa w przyszłym roku osiągnie wiek emerytalny. Stanie się to w lipcu, ale już w marcu straci stanowisko wiceprzewodniczącego episkopatu po upływie pięcioletniej kadencji. Choćby ze względu na jego zasługi w dostarczaniu materiałów do naszych stałych rubryk i okazjonalnie większych tekstów należy mu się skromne epitafium.

Zwłaszcza że – jak na niebawem emeryta – poczyną sobie Marek Jędraszewski całkiem śmieje. Mebluje diecezję po swojemu, obsadzając co lepsze parafie zaufanymi ludźmi. To inwestycja na przyszłość: najbliższe miesiące to będzie czas ostatniego objazdu po parafiach w roli metropolity, a obsadzeni na lukratywnych posadach księża potrafią być wdzięczni. Arcybiskup zaś na pewno nie chce obniżyć dotychczasowego komfortu życia. Od (też niebawem emeryta) Dudy otrzymał już na pamiątkę Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. Teraz czas zabezpieczyć emeryturę.

Po ojcowsku

Nowe porządki starego metropolity krakowskiego mają tło kościelno-polityczne. W sieci krąży list abepie Jędraszewskiego do ks. Dariusza Rasia, proboszcza parafii Wniebowzięcia NMP w Krakowie, do której należy bazylika Mariacka. Metropolita krakowski „wzywa pod ojcowsku” swojego podwładnego, aby podał się do dymisji albo inaczej sam go wywali. Jest to rozpisana na siedem stron zawołana księzowskim dialektem groźba czy też propozycja nie do odrzucenia. Jeśli sam odejdzie, dostanie nagrodę pocieszenia w postaci innej fuchy. Jeśli nie, to *arrivederci*. Takie „ojcowskie” relacje są, owszem, spotykane w rodzinach, ale raczej włoskich i znanych głównie z filmów.

Raś jest bratem Rasia. Posła Rasia. Ks. infułat Dariusz Raś, niegdyś kapelan Dziwisza, po posłudze u boku najcenniejszej relikwii JP2 dostał w nagrodę posadę w bardzo bogatej parafii. Ale teraz ją straci, niedługo potem, jak jego brat uzyskał mandat poselski z listy Trzeciej Drogi. „Nie wiem, czy to jest przypadek, czy świadome działanie, ale ten list jest datowany na dzień, w którym brat adresata, poseł Ireneusz Raś, składał przyrzeczenie na inauguracji sejmiku. To jednak pokazuje, że w jakimś stopniu jest to upolityczniona sprawa” – komentował ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski dla portalu Dziennik.pl. „Poprzedni proboszcz Bronisław Fidelus przekształcił parafię w bardzo dochodowe przedsiębiorstwo. Prowadzą hotel, sklepy, mają pieniądze za czynsze z kamienic. Nagle ta parafia stała się bogatą instytucją” – opowiada Isakowicz-Zaleski. I dodaje, że brat parlamentarzysty

prawdopodobnie niezbyt dobrze radził sobie z finansami parafii, co jest dodatkowym pretekstem do pozbycia się go. Jędraszewski powołał komisję, która wykazała nieprawidłowości. Jak podaje „Fakt”, komisja wyliczyła ks. Rasiowi m.in. „nierzetelne prowadzenie dokumentacji, pozyskanie dotacji na renowację bez wcześniejszej zgody przełożonego, przyjmowanie darowizn bez zgody kurii, kupno samochodu za cenę trzykrotnie niższą od rynkowej, nawet ustawienie konkursu na organistów”. Odwołanie niezaradnego (tzn. zaradnego, ale niedzielącego się) proboszcza to krok naprawczy. Pełna kasa na plebanii i odpowiedni podział pieniędzy – to są te słynne „racje duszpasterskie”.

Jędraszewski nie potrafi Trzeciej Drogi, inaczej niż jego poprzednik Dziwisz, który niegdyś błogosławił konserwatywnej części PO. Kto dziś pamięta coroczne rekolekcje Platformy (wówczas m.in. z Gowinem na pokładzie) czy Kościół łagiewnicki w opozycji do toruńskiego? Wspomniany Isakowicz-Zaleski, podobnie jak red. Terlikowski, swego czasu zarzucał Dziwiszowi upolitycznienie Kościoła i krakowskiej kurii... na rzecz PO. Takie były czasy! Ks. Dariusz Raś jest jedną z ostatnich sierot po PO-PiS-ie i beneficjentem tego układu. Jędraszewski rozbił resztki zapomnianego już projektu politycznego.

Ostatnie zniwa

Na marginesie jest to kolejna mniej znana odsłona relacji państwo-samorząd-Kościół: osobiste, a czasem rodzinne relacje. Zwłaszcza na prowincji dawniej zdarzało się, że jeden syn gospodarza szedł na księdza, drugi na lekarza, prawnika czy nauczyciela. Potem ten „świecki” brat zostawał radnym, wójtem, posem itd. Duchowny brat wspinał się zaś po szczeblach kariery kościelnej. Pozostawał oczywiście z rodzeństwem w zażyłych relacjach, nieraz korzystając z rodzinnych koneksji i odwiedzając się wedle możliwości. Dziś są to politycy i duchowni w sile wieku i u szczytu kariery. I tak to się kręci w Polsce.

Nie tylko Raś padł ofiarą przedemerytalnych porządków Jędraszewskiego. Podobny „ojcowski” list otrzymał też ks. Krzysztof Wilk, proboszcz parafii Miłosierdzia Bożego w Krakowie Nowym Prokocimiu. Ten z kolei odwołał się od decyzji szefa do Watykanu i do czasu decyzji z centrali nie chce komentować sprawy.

Tak czy owak, są to już ostatnie zniwa abepie Jędraszewskiego w archidiecezji krakowskiej. Nie miał tam z górki: był pierwszym powojennym biskupem tej prastarej i bogatej diecezji spoza Małopolski. Jędraszewski pochodzi z Poznania, a wiadomo, że drut powstał w momencie, gdy poznaniak z krakowiakiem wyrwali sobie złotówkę z ręki.

Aby jeszcze bardziej wkurzyć swoich podwładnych, w ubiegłym roku nałożył na kościelne instytucje nowy podatek: dziesięcinę od działalności gospodarczej oraz innych dodatkowych dochodów.

„Chodzi o dodatkowe wpływy, jakie poszczególne parafie czerpią z dzierżawy nieruchomości, prowadzonych sklepików czy otrzymywanych w zamian za to, że na ich terenie stoją maszty telekomunikacyjne” – tłumaczył Onetowi rzecznik kurii krakowskiej ks. Łukasz Michalczewski. Nic tak nie raduje jak nowe podatki, zwłaszcza w diecezji, która żyje w dużej mierze z turystyki, także religijnej: domy pielgrzymy, ośrodki rekolekcyjne itp., jak choćby wspomniana parafia ks. Rasia. Jak miał powiedzieć kard. Kazimierz Nycz, pochodzący z archidiecezji krakowskiej, tłumacząc konieczność inwestycji w Nycz Tower: „My (Warszawa – Ł.P.) jesteśmy biedną diecezją, nie to co Kraków. Tam są pieniądze, diecezja bogata, a tu trzeba dbać o zasoby”. Pieniądze są, ale Jędraszewski dba, by nie zabrakło.

Biskup przycina krzaki

Raś jest człowiekiem Dziwisza. Z tej samej stajni jest też Grzegorz Ryś, od niedawna kardynał, na razie rezydujący w Łodzi, ale typowany na następcę Jędraszewskiego. Wróci Ryś na Wawel, to wszystko wróci do normy, stara gwardia wróci na stare śmiecie. Spore szanse na krakowski stolec ma też biskup pomocniczy Damian Muskus. Franciszkanin, a więc przedstawiciel zakonu mającego kojarzyć się z ubóstwem. Muskus próbuje odczarować wizerunek biskupa jako spasiołego chciwca i chętnie udziela się w akcjach charytatywnych. Sprzedał na aukcji swój biskupi pierścień, można go też było wynająć do prac porządkowych. „Mogę wykonać prace pielęgnacyjne w ogrodzie, a konkretnie przycinanie iglaków, koszenie trawników” – ogłosił, a potem dokumentował te prace filmikami i zdjęciami. Pieniądze znowu na szczytny cel. Wygląda to – jak na standardy polskiego episkopatu – całkiem dobrze. Za stare wróble jesteśmy na takie piarowe sztuczki, choć widok biskupa przy uczciwej pracy jest rzeczywiście szokujący. Na pewno pomoże bepe Muskusowi w karierze, bo papież Franciszek lubi takie akcje.

Na razie jednak jeszcze pół roku Jędraszewskiego, który tak nie dba o pozory, a w kwestiach finansów jest dyskretny. Pieniądz lubi ciszę. Biskupi lubią pieniądze, więc o nich nie mówią. Mówią za to wiele i chętnie o wartościach, ale niematerialnych. Marek Jędraszewski należy do tych hierarchów, którzy mówią dużo i barwnie, by zostać zauważonym i zapamiętanym. Choćby jego „tęczowa zaraza” zapisze się wśród klasyków „czarnej dupy”, nie każdy biskup może się pochylać takimi osiągnięciami. Zyczymy więc przynajmniej posady sołtysa na emeryturze, żeby się taki talent oratorski nie zmarnował.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com



WIEŚCI Z KRUCHTY

✦ Natalia Ruś, najpopularniejsza katolicka influencerka występująca pod pseudonimem Najjika, skomentowała w krótkim materiale filmowym na Instagramie eksces posła Grzegorza Brauna, który potraktował gaśnicą żydowską chanukiję podczas obchodów święta Chanuki w sejmie. Celebrytka wyznała, że wyczyn posła „poruszył jej serce”, a chwalebny akt obrony polskich katolików przed obcą religią napawa ją dumą. Zachwytów Najjiki nie podzielił Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych i poinformował, że złożył do prokuratury zawiadomienie o popełnieniu przez nią przestępstwa.

✦ Podejrzany w sprawie przestępstwa przeciwko wolności seksualnej były wikariusz parafii w Tymbarku ksiądz Rafał Ś. opuścił tymczasowy areszt. Sąd Okręgowy w Nowym Sączu zgodził się na warunkowe zwolnienie duchownego za kaucją w wysokości 50 tys. zł. Po opuszczeniu zakładu karnego ksiądz został objęty policyjnym dozorem, otrzymał zakaz zbliżania się do świadków oraz opuszczania kraju. Prokuratura z uwagi na dobro śledztwa i charakter sprawy nie ujawniła szczegółowych informacji.

✦ Oskarżony o molestowanie 13-letniego ministranta ksiądz Mateusz N. z Kostrzyna pod Poznaniem dostał nową fuchę. Jak informują lokalne media, klecha, któremu zarzucono kilkukrotne doprowadzenie chłopca do „poddania się innej czynności seksualnej przy jednoczesnym nadużyciu stosunku zależności” (czyli wykorzystaniu przewagi, jaką sprawca miał nad ofiarą), zamieszka w domu księży emerytów w Poznaniu, gdzie będzie pełnił funkcję dyrektora. Wiewiórki donoszą, że awans oskarżonego o pedofilię klechy to zasługa pokrewieństwa jurnego duchownego z poznańskim biskupem pomocniczym Grzegorzem Balcerkiem.

✦ W wielkopolskim Przeźmierowie wybuchła wojna o nowy maszt telefonii komórkowej. Jak przekonują mieszkańcy tej niewielkiej miejscowości, w czasie wiejskiego zebrania sołtys Katarzyna Preyer miała lobbować za umieszczeniem masztu GSM na wieży lokalnego kościoła. Lokalsi wskazują, że ksiądz proboszcz już czerpie korzyści finansowe z lokalizacji dwóch pozostałych wież sieci komórkowej, a tym samym tworzy monopol na ten model biznesu. Zarzucają również księdzu organizowanie bojówek i uaktywnianie mediów PiS, kiedy tylko prywatna osoba wyrazi chęć wydzierżawienia działki pod maszt. Sprawa jest w toku.

✦ Jezuita ojciec Jacek Siepiak skomentował w mediach plany ograniczenia zajęć religii w szkole do jednej godziny lekcyjnej w tygodniu, przy czym zdobył się na niebywałą szczerość: „Jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Będzie o połowę mniej środków w systemie kościelnym. To bardzo odczuwalna różnica” – stwierdził. Podpowiadamy, że księża mogą zrobić lewakom na złość, skracając o połowę każdą mszę.

✦ Z braku ciekawszych zajęć politycy prawicy wygrzebali stare zdjęcie nowej minister pracy i polityki społecznej Agnieszki Dziemianowicz-Bąk w T-shirtcie z ilustracją dziewczynki chroniącej się pod czarnym parasolem od deszczu krzyży. Swoje wsteczne oburzenie wyrazili Dariusz Matecki i Przemysław Czarnek. „I to jest minister rodziny? Wczoraj pisałem i mówiłem o chrystianofobii. I tu jest potwierdzenie. A wyobraźcie sobie, co by było, gdyby ktoś (nawet nie musi być z PiS) założył podobną koszulkę, tylko zamiast krzyży byłyby tam symbole judaistyczne czy muzułmańskie!” – grzmiał były minister edukacji. Co prawda mamy bogatą wyobraźnię, ale zachęcamy posła Czarneka do osobistego przeprowadzenia eksperymentu.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Urban: bezwzględnie inteligentny, po prostu bezwzględny, błyskotliwy, wredny, kłamliwy, bezczelny. To wszyscy wiedzą. A przyszłoby Wam do głowy, że bywał także zajebiście romantyczny?

Publikujemy odnalezione w czeluściach konstancińskich szuflad pisane w latach 80. listy Urbana do Gośki Daniszewskiej. Czułe, liryczne, czasem bardzo praktyczne, czasem plotkarskie, oburzająco niedyskretne. To Urban, jakiego nie znaliście. My, szczerze mówiąc, też nie.

Redakcja



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

30 I 1984

Kochana Gosiu!

Dzień miałem fatalny, bo pełen przeciążeń i napięć. Rano umówiony byłem na godzinną rozmowę w MSW i jak tam wszedłem, to już zostałem. W biurze miałem swój program wizyt, zebrań itp., więc tylko dzwoniłem, przesuwałem, odwoływałem i wszystko się gmatwało. Jeszcze o czwartej po obiedzie miałem mieć w MSW krótkie spotkanie paru osób, ale okazało się ono spotkaniem na kilkanaście osób w sali konferencyjnej i biegle do ósmej wieczorem. Tymczasem biuro mi sygnalizowało, że się dodzwania siostra Karyny (Karyna Andrzejewska, druga żona Jerzego Urbana – red.) pilnie, co mnie b. niepokoiło. U niej zaś telefon był chyba zepsuty, bo po paru cyfrach w połowie kręcenia odzywał się sygnał zajęte i nie mogłem się dodzwonić. Do tego rodzice wysyłali SOS, bo lodówka się zepsuła, bo zapasy się psują, bo oboje źle się czują i na tym tle czują się bezradni i potrzebują pomocy i porady. A ja uwięziony. Do tego mnie dawała roboty na najbliższe dni, że cały program mój to rozsada.

Najsilniejszy stress przyszedł z niespodziewanej strony. Ta dziewczyna pracująca w TV, która się we mnie kocha. Już ze dwa lata temu jej powiedziałem, że sprawa jest bez szans, a zaraz po poznaniu Ciebie spotkałem się z nią i wyjaśniłem, że nie ma sensu się widywać, nawet tak rzadko, jak to poprzednio bywało. Nagle zadzwoniła z samego rana do biura, że koniecznie chciałaby się na chwilę spotkać. Umówiliśmy się na siódmą wieczorem i nie mogłem przyjść ani o tym uprzedzić (zebranie trwało). A umówiliśmy się na ulicy. Musiałem więc posłać Dąbrowskiego, opisując mu miejsce i osobę, o co było mi bardzo głupio, no bo rozumiesz, używać go do takich misji. Ulokował ją w hollu w moim hotelu, czekała tam godzinę. Jak przyszedłem, wziąłem ją wobec tego do restauracji hotelowej. Myślałem, że ma jakąś sprawę o pomoc w czymś. Nie wiem zresztą, miała czy nie miała. Zapytała, co to za hotel i co ja tu robię. Powiedziałem, że mieszkam. Dlaczego? Wyjaśniłem. W nią grom strzelił. Ja, uznając sprawę między nami za wygasłą i wyjaśnioną (a w ogóle sprawa była z mojej strony minimalna), swobodnie jej powiedziałem, że odszedłem od żony, bo się zakochałem i kogoś mam. Nie potrafię Ci opisać siły reakcji, agresji, emocji. Potem milczała, a jak ja chciałem się odezwać na jakikolwiek temat, reagowała wybuchowo. Powiedziałem po jakimś czasie, że musimy stąd wyjść, bo zamykają. Wobec tego – powiedziała – wyjdźmy jeszcze na kawę, bo chcę porozmawiać. Poszliśmy do kawiarni, ja nawet skwapliwie na to przystałem, żeby wyprowadzić ją z hotelu, bo nie wiedziałem, jak się dalej zachowa. W kawiarni ona dostała szczękościsku dosłownie i nie mogła w ogóle mówić. Kiedy jej przeszło,

oznażyła rzecz niesamowitą: że muszę jej natychmiast powiedzieć, że z Tobą zrywam, ona tego żąda, mam odpowiedzieć: tak czy nie itp. Było to znów niesamowite i alogiczne, i w ogóle nieprzystające do naszych stosunków w żadnym okresie. Zarazem była w niej taka determinacja i taki stan nerwowy, że bałem się zareagować, mówić, że oszalała itd. Po pierwsze znów bałem się, co ona robi w kawiarni, po drugie, czy mnie czegoś nie robi, po trzecie, to najbardziej, że robi coś sobie. Gosiu! W ogóle mi wcześniej przez głowę nie przeszło, że istnieje taki problem, problem z tą osobą. Usłyszałem w mózgu dzwonek alarmowy i zamiast odpowiedzieć, że zwaśniowa i ma się uspokoić, powiedziałem, że się namyślę i odpowiem za pewien czas i że wychodzę. Czy ją odwieźć? Czy ty mnie nie okłamujesz, że się zastanowisz? W samochodzie: dokąd teraz pojedziemy? Czy do niej? Kiedy odpowiesz? Dlaczego dopiero w przyszłym tygodniu? Masz mi obiecać, że się w tym czasie z tamtą nie będziesz widywać. Wszystko to było po prostu surrealistyczne. Na szczęście bez problemu wysiadła z wozu. Ja do hotelu. No i wszystko się rozładowało. Siostra Karyny, okazuje się, ma do mnie swoją sprawę (pewno paszportową). Rodziców uspokoiłem. Podzwoniłem do Ciebie bez skutku oczywiście (była dopiero dziesiąta) i usiadłem spisać wrażenia, chociaż nie umiem oddać tego, co najważniejsze: nagłej bezzasadnej, niczym nieuprawnionej determinacji i żądań tej dziewczyny i mojego lęku i kompletnego zaskoczenia.

Jak to jest, że Ty wychodzisz ze swoich romansów i ćwierćromansów lekko jak z wanny? Może ja byłem w dwóch wypadkach bieżących bardziej kochany? Ale jeśli tak, to dlaczego? Przecież Ty powinnaś być bardziej kochana na mój gust.

Całuję Cię bardzo, bardzo
Jurek

PS Dzwoniłem do Twojej matki, przekazałem ukłony i wiadomości, wziąłem nazwę szamponu. W dniu, kiedy Ty wracasz, a ja mam rano odbierać z dworca, zabawić – mam akurat cały czas posiedzenie rządu i muszę się z niego całkiem urwać. Już nie wiem, chyba zachoruję, tylko jak „chorować”, kiedy Dąbrowski ma mnie wieść to na pociąg, to na lotnisko, a jak jestem chory, to telefon z biura dzwoni do mnie do domu i wiadomo im, czy jestem w domu. Nie, muszę coś nakręcić i wykreść bardziej prawdopodobnego niż choroba i jakoś to urządzić. Życie, jak widzisz, jest trudne.

PS2 W dzisiejszej poczcie: 10 tys. złotych dla mnie w upominku od Pana, który mnie popiera i daje wyraz. List od paraftan ze wsi, że ich ksiądz nazwał psa Urban i głośno tak na niego woła.

Urban do

6 X 1984, godz. 18.00

Droga Gosiu!

Posyłam Ci jedyne obok alkoholu lekarstwo na złe samopoczucie. Ono także tworzy przyzwyczajenie, ale przynajmniej nieszkodliwe. Moje opory przed wpędzaniem Cię w pijaństwo słabną jednak, uprzedzam. Chyba jednak będę Cię wpędzał w alkoholizm w rewanżu za wpędzenie mnie w zależność od siebie mającą przejawy nałogu. Ciągnie mnie do Ciebie jak pijaka do kieliszka. Podobnie jak w pijackim łbie inne myśli przebija myśl o wypiciu, tak ja zajmuję się to Popiełuszką, to czymś tam innym dramatycznym, a we łbie – całkiem coś innego. Emanacją tego nastroju jest ni-niejszy kontakt zastępczy.

Muskam Cię w lewy policzek

Jurek

11/12 X 1984

Łaskawa Pani Małgorzato!

Czynię sobie nocną przyjemność z komponowania tego listu. Taką wewnętrzną potrzebę stworzyło mi m.in. Pani pożegnalne zdanie, że mianowicie jestem jedynym prominentem, z którym się Pani nie nudzi. Dokonałem starannej analizy tej Pani wypowiedzi. Budzi ona we mnie mieszane uczucia. Z jednej strony mogę to Pani zdanie traktować jako starannie przez Panią wyważoną zachętę do dalszego proponowania Pani mojego towarzystwa. Takie też praktyczne wnioski wyciągnę z tej doniosłej wypowiedzi Pani. Jakże była ona ostrożnie zakrojona! Moje ambicje związane z chodzeniem za Panią są jednak pokąźniejsze. Pani wypowiedź ujawnia więc dystans między siłą moich skłonności a skalą Pani odzewu. Lękam się np., że zbiór osób, w obrębie których Pani mnie wyróżniła (tj. ogół prominentów, jakich Pani zna), nie jest zbyt rozległy. Wątpię, dajmy na to, czy zna Pani prezydenta Nicolae Ceaușescu, którego wdzięk towarzyski mógłby mnie wtącić w nicosć. Mogę jednak Pani wypowiedź negliżować, podchodząc od jeszcze innej strony. Mianowicie mogę ją potraktować nie jako określenie mojego kompletnego statusu u Pani stóp, lecz jako prostą informację, że mniej nudzę niż Górnicki. Znaczyłoby to aż, czy też tylko, danie mi pierwszeństwa przed jedynym realnym rywalem wśród ogółu starających się Pani przypodobać. Jednak pesymizm nocny wiedzie mnie do jeszcze innej interpretacji Pani wypowiedzi: że jestem towarzysko znośny jak na członka grupy prominentów, zbioru towarzysko nieciekawego. W tym ujęciu wywyższanie mnie nad Górnickiego nie daje mi jako członkowi nudnej grupy adoratorów-prominentów żadnej przewagi nad innymi admirałami w całej ich masie, tymi o podłej kondycji urzędowej.

Praǳę Pani uświadomić, że w rozmowach ze mną wypowiedziała Pani bardzo wiele zdań. Jeżeli tak wiele zastanawiam się nad jednym z nich (a przebiegi myślowe przedstawiam w skróceniu), to biorąc pod uwagę wszystkie inne przez Panią wypowiedziane zdania, może sobie Pani uzmysłwić, jak przeogromne mam zadania myślowe wynikłe z obcowania z Panią. Miejsce, jakie Pani zajęła w moim życiu umysłowym, jest więc tak wielkie, że w obecnym czasie nie mam szans rozwijać się intelektualnie. Tymczasem moje zaabsorbowanie Panią nie jest spekulatywnej głównie natury. Zechce to Pani uznać za zwierzenie.

Informuję więc uprzejmie, że stoję przed Panią otwarty na różne możliwości i ciekaw, czy i co z tego wyniknie i jak Pani będzie rezonować na adorację. Czy będę użyty do wynoszenia śmieci i załatwiania sprawunków? Czy zostanie zaliczony potem do starych przyjaciół i w domu starców, gdzie Pani wyląduje, będę podawał sztuczna szczękę i ranne pantofle? Czy poleci Pani na romans, a jeśli, to lekki czy mocniejszy, smutny czy wesoły? Czy w ogóle więcej się Pani ze mną nie spotka? Bardzo mnie to rajuje i każdej możliwości się lękam, bo w żadnej nie brzmni pomyślnie spełnienie, gdyż go pewno w ogóle nie ma na długi dystans.

Na razie pcham się i więcej niż bardzo Panią lubię, wytworna osobko.

Jerzy Urban

PS Proponuję, żeby Pani odpisała. Wymiana listów uchroni Panią od słownej obcesowości z mojej strony. Ja wolę pisać, bo mogę się oświadczać bez przykłąkania.

21 I 1985, godz. 19.30

Kochana Gosiu!

Przesyłam Ci fragment z Wolnej Europy (Radio Wolna Europa, RWE – red.) świadczący o tym, że kameralny temat mojej urody, który omawialiśmy w trybie intymnym, ciągle jest przedmiotem publicznych rozważań. Wycinek dowodzi także tego, że Twoje opinie zaczynają się silnie rozmiąć z opiniami RWE. Ufam, że także Twoja uroda wkrótce będzie omawiana publicznie i w światowej skali, bo też bardziej jest o czym mówić.

Miałem dziś rozmowę na nasz temat z adresatem listu, który wysłałem, i jego prawą ręką, bo ręką trzymała zlecenia. Efekt listu b. korzystny, zalecenia kierunkowo zgodne z Twoimi propozycjami.

Rozmowa:

- 1) Posady nie stracę, nie ma o tym mowy w ogóle.
- 2) Moja determinacja progosiowa przyjęta do wiadomości.
- 3) Jestem proszony o brak szumu, ostentacji itd. Oraz o rozkładanie posunięć na raty, powolne przyzwyczajanie Polski i świata do zmian w sytuacji. W ramach tej taktyki – teraz nie napierać o rozwój.
- 4) Mam jeszcze dwa miesiące mieszkać w hotelu. Na następne sześć mies. dostanę mieszkanie tymczasowe. (Niezgodne to z naszymi pragnieniami). Po tym czasie nasz problem mieszkaniowy będzie rozwiązany, chociaż trzeba szukać jak. Albo Ty dostaniesz na siebie większe mieszkanie (i elegantsze) w trybie zmian, albo jakoś inaczej. Ale ja wierzę, że może Karyna nada temu wszystkiemu przyspieszenie. W szczegółach rozmowę mieszkaniową powtórzę ustnie.

Próbowałem z 15 razy do Ciebie kręcić bez rezultatu.

Spotkałem w południe na przyjęciu w ambasadzie Indii majora G. i odbyliśmy przyjazną wymianę zdań na tematy obojętne. Mam w planie iść o ósmej do hotelu, leżeć, gapić się w telewizor, poczem nareszcie spać. Ale doczekam do północy, żeby próbować dzwonić.

Mam nadzieję, że podróż przeszła dobrze i awiacja to już Twoje hobby.

Deklaracje uczuciowe wydają mi się zbędne.

Gdybyś ten list pokazała (chodzi o punkty numerowane) komukolwiek, to Grześ Piotrowski z Tobą pogada.

Całuję cię w lewą pierś.

Nie, przepraszam, namyśliłem się. Całuję Cię w prawą pierś.

Jurek

PS RWE, podnosząc moją elegancję, przypomniła mi, że muszę oddać moje ubranie do prania.

Daniszewskiej

28 I 1985

Kochana Gosiu!

Chciałem poobcować sobie z Tobą przez telefon, ale mowy nie ma, żeby o tak wczesnej – 19 – porze się dodzwonić.

Miałem dziś w rozkładzie jazdy na poobiedzie i wieczór Prezydium Rządu, ale z repertuaru wynikało, że mogę się urwać, więc się przespałem i teraz nie mam nic specjalnego do roboty, co wzmaga tęsknotę i poczucie samotności. Zaraz się rozplaczę nad sobą. W ogóle luźny dzień. Kupiłem buty, trochę ciasne, ale piękne, chińskie. 3100 zł. Wypatrzyłem dla Ciebie kozuch, ale boję się sam kupić, a tak-że boję się, że jak wrócisz, już go nie będzie. W sklepie państwowym. Cieniotki i miękki, tak jak lubisz: szeroki, kloszowy, szerokie rękawy, szykownie, miętko uszyty, podobnie jak płaszcze, które nosisz. 120 tys. Akurat już dostałem pieniądze, więc mógłbym, ale się boję. Przekonsultuję telefonicznie. Tej kelnerce, o której wczoraj pisałem, załatwiłem obietnicę załatwienia mieszkania oraz TFX dla dziecka.

Adam S., u którego wczoraj byłem na kolacji, radził takie rozwiązanie problemu: załatwiam na Ciebie z puli rządowej własnościowy segment pod Skocznia. Sprzedajesz mieszkanie, wpłacasz to co trzeba z góry, resztę się spłaca przez kilkadziesiąt lat. Interes pyszny, bo forsą się dewaluuje i spłaty będą coraz bardziej symboliczne, zresztą za kilkadziesiąt lat niech się Marta (Marta Miecińska, córka Małgorzaty Daniszewskiej z pierwszego małżeństwa – red.) martwi. Załatwienie segmentu na Ciebie jest legalne i nie wywołuje niechęci, bo to własnościowe i wielomilionowa inwestycja. Taka kombinacja rzeczywiście jest do załatwienia od ręki, daje ogródek, zabezpiecza Martę, mieszkamy wygodnie, tylko co będzie ze mną, jak mnie rzucisz? Albo co ja u Ciebie będę musiał tolerować – to jest jakich gachów – i nie wynosić się z powodu braku dachu nad głową? Chyba że potem po rozwodzie biorę mieszkanie, trzymam je i na zawsze jesteśmy bez ślubu. Straszne łamigłówki.

Całkiem niesłusznie wywodziłaś przez telefon – à propos rozmowy mojej z gen. Michałem J. – że masz uczucie, iż nami sterują i za nas decydują. Postulat, żebym nie prowokował skandalu, był ogólnikowy i całkiem uprawniony, jak się jest rzecznikiem na super widoku

publicznym. Sugestia, żeby teraz nie naciskać o rozwój, zgodna z Twoją ostatnią sugestią, z rozsądkiem, bo odwrotne postępowanie może wywołać brak zgody Karyny, zresztą chodzi o parę miesięcy i to była tylko sugestia gen. Michała. Istotą jest obietnica rozwiązania pod koniec roku naszych problemów mieszkaniowych niezależnie od tego, jaki będzie stan formalnoprawny, przy dopasowaniu rozwiązania do naszej sytuacji. Zresztą, Gosiu, szef kazał załatwić i kazał, żeby nie było szumu. Reszta to są interpretacje i kombinacje wykonawcy. Może oni myślą, że za miesiąc mogą wrócić do żony? Skąd mają wiedzieć, co to u mnie znaczy ta wprowadzka? Jestem pewien, że jeśli się okaże, iż Wolna Europa o nas nie trąbi, a na konferencjach partyjnych nie ma mowy o rozpuszczeniu rzecznika, to osobistości, od których załatwianie zależy, uznają naszą sprawę za starą sprawę, dokonaną, która przyschła, i o wiele wcześniej załatwi się wspólne mieszkanie. Mogli powiedzieć, że ja mam mieszkanie, a co dalej chcę robić, to na własny rachunek, i mielibyśmy b. trudną sytuację.

Wpłynęło dziś 300 tys. z czymś z Czytelnika. Nie jest to dużo, zważywszy że 50 tys. długów, 150 tys. Kuba. Reszta starczy na miesiąc. Ale będą i inne wypłaty, więc kozuch bym kupił.

Umówiłem się jutro na kolację z Moszami, bo mnie jednak gna z tego hotelu.

Rakowski mnie opierdolił za to, że mój dziś drukowany tekst musiały ogłosić wszystkie gazety plus TV i radio, że takie zmasowanie i przymus ani sprawie, ani autorowi dobrze nie robi. Ma rację, ale to nie moje dyspozycje.

W czwartek jadę do Katowic. Wojewoda proponuje, żebym został na weekend w górach, ale nie zostanę, bo co sam tam będę robić?

Rodzice mówią, że Magda (Magda Grzesiak, córka Urbana z pierwszego małżeństwa – red.) jest Tobą b. zachwycona, co Grochola (Wiesława Grochola, pierwsza żona Urbana – red.) popiera i podziela, a im, tj. rodzicom, ten punkt widzenia się udzielił. Widocznie srogie miny Grocholi w czasie naszej wizyty były na mój, nie Twój użytek. Ponieważ ona pewno nie znosi Karyny jako swojej następczyni, to tym samym ciepło na Ciebie patrzy ze względu na Twoje następstwo po Karynie. Ale ona nieważna, a Magdę masz kupioną. Chyba że Cię poproszę o powrotną randkę z rodzicami, żeby starszusków do

końca rozbroić i niech się nie denerwują więcej moim niepewnym losem.

Co zrobić, Gosiu, żeby już był 8 luty? Są dwa sposoby na popędzenie czasu. Jeden to iść w takie tango, żeby nie trzeźwieć, ale na to nie mam siły, czasu (paradoxs), zdrowia i towarzystwa. Drugi to rzucić się w jakieś fascynujące zajęcia zawodowe. Akurat jest sezon nudny, pusty i bez szefa wszystko ustaje (wyjechał na urlop). Czasem intensywne są wyjazdy w teren, ale gdybym teraz wymyślił jakiś sztuczny, to tylko cniłoby mi się w innym hotelu. Wcale nie chcę być od Ciebie taki zależny, a jestem zależny, po prostu władowałem się w ogromne uczuciowe uzależnienie i boję się, że bokiem mi to wyjdzie, bo Cię zamęcę jeszcze sobą.

Tęsknię bardzo i asekualnie – do myśli o Tobie, ani tak sobie w nocy w ogóle mi nie staje, odwrotnie niż wtedy, kiedy ze sobą jesteśmy i się rozstajemy albo ze sobą jesteśmy i się nie rozstajemy. Chciałbym wejść do Twojej głowy, poznać myśli i nasilenie uczuć, wiedzieć, czy i na ile tęsknisz. Zakłula mnie boleśnie myśl podejrziwa, że może ja w Wiedniu, po jednym z Tobą bodaj obiedzie, bardziej za Tobą już tęskniłem niż Ty w Sztokholmie. Czyli widzisz, urządzam Ci sceny za niewierność. Chciałbym, żeby Tobie było ze mną bardzo dobrze, i jeśli nawet jest Ci dobrze, żeby Ci było lepiej, niż jest, i wciąż lepiej. Taki jednak się czuję bezradny: co zrobić? Jakże łatwo podrywać, jakże trudno zaspakając wszystkie Twoje oczekiwania i to, co oczekiwaniem nie jest, lecz mogłoby stać się niespodzianką, czymś na dodatek.

Zdaje się, że się robię liryczny. Znów próbuję dzwonić. Ty zasobniku pełen magii wewnętrznej.

Jurek



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

29 I 1985

Gosiu!

W ramach autoreklamy załączam list od parafian, a bezinteresownie ciekawy artykuł. À propos, mój ulubiony temat, czyli Ja, dla przeciwwagi dla księżowskiego psa Urbana: do mojego sekretariatu zadzwonili ludzie, że chcą nadać dziecku imiona Jerzy Urban. Czy zgodzę się uczestniczyć, skromnie odmówiłem.

Dziś miałem konferencję, więc cały dzień na tym zeszedł. Teraz pójdę na kolację.

Wczoraj około 22, gdy już byłem w łóżku, obiecując sobie zacząć się odzwyczajając od kolacji (odchudzam się), głód mnie jednak poderwał i pojechałem samotnie do SPATiF-u coś zjeść. Siedziałem sam nie dłużej niż pięć minut i zaraz się dosiadła obca panienska (wyjeżdżaj, wyjeżdżaj!). Panienska stwierdziła, że mieszkam koło niej od lat w Konstancinie, że już za Gomułki byłem w rządzie i że siedziałem koło jej ciotki na akademii (na której w ogóle nie byłem), tak że wszystko o mnie wiedziała.

Potem opowiedziała mi całe swoje życie, co oznacza, że Twoje właściwości przechodzą na mnie.

Jest ekspedientką (w sklepie m.in. z koszulami, ciekawiając), przysłała ze swoim kierownikiem, który był kiedyś w balecie, i z jego kolegami z baletu ustala metodą obserwacji, czy kierownik pedał czy nie.

Potem barwne opowieści z życia, obyczajowości i mentalności środowiska kupieckiego. Tatusi panienki nieznan, Sasza z załogi budującej Pałac Kultury itd., itp., przez półtorej godziny. Potok wymowy przerwał paw puszczonej na salę i tak się z panią nieapetycznie rozstaliśmy. Zacząłem koło północy dzwonić do hotelu do Sztokholmu, ale się dodzwoniłem dopiero po drugiej, co wyjaśniałem przez telefon (zacięcie było po kilku cyfrach, potem przysnąłem).

Mam już wymieniony zegarek japoński na szwajcarski, ale jeszcze nie odebrałem od ojca, który wzięł mój nowy zegarek od zegarmistrza.

Głodny i stęskniony
Totus tuus

Jurek

31 I 1985

Gosiu!

Kocham Cię tak bardzo, tak nieprzytomnie, jak mnie kochają dwie kobiety. (Nie liczę Ciebie, która też mówisz, że kochasz, i pewno kochasz, ale wielka siła kobiecych uczuć objawia się w biedzie – desperacji).

I tu mam dwie sprawy do zastanowienia się:

1) Czy ta moja taka silna, a przez to trochę smutna, ekspansywna, męcząca i nudnawa miłość nie jest lub nie stanie się dla Ciebie takim ciężarem jak dla mnie nieodwzajemniona już miłość Karyny i nieodwzajemniona nigdy miłość Haliny z TV?

2) Jak się zachowam i zareaguję, kiedy przestaniesz mnie kochać, będziesz mnie miała dość (nie uważam, że to się stać musi). Nie wyobrażam sobie, że ja robię sceny, szantaże i rozpaczę. Odejdę spokojnie i rzeczowo, żeby w wielkim smutku liczyć rany.

Jurek

Czy kobieca miłość jako gatunek jest silniejsza? To nieprawda, mimo różnic reakcji.



**Dalszy
ciąg listów
Urbana
do Daniszewskiej
w numerze
1/2024.**

3 II 1985

Kochana Gosiu!

Jest niedziela rano. Wczoraj, a raczej dzisiaj o wpół do pierwszej w nocy, do Ciebie dzwoniłem. Bankiet wlewał się w słuchawkę, a Ty byłaś zupełnie pijana i bardzo, bardzo miła. Cieszę się, że robisz konkię towarzyską i jesteś gwiazdą sezonu. Tym milej, kiedy mówisz mi, że chciałaś wrócić o dwa dni wcześniej i tylko zły LOT Cię nie puścił. Po tym telefonie, a mówiłaś, że chciałaś leżeć przy mnie, miałem jakieś ostro zarysowane sny z Tobą i Martą. Ni to Polska, ni to zagranica, jakieś prywatne sklepy, jakieś remontowane pałacowe mieszkanie, w którym trzeba spać na podłodze, jakieś Twoje w sklepach z luksumami poszukiwanie... olejku do pieczenia ciast, droga dzika, pusta i samochód, i akcent erotyczny. W samochodzie skarżyłaś się, że jesteś oklejona moją spermą i nie możesz się ruszać. Potem obudziłem się bardzo fizjologicznie stęskniony. Oczywiście psychicznie też.

Przysłała ze Skandynawii zima, w nocy jeszcze, lał deszcz, teraz mróz i zadyмка. Dzwoniła moja matka, że dzwoniła do niej Karyna (w dobrej formie), że do niej do domu dzwonił jakiś Tadeusz Puchalski, zostawiła telefon, prosząc, bym zadzwonił w b. ważnej sprawie. Tak się nazywa karykaturzysta, rysownik, chyba dalej ze „Szpilek”, którego znam, ale gość zaczął mówić do mnie na Ty i że urzędują spęd „naszej klasy”. Chodziłem do wielu szkół, więc nie wiedziałem, co to za klasa. Z rozmowy wynikało, że maturalna w Warszawie.

Chodziłem do tej szkoły i klasy 34 lata temu, robiąc maturę w roku pamiętnym Twoim urodzeniem się, chodziłem tylko przez rok i znam tylko z tej klasy dwóch facetów, jeden to Szeliga. Oczywiście powiedziałem, że postaram się przyjść, ale to ma się odbyć

w weekend za dwa tygodnie i sądzę, że gdzieś pojedziemy, więc nie pójdę.

W braku ciekawszych pomysłów umówiłem się wczoraj z Adamem Smoleńskim (znajomy z MSW) i jego żoną na kolację w SPATiF-ie. Zaraz potem zadzwonił Rykowski (Zbysław Rykowski, dziennikarz, zastępca i następcą Urbana na stanowisku rzecznika prasowego rządu – red.) w swoim i Władzyki (Wiesław Władzyka, dziennikarz, publicysta, prasoznawca – red.) imieniu, proponując kolację. Odparłem, że nie i dlatego, ale mogą się przyłączyć. Odpowiedział, że nie. Jednakże zjawili się obaj, lecz nie chcieli zrazu przysiąść, bo się pewno zmówili, że przeczekają, aż zjemy. Oszczędnym widocznie. Po naszej kolacji się przysiedli. Razem poszedł litr. Potem pojechaliśmy do Ścieku, gdzie ten Adam zaczął stawiać francuskie szampany, których oczywiście nie piłem. Rykowski bez przerwy i bez wdzięku mięsoił żonę Adama, strasznie triumfalistycznie na wszystkich patrząc, rozanielony, spocony, trochę bym powiedział obrzydliwym. Ona była zachwycona, raczej samym faktem, że ktoś ją emablucja, niż Rykowskim. Raczej łąkomiem poziarała na Władzykę, jak mi się zdaje. Rozmowę wypełniły bezustannie żarciki, że ona już pojedzie z Rykowskim, zostanie z Rykowskim itd. Będąc samochodem i nie chcąc pić zbyt wiele (bo i z myślą o niedzielnej robocie), nudziłem się jak mops, o północy zostawiłem ich w Ścieku i pojechałem dzwonić do Ciebie. Władzyka mi powiedział, żebym się nie poczuł urażony, ale jemu Ciebie brak w tym towarzystwie, wniosłabyś trochę życia. Podzieliłem jego tęsknotę.

Jeżeli ta kurewska zadymka się utrzyma do piątku, to możesz nie przylecieć w terminie, czego już się boję, bo mam wytrzymałość nastawioną na ten termin.

Całuję wszędzie tam, gdzie pozwalasz, i tam, gdzie nie pozwalasz, też.

Jurek

Sejmowa lista przebojów

Jak zabłysnąć przed setkami tysięcy widzów.

„To takie proste – wskazać palcem wroga.
To jest wróg! Bo inaczej nazwał Boga.
Takie łatwe, gdy potrzebni są winni
Trzeba znaleźć małych, słabych i innych”
– tą błyskotliwą frazą z piosenki Inkwizycji kaliska posłanka Trzeciej Drogi (Polska 2050) Barbara Oliwecka podsumowała w sejmie odchodzące PiS. Lider kapeli i autor tego tekstu Dariusz Eckert powiedział „Gazecie Wyborczej”: „Nie deklarowałem żadnego poparcia dla nikogo, a raz wydana książka czy piosenka żyje własnym życiem i może być cytowana przez każdego. A tutaj fragment tekstu został użyty w dobrej intencji, słusznym kontekście i zgodnie z zamierzonym przekazem”. I dodajmy, że z podaniem źródła.

Pomyślałem sobie, że w sytuacji, gdy na samym YouTube, nie licząc telewizji informacyjnych, obrady sejmowe oglądają setki tysięcy ludzi, a ciężko przebić się przez mającego talent marszałka Szymona Hołownię i nie zginąć w tłumie pań i panów rzucających pod publiczkę sucharami rodem z repertuaru Karola Strasburgera, że aż zęby od tego bolą (a stomatolog jest drogi), potrzebna jest ściaga z fajnych punkowych piosenek, których siłą zawsze były przenikliwe teksty. Często są one rymowane, więc dobrze zapadają w pamięć i mogą być znakiem rozpoznawczym danej osoby, jak gaśnica w przypadku konfederaty Grzegorza Brauna.

Posłanki i posłowie to ludzie bardzo zajęci, więc podaję na tacy cytaty, które mogą rozpalic internet, umożliwiając wyróżnienie się na tle szarego tłumu poselskiego. W ciągu kadencji będzie masa debat na wiele tematów, więc warto mieć zawsze w zanadrzu fragment jakiegoś kawałka, który oponenta wbije w ziemię. Poza tym trochę kultury na Wiejskiej się przyda. Niech prawacy znają łaskę pana – dla nich też będzie coś, czego mogą użyć w swoich wystąpieniach, bo w okolicach świąt zawsze mam taki koncyliacyjny nastrój.

Niszcz faszyzm

Kiedy (jeszcze, bo stosowny wniosek o odwołanie wniosła lewica) wice-marszałka sejmiku Krzysztofa Bosaka spytano, czy był kiedyś związany z jakąś subkulturą, to zadziwił wszystkich, mówiąc, że najbliższe mu było do kultury hiphopowej. Co zaskakujące, pisał w social mediach, że wychował się na czasopiśmie „Ślizg”, a skinów kojarzył „głównie jako negatywnych bohaterów komiksów o Jezusie z tej skejtowej gazety”. Skoro nawet czołowy konfederata kreuje się jako nieledwie fan Antify, to podrzucamy mu parę cytatów à propos. Choćby taki, autorstwa szczecińskiego „Włochatego”: „Mam białego kutasa, myję się białym mydłem. Jem biały chleb, sram białym gównem”.

Kiedy zaś Braun skutecznie kolejny antysemicki wyskok, jego przeciwnicy polityczni mogą go podsumować słowami numeru „Rasizm” poznańskiej Apatii:

„Kiedy tak mówisz głupie faszystowskie poglądy,

Kiedy powiedziałeś: »To Żydzi mnie okradają,

Roześmiałem się tobie prosto w twarz.
Spojrzałeś na mnie, powiedziałeś: »Żydowski slugus!«.

Ilu ty w życiu widziałeś tych Żydów?».

Skoro jesteśmy przy Apatii, to mam coś dla posłanki Razem: „Wasz ukryty faszyzm to chęć zamykania granic. A wasz ukryty rasizm to żona w kuchni pilnująca dzieci”.

Do tego można zażyć z mańki prawą stronę sali sejmowej słowami „Trzech rund” Piguły Original:

„Rasistowska kurwo, faszystowska świniu,
Życzę tobie, abyś jak najszybciej zginął.
Udajesz Hitlera i udajesz duce,
W twojej małej głowie mały mózg się tłucze”.

Przyjazne państwo

Bez względu na to, która opcja akurat rządzi, ugrupowania opozycyjne mogą zrzucać wszelkie problemy i bolączki obywateli na karb nieudolności rządzących, choć gdyby one same miały władzę, byłoby przekonane, że koniec końców to nie ich wina, że jest, jak jest. Oczywiście jest, jak śpiewał „Grabież” z Pidżamy Porno, że każdy z nas może sobie zanucić: „Żyję w kraju, w którym wszyscy chcą mnie zrobić w chuja” („Żyję w kraju”).

Politycy lubią bajdurzyć o państwie jako wspólnym dobru, sposobie organizacji społeczeństwa. Jeśli jednak spojrzeć na państwo bez większego sentymentu i z mędrca szkiełkiem i okiem, okazuje się, że państwo to nade wszystko monopol legalnego stosowania przemocy. Siłę państwa mierzy się sprawnością prokura-



Rys. GRZEGOŻ SZOBZAK

tury i sądu, a także grubością policyjnej pałki. Komu i czemu to w gruncie rzeczy służy, tłumaczy dosadnie nieistniejąca już od lat Homomilitia w kawałku zatytułowanym wprost „Policja”:

„Czasy się zmieniły, metody te same.
»Ręce do góry, stawać pod ścianę!«
Zatrzymują i karają niewinną dzieciarnię,
Podczas gdy bandyci grasują bezkarnie. [...] Korupcja, układy, powiązania z mafią.
Bicie i karanie, nic więcej nie potrafią.
Zwykle są tam, gdzie ich nie potrzeba.
Kiedy giną ludzie, nigdy ich nie ma”.

Jak nie od dziś wiadomo, na temat bata inaczej filozofuje woźnica, a inaczej koń. Dlatego też, jeśli nie zrozumieją ironii, obronę policji – atakowanej swego czasu przez opozycyjne wówczas PiS i Konfederację za pałowanie kiboli – mogą posłowie rządzący uzasadnić słowami legendar-

nego kawałka Dezertera „Spytaj policjanta” (za komuny „Spytaj milicjanta”): „Spytaj policjanta, on ci prawdę powie. Spytaj policjanta, on ci wskaże drogę”.

Podatki i biznes

Jeśli wsłuchać się w posłanki i posłów, którzy przemawiali w kwestii odchodzących rządów i oczekiwaniach wobec nowej władzy, to przy wszystkich – czasami bardzo istotnych – różnicach praktycznie wszyscy narzekali na podatki, zarzucając innym ucisk fiskalny. Mentzen doszedł nawet do tego, że twierdził, iż PiS realizował program Razem, łupiąc ciężko pracujących i zaradnych ludzi niczym Robin Hood bogaczy z Nottingham. Tyle że nie dawano biednym, a nierobom.

O ileż by zyskała taka debata, gdyby wzbogacić ją o fragment „Płacisz” Dezertera:

„Płacisz za szaleństwo, płacisz za rozsądek.
Płacisz za strach, płacisz za odwagę.
Płacisz za państwo, płacisz za granicę.
Płacisz za bandytów, płacisz za policję.
Płacisz, gdy musisz, płacisz w potrzebie.
Płacisz za innych, płacisz za siebie.
Płacisz jawnie, płacisz ukrycie.
Płacisz codziennie, płacisz całe życie”.

Ten sam Dezerter daje skuteczne narzędzie, aby jebać kapitalizm, gdyby jednak komuś przeszkadzała kolonizacja społeczeństwa przez biznes, zwłaszcza finansowy: ten, co nie sieje, nie orze, a zbiera czyste złoto. Problem z kapitalizmem, co pierwszy zauważył Marks, nie polega tylko – a nawet głównie – na tym, że jedni są bogaci, a drudzy biedni, lecz raczej na tym, że jedni są bogaci, bo drudzy są biedni...

Oczami wyobraźni widzę wikinga Zandberga, jak z szaleńczym błyskiem w oczach grzmi z mównicy sejmowej:

„Na ulicy bankowej morderczy panuje spokój.

Uzbrojeni ochroniarze stoją na każdym kroku.

Bronią marmurów przed armią żebraków,

Która płynie chodnikiem do ubogich bloków.
Na ulicy bankowej śmierć spogląda w okna,
Bankierzy chciwie powiększają swoje konta”
(Dezerter, „Ulica bankowa”).

Polityka historyczna

Zadziwiające jest, acz przy bliższym spojrzeniu nie takie paradoksalne, że im bardziej nowoczesność przyspiesza, tym bardziej w Polsce – i w wielu innych krajach też, bo to trend globalny – wciąż oglądamy się wstecz, choć idąc do przodu i będąc zapatrzonym w tył, łatwo można zaliczyć głębię lub wejść w gówno. Jak mawia Robert Górski z Kabaretu Moralnego Niepokoju: „Nie oglądaj się za siebie, bo ci z przodu ktoś przyjebie”.

Najnowszym pisowskim mitem jest „zamacz” smoleński, stanowiący Świętego Graala religii smoleńskiej. To szkodliwy kult, siejąca nienawiść sekta, którą warto usadzić na miejscu fragmentem „Czarnej orkiestry” szczecińskiej grupy The Analogs:

„Przykro mi, mała, lecz nie czuję nic,
Gdy smutno gra czarna orkiestra,
Przykro mi, mała, lecz nie będę pił
Za spokój duszy prezydenta. [...] Salw honorowych pustych dźwięk
Toczy się echem w mojej głowie,
Czy myślisz, że stać ich na łyż,
Kiedy umiera zwykły człowiek?”.

Wujek Dobra Rada

Tak się zastanawiam, czy postulowanego zwiększenia obecności punka w sejmie nie powinno się ukoronować powstaniem specjalnych rodzajów obrad, na których poszczególne kluby i koła poselskie (w końcu mają Kukiza), zamiast głądzić trzy po trzy, wystawiają swoje kapele. I wtedy posłowie będą mieli oglądalność liczoną nie w setkach tysięcy widzów, lecz w milionach.

No i skoro tyle osób zaczynało karierę w telewizji czy w mediach społecznościowych, aby wejść do parlamentu, to kto powiedział, że odwrotna droga jest gorsza?

W końcu gmach na Wiejskiej ma kształt cyrku, a czy będzie ktoś nas zabawiał jako poseł, czy jako człowiek robiący w innej gałęzi rozrywki... liczy się efekt końcowy.

A zatem, posłanki i posłowie, do gitar i basów, bo że garniecie się do mikrofonów i kamer, to aż nadto oczywiste...

KAT

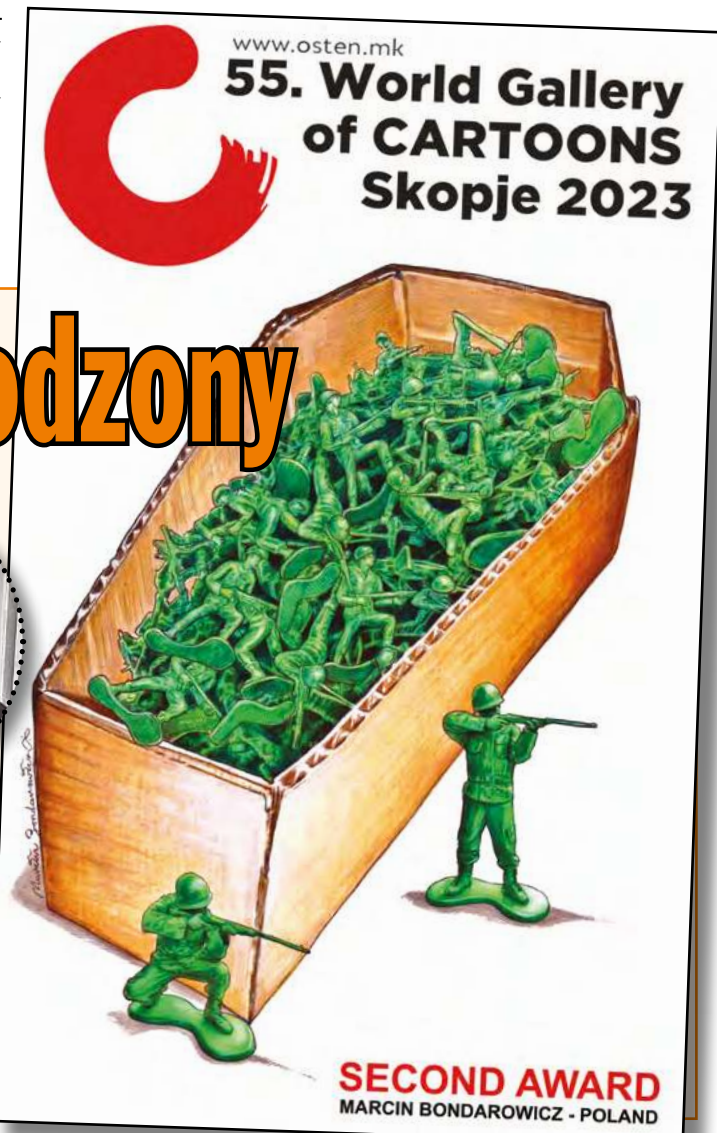
Bondarowicz nagrodzony

Zaszczytną drugą nagrodę w tegorocznej edycji międzynarodowego konkursu rysunkowego OSTEN 55. World Gallery of Cartoons w Skopje w Macedonii otrzymał Marcin Bondarowicz za rysunek pierwotnie opublikowany w „NIE”.

Marcin Bondarowicz jest wielokrotnie nagradzanym rysownikiem i ilustratorem (w tym roku zdobył także prestiżowe wyróżnienie European Newspaper Award za najlepszą okładkę w prasie międzynarodowej), publikującym w licznych tytułach prasowych w Polsce i za granicą, m.in. w tygodniku „NIE”.

„Nagrody i wyróżnienia, szczególnie tak liczne i zdobywane w prestiżowych konkursach oraz na międzynarodowych przeglądach ilustracji czy rysunku prasowego, stanowią dla mnie wyjątkową motywację do dalszej ciężkiej pracy w zakresie niesienia prawdy. Tak bowiem traktuję tę formę przekazu, jakim jest ilustracja prasowa” – tak Marcin Bondarowicz skomentował otrzymanie nagrody na OSTEN 55.

Serdecznie gratulujemy!



Chrystus i jego koledzy po fachu.

Jeżeli chodzi o Wenus, to zrodziła się ona ze spienionych wód Morza Egejskiego, do którego wrzucone zostały odcięte sierpem genitalia Ura-na. Nieco inaczej było z Ateną, której brzemenną matkę pożarł Zeus. Atena poczęła się w brzuchu Zeusa, a wyszła na świat w rezultacie torsji przez usta. Ten sam Zeus wszył sobie w udo płód Dionizosa (którego matkę wcześniej spalił), gdzie ten się rozwijał aż do urodzenia. Adonis urodził się przez pęknięcie kory mirtu. Wyszedł z jego pnia. Nie możemy też zapominać o Śiwie, który urodził się jako ośmioletnie dziecko w kwiecie lotosu. Kolejni i inni bogowie rodzili się już w sposób bardziej konwencjonalny, zbliżony do tego, w jaki przyszedł na świat Chrystus. Najczęściej w rezultacie dzieworódtwa, że wspomnę Herkulesa, Mitrę, Tammuza lub Hermesa. Nie zawsze było to dzieworódtwo w pełni tego słowa. Bogini Henbe urodziła się w wyniku wążania przez jej matkę kwiatu, który wywołał ciężę.

Boskie przesilenie

Ulubionym dniem narodzin bogów jest 25 grudnia. Tego dnia w kalendarzu juliańskim wypadało przesilenie zimowe (najdłuższa noc w roku). Data wiązała się z licznymi przedchrześcijańskimi obrzędami. Jest to także dzień, w którym według współczesnej statystyki rodzi się najmniej dzieci, czego na razie nie udało się wytłumaczyć. Dlaczego najwięcej ludzi rodzi się we wrześniu, jest akurat jasne: to pomioty szaleństwa sylwestrowej nocy lub pierwszych dni karnawału. Robione po pijaku w okolicznościach ograniczonej poczytalności.

Bóg, bogowie, co do których istnienia mamy obecnie wątpliwości, niechybnie odegrali doniosłą rolę w dziejach człowieczeństwa. Nie wiadomo, kto był pierwszy w tym panteonie, ponieważ pisać nauczyliśmy się zaledwie 6 tys. lat temu. Artefakty pochodzące sprzed 40 tys. lat wskazują na istnienie bóstw w świadomości cywilizacji niepiśmiennych. Bogowie byli już obecni, kiedy pojawiły się pierwsze poważne narzędzia i zaczęło się rolnictwo. Natomiast łowiecka społeczność Indian, jaka w stanie pierwotnym dotrwała do naszych czasów, również żyje za pan brat z bogami.

Pomysł na boga jest oczywisty. Rodzisz się. Patrzysz na świat. Powoli nabierasz pewności, że ani twój ojciec, ani matka, ani ty tego nie stworzyłeś. Brak ci wytłumaczenia, więc imaginujesz, że była to istota o 30 rękach, nieskończonym umyśle oraz wszechmocy

– w każdym razie mężczyzna. W żadnej religii bóg najwyższy nie jest kobietą. Zapewne dlatego, że mężczyźni potrafią majsterkować. Ponieważ jednak pierwotna natura ożywiona ma charakter żeński, wydaje się to dziwne. Kobięcy zarodek transformuje w męską zygotę, a nie odwrotnie. Bardziej prawdopodobne jest, że Adam powstał z żebra Ewy niż to, co w Biblii napisano.

Natomiast to, że pośród tego białkowego planktonu, jakim jesteśmy, zamieszkującego tę pomijalnie małą planetę, w czyjejś głowie powstaje pomysł: „Jestem bogiem!”, wydaje się co najmniej osobliwe. Wbrew opiniom w normalnych umysłach gościł niezmiernie rzadko.

Podziały w branży

Bogów bowiem można podzielić. Przede wszystkim na tych, którzy nigdy nie istnieli. Zamieszkują jakąś pozaziemską krainę, czyli wszyscy ci

Boże narodzenia



**BOGU RODZICA
DZIEWICA**



BOGU RODZICA

z mitologii greckiej i rzymskiej. Tak naprawdę owe mitologie to historie dawnych królów, którzy w podaniach ustnych otrzymywali coraz bardziej niezwykle właściwości.

Następna grupa bogów to bogowie duchy żyjące w naszym świecie, głównie w religiach prekolumbijskich Ameryki Północnej i hinduizmie. Lub bogowie przedmioty, jak na przykład słońce w religiach egipskich i azteckich. Rzecz można, pseudobogowie lub bogowie urojeni.

Kolejno są bogowie mylnie uważani za bogów, głównie z ignorancji, np. europejskiej. Budda, Zaratustra czy Mahomet nie byli bogami. Byli ludźmi, którzy nigdy o sobie samych jak o bóstwach nie myśleli i czegoś podobnego nie twierdzili. Zwani byli niekiedy prorokami, ale dlatego, że pośmiertnie uznano ich za proroków.

Teraz mamy ludzi, którzy w opinii potomnych byli inkarnacją boga, czyli bóg zstąpił w ich ludzkie postacie. Nie ma pewności, czy Kryszna urodzony 25 grudnia 1000 lat przed Chrystusem przedstawiał się jako bóg, czy może wskutek narosłej wokół niego beletrystyki urosł do takich rozmiarów.

W gruncie rzeczy jedynym człowiekiem (z wyjątkiem tych przebywających w zakładach dla obłąkanych), który twierdził, że jest bogiem, a dokładniej – synem bożym, był Jezus Chrystus. Co niewątpliwie intrygujące. Po śmierci Chrystusa nie rodzili się już kolejni bogowie ani prorocy. Chrystus był w tym peletonie uznawanych przez ludzi bóstw ostatnim (no, może z wyjątkiem japońskich cesarzy, z których przedostatni w końcu przyznał, że ta jego boskość to ściema, i oficjalnie się jej wyrzekł).

Bóg, władca, lud

Przez ostatnie 2 tys. lat pojawiali się święci, nawiedzeni, reformatorzy boskich mitów, twórcy odłamów religijnych, schizmatycy, nawet mesjasze, ale żaden nie twierdził, że jest bogiem. Nikt nie zakładał zupełnie nowej religii. Jeżeli obowiązująca doktryna religijna z jakichś powodów nie odpowiadała władzy, sięgano do historii pogańskich, vide: hitlerowskie Niemcy.

Boskość wyraźnie słabnie od czasów Karola Wielkiego, którego jakiś mnich przekonał, że *vox populi, vox Dei* („głos ludu jest głosem Boga”). Był to pierwszy moment, kiedy władcy nabrali wątpliwości co do swoich boskich prerogatyw. Następnie

pujający po Karolu królowie Francji i Anglii panowali z nadania boskiego, ale w gruncie rzeczy był to frazes. W prywatnych i oficjalnych okolicznościach nie przywoływali tego argumentu dla podparcia swoich racji. Kierunek polityki musiał być zgodny z wolą narodu. Pójście w innym groziło utratą głowy. Tak zresztą jest do dziś. „Cała władza pochodzi zasadniczo z woli narodu” – powiedział prezydent Andrzej Duda.

Stalin, Hitler, Mao Zedong, Husajn i żadne inne póldziabły cieszące się kultem własnej jednostki

wywołanym niekoniecznie na życzenie nie ogłosili się bogami, co wszak z propagandowego punktu widzenia byłoby dla nich bardzo wygodne.

Nieboska religia

Boskość ustępuje z wolną zupełnie nowej religii, którą nazwać trzeba po imieniu: ateizmowi.

Ateizm to religia negująca boga, co nie jest przypadkiem w historii ludzkich wyznań zupełnie odosobnionym, za to ma wielu kapłanów. Istota tej religii nie różni się niczym od wszystkich pozostałych.

Trzeba najpierw uwierzyć, żeby zrozumieć. Czy ja kiedyś widziałem atom? No nie widziałem.

Ale wierzę w to, że coś takiego istnieje, bo prawdopodobnie ludzie o tym piszący chcą być prawdomówni. Ilu z nich widziało ów

atom, to znowu jest kwestia problematyczna, bo może takiego wśród nich nie być. Wierzymy więc, że materia zbudowana jest z atomów, chociaż tym piszący większość z nas nie potrafiłaby tego dowieść. Wierzymy w to, że wszechświat zaistniał 13,5 mld lat temu od tak zwanego Wielkiego

Wybuchu, ponieważ jest to zdroworozsądkowe. Choć dziwi, że owe 13,5 mld zapisywane jest niekiedy jako 18 lub 15 mld. Parę miliardów w tę czy w tamą w precyzyjnych obliczeniach astrofizyków to wszak niewielka różnica. I tak się na tym nie znamy.

Wierzymy nauce, ponieważ niektóre jej osiągnięcia bardzo ułatwiają nam życie, a co do innych, to nie wiadomo. Podobnie jest z religiami. Trudno nie wierzyć w słuszność zalecenia „nie kradnij”. Jest ono uniwersalne i pospolicie pożyteczne.

Religia nauki ma też tę przewagę nad każdą inną, że co dwa lata może się tu coś zmienić. Einstein się pomylił, wprowadzając do obliczeń wielkości wszechświata tak zwaną stałą kosmiczną. Sam uznał to za błąd poważnie fałszujący rzeczywiste rozmiary i naturę kosmosu. Zimna fuzja jądrowa, którą już przeprowadzono w 1989 r., co miało nam dać darmową energię, okazała się blamażem. Ostatnie wykrycie cząstek szybszych niż światło również wynikało z błędu pomiarowego. Chęć zdobycia Nagrody Nobla szwajcarskich uczonych była silniejsza niż groźba kompromitacji.

Czy coś się zatem zmieniło w sprawach naszej pewności lub jej braku, metodyki pozyskiwania prawdy przez większość ludzi?

Zasadniczo sytuacja jest gorsza. Nieuzasadniona pewność bazująca na fałszywych informacjach daje większy komfort psychiczny niż nieustająca niepewność i wątpliwości oparte na racjonalnych przesłankach. Stopień dezorientacji ludzkości w ciągu ostatnich tysięcy lat raczej wzrósł, niż zmalał. Mamy nieco lepsze życie, ale trudniej jest chyba w takich sytuacjach umierać.

Świątujcie zatem Boże Narodzenie. To w gruncie rzeczy niezbyt groźna fikcja, a choinki są też niczego sobie.

ROBERT JARUGA

* „Poczucie boskiej wszechmocy nie jest rzadkim zjawiskiem w psychopatologii ostrych psychoz, zwłaszcza typu schizofrenicznego. Chorych z podobnym zespołem objawów można spotkać w każdym szpitalu psychiatrycznym, opisywani są oni w każdym klasycznym podręczniku psychiatrii” – Antoni Kepiński, „Rytm życia”, rozdział „Kompleks Pana Boga”.

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

„Washington Post” ujawnił, iż głównodowodzący wojsk USA, gen. Mark Milley, wyraźnie polecił Ukraincom dokonywanie ataków terrorystycznych na terytorium Rosji, których ofiarami mieli być cywile: „Podczas jednej z wizyt w Wiesbaden Milley rozmawiał z członkami ukraińskich sił specjalnych – którzy współpracowali z amerykańskimi zielonymi beretami – aby ich zainspirować do działań na terenie kontrolowanym przez wroga. »Ani jeden Rosjanin nie powinien iść spać bez pytania się, czy w środku nocy nie zostanie mu poderżnięte gardło« – mówił Milley według urzędnika obecnego przy tym zdarzeniu. »Macie tam wrócić i działać za liniami przeciwnika«. Podczas wojny afgańsko-radzieckiej Amerykanie szkolili Osamę bin Ladena. Jak widać, amerykańska sztuka wojenna w ogóle się nie zmieniła.

„Będę czynił wszystko, aby obecnie funkcjonujące embargo [zbożowe] utrzymać” – zadeklarował w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” nowy minister rolnictwa Czesław Siekierski (PSL).

„Ani Zachód, ani USA, ani wewnętrzna opozycja. Putina mogą pokonać jajka” – donosi w sensacyjnym tonie antyrządowy rosyjski portal Meduza. „W Moskwie ceny jaj przekroczyły 100 rubli (4 zł) za tuzin [...], wczoraj lokalny kryzys wybuchł na rynku benzyny, dziś – na rynku jaj, a jutro – wszędzie”. Niestety, autorka artykułu nie wskazała, kiedy jajka pokonają wszystkich przywódców zachodnich. A ceny jaj w Unii Europejskiej są znacznie wyższe niż w Rosji.

Według sondażu zleconego przez Europejską Radę ds. Zagranicznych (ECFR) tylko 37 proc. Niemców i 29 proc. Francuzów widzi Ukrainę w Unii Europejskiej. W Kijowie chyba dostrzegli, że nieprędko wstąpią do UE, więc na razie zgłosili się na obserwatora do Wspólnoty Państw Portugalskojęzycznych.

Samuel Pereira w zamieszczonym w tygodniku „Sieci” felietonie „No to reset” wieszczy: „W amerykańskim senacie odrzucono projekt ustawy o 61 mld dol. na pomoc dla Ukrainy. Jeśli odsunąć na chwilę fakt, iż 16 lat temu Niemcom w rusyfikacji europejskiej polityki zagranicznej pomagał prezydent demokratów Barack Obama, a dziś przeciwko pakietowi pomocowemu zagłosowali wszyscy republikanie, to mamy niepokojąco podobną sytuację do 2007 i 2008 r. I tak na stanowisku premiera polskiego rządu znowu będzie Donald Tusk, a jego patroni, zachodni sąsiedzi, razem z nim przebijają nożkami, żeby uruchomić kolejny reset”. My także niecierpliwie przebijamy nożkami.

„Newsweek” opublikował setny już chyba wywiad o książce ujawniającej „kulisy Kremla”. Autor dzieła pod zaskakującym tytułem „Mag z Kremla” Giuliano da Empoli opowiedział, co skłoniło go do zajęcia się Rosją: „Do dziś pamiętam ten moment, w którym pierwszy raz [...] przyjechałem do Moskwy. Poczulem ucisk, to miasto mnie przynęcało. Bywałem wcześniej w krajach totalitarnych, ale nigdzie to uczucie nie było tak silne jak w Rosji. Nawet moskiewska architektura je wówczas potęgowała. [...] Kreml [to] wielka skamielina w samym centrum, stalinowska architektura, obok niego wieżowce z apartamentami dla nowych Rosjan, koszmar. Za uściskiem przyszedł strach [...]”. Warto dodać, że Empoli od lat mieszka w przepelnionych pamiętającą Mussoliniego totalitarną architekturą Włoszech.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

Co, jeśli tatuś, teść czy żona uważają, że gen. Jarosław Szymczyk był najlepszym w historii szefem policji? A jeśli mąż przy śniadaniu, obiedzie i kolacji cytuje z pamięci złote myśli Leszka Balcerowicza? Normalnie pomyślelibyśmy, że to idiotka czy debil, i zajęlibyśmy się czymś innym. Jednak co jakiś czas są wybory. I taki kretyń ma prawo głosu jak inni. Ale może nie mieć...

Migrant dwubiegunowy

Jest przecież ubezwłasnowolnienie. Gdyby pisowska władza z tego myku skorzystała, to mając połowę swoich sędziów i całą prokuraturę, mogłaby bez problemu wygrać.

Osoba ubezwłasnowolniona nie może brać udziału w wyborach ani jako kandydat, ani jako głosujący. Jej dane wędrują tuż po postanowieniu sądu do spisu wyborców, skąd jest wykreślana. Od tej pory może chwalić Tuska, prezesa lub Mentzena, gdzie chce i ile chce, ale bez żadnych konsekwencji dla reszty populacji. Chyba że wciąż będzie zapraszana do mediów.

Oprócz rodziny i opiekunów prawnych z wnioskiem o ubezwłasnowolnienie może wystąpić prokurator. Ale jeśli nie chce sam, to z powodzeniem może podpuścić kogoś z rodziny. Bo i tak będzie stroną w rozprawie – tak stanowią paragrafy. Musi tylko zadbać o przyjaznego prokuratora biegłego. Takiego, który udowodni kandydatowi do ubezwłasnowolnienia ciężkie zaburzenia psychiczne. Albo po prostu niedorozwój umysłowy. A jak mu to nie podpasuje, to zawsze może stwierdzić, któryś z zespołów otepiennych.

Dużo nie trzeba.

Każdy psychiatra w każdym siedzącym przed nim osobniku bez problemu rozpozna zaburzenia nastroju lub osobowości, chorobę afektywną dwubiegunową albo zaburzenia depresyjne nawracające czy nerwice.

Gdyby nie wyszło, to zawsze pozostaje mu zdiagnozowanie zespołu lęku napadowego. Choćby przed migrantem lub galopującą inflacją.

Całkiem proste jest ubezwłasnowolnienie osoby po sześćdziesiątce. Światowa Organizacja Zdrowia określa otępienie jako długotrwały i postępujący zespół spowodowany chorobą mózgu, uszkadzający myślenie, pamięć, rozu-

Zabierz babci rozum

Aż dziw, że Kaczyński nie wpadł na najprostszy pomysł wygrania wyborów.

mienie, orientację, zdolność uczenia się, liczenie oraz ocenę sytuacji. Otępienie zaś najczęściej dotyka osoby starsze lub w podeszłym wieku, chociaż zdarzały się przypadki pojawienia się tego typu chorób u osób ok. 40. roku życia. Test jest prosty. Jeśli osobnik uważa, że ceny paliwa przed wyborami były tak samo kształtowane jak miesiąc wcześniej, to chyba widać, że nieszczerze coś rozumie. Jeżeli zaś uważa, że 600 zł dopłaty dla każdego wynajmującego mieszkanie nie podniesie czynszu o 600 zł, to jego ocena sytuacji pozostawia wiele do życzenia.

Z tata wariata

Problemu z ubezwłasnowolnieniem na skalę masową być nie powinno. Z badań przeprowadzonych przez Instytut Psychiatrii i Neurologii wynika, że z zaburzeniami psychicznymi boryka się ponad jedna czwarta dorosłej populacji Polaków. To grubo ponad 7 mln osób. Ponad 1,5 mln osób w ciągu roku trafia do szpitali psychiatrycznych. Około 100 tys. rezyduje w psychuszkach z najcięższymi schorzeniami psychiatrycznymi. Jedyne, co może stanowić problem w hurtowym orzekaniu ubezwłasnowolnienia, to przerób sądów. Właściwie zaś – brak biegłych. Z tego powodu postępowania trwają od kilku miesięcy do roku, czasem i dłużej.

Sędziowie chcieliby ubezwłasnowolniać szybko i sprawnie: wniosek, opinia i decyzja. Nie chcieliby też nawet oglądać delikwentów. Mają jednak pecha. W 2007 r. ustawa skomplikowała im radosne orzekanie. Teraz więc klną na to, że tę samą procedurę muszą stosować wobec osoby leżącej, bez kontaktu, jak i wobec schizofrenika, który łyka tabletki i można z nim rozmawiać. A przed sądem będzie wy-



glądał na osobę równie świadomą co Joachim Brudziński.

Oficjalnie sędziowie nie są jednak przeciwko tej procedurze dlatego, że im się nie chce pracować. Chodzi im oczywiście o dobro osoby ubezwłasnowolnionej. Każdy bowiem sędzia ma wdrukowane, że pozbawianie człowieka stanowienia o sobie jest działaniem chroniącym taką osobę. Ubezwłasnowolniając kogoś, sędzia robi mu po prostu dobrze. Natomiast osoba, która nie jest ubezwłasnowolniona, może być – zdaniem sędziów – wykorzystana. Żeby to udowodnić, ludzie w togach podpierają się znajomością setek przypadków, kiedy ktoś jest w stanie lekkiego otępienia, a notariusz tego nie wychwyci i dochodzi do sprzedaży nieruchomości.

Takie opowieści są idealne dla tych członków rodziny, którzy chcieliby krewniaka ubezwłasnowolnić. I takimi właśnie argumentami nader często posługują się w postępowaniach przed sądem prokuratorzy.

Jeśli jednak ktoś chciałby ubezwłasnowolnić męża czy tatusia, to musi pamiętać, że taniej to zlecić prokuratorowi. Bo jak nie, to wymagana przez sąd opłata wynosi 100 zł. A na dodatek trzeba będzie samemu zapłacić za opinię biegłego, o szmalcu na adwokata nie wspominając.

Ćwierćosoba

Zgłaszając się do prokuratora, należy tak kombinować, żeby nie wpakować się w rolę opiekuna prawne-

Wcale nie taki wariat

Jeszcze w 2010 r. rzecznik praw obywatelskich pisał do ówczesnego ministra sprawiedliwości, że automatyczne pozbawienie osób ubezwłasnowolnionych prawa do głosowania może stanowić naruszenie Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Potem powtarzał to wielokrotnie.

16 grudnia 2021 r. senat podjął uchwałę w sprawie wniesienia do sejmu projektu nowelizacji kodeksu wyborczego m.in. w zakresie przyznania biernego prawa wyborczego w wyborach do PE osobom częściowo ubezwłasnowolnionym.

W sprawozdaniu z obserwacji wyborów parlamentarnych z 2019 r. Biuro Instytucji Demokratycznych i Praw Człowieka (ODIHR) Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie zwróciło uwagę, że „pomimo obowiązujących w tym zakresie norm międzynarodowych osoby ubezwłasnowolnione nadal są pozbawione praw wyborczych, co jest sprzeczne z orzecznictwem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, jak również międzynarodową dobrą praktyką”.

T.J.

go. Czyli że prokurator winien żądać ubezwłasnowolnienia częściowego, nie zaś całkowitego. Najczęściej opiekunem osoby ubezwłasnowolnionej całkowicie sąd ustanawia córkę, syna lub współmałżonka. To jest dla takiej osoby niefajne, bo wszystko musi za ubezwłasnowolnionego robić i podpisywać, a na dodatek co pół roku trzeba wysyłać do sądu sprawozdanie ze sprawowania opieki.

WYPIERDALAĆ!



Szary Człowiek w sejmie

Nie taki już szary, skoro sam premier mówi o nim w sejmie. Raczej już Szary, przez duże S. Jego ofiara została uhonorowana, a razem z nią wszystkie inne mniejsze ofiary i starania tysięcy ludzi, bez których nie byłoby tego zwycięstwa. Za jakiś czas będą to już zasługi bezimienne. Oby chociaż imię Piotra Szczęsnego przetrwało w pamięci pokoleń na równi z postaciami najważniejszych polityków opozycji.

Na długo zapamiętamy inaugurację nowego rządu przemówienie Donalda Tuska z 12 grudnia 2023 r., zwane u nas z francuska exposé. Z różnych powodów, ale przede wszystkim dlatego, że otwiera ono nowy okres we współczesnej historii naszego kraju następujący po ośmiu latach destrukcji i upokorzenia. Nie trzeba być zwolennikiem Tuska, aby docenić doniosłość tego momentu.

Różnie mogło to przemówienie się od strony retorycznej ułożyć. Osobiście żałuję, że po półgodzinie zamieniło się w coś w rodzaju chaotycznych utarczek z pokrzykującymi i pyskującymi posłami PiS. Gdyby nie to, mowa premiera mogłaby przejść do historii. A tak wyszło jak zwykle. Nie narzekajmy jednak. Bo dla nas, doświadczonych przez reżim Kaczyńskiego, to była ważna chwila i piękne słowa.

Najbardziej wzruszającym elementem przemówienia Donalda Tuska było odczytanie przez niego listu-prześlania, jakie zostawił nam przed sześcioma laty Szary Człowiek, czyli Piotr Szczęśny, który w proteście przeciwko niszczeniu państwa przez PiS dokonał aktu samospalenia pod Pałacem Kul-

tury w Warszawie. To były szczere proste słowa, mówiące o krzywdzie, jakiej doznaje Polska i jej społeczeństwo pod rządami bezwstydnymi demontującymi demokrację i niszczącymi jej instytucje, na czele z Trybunałem Konstytucyjnym, wolnymi sądami i mediami publicznymi. Wtedy, gdy Piotr Szczęśny dokonał swego niezwykłego czynu, wszyscy biliśmy się z myślami. Czy można w XXI w. uczynić z samobójcy bohatera? Bo przecież ten rodzaj poświęcenia nie może być propagowany jako wzór do naśladowania. Jednocześnie wydawało się nam, że potrzebujemy tej ofiary i bohatera będącego symbolem naszej walki z rodzącym się na naszych oczach reżimem. Czy godzi się jednak korzystać z czyjejś śmierci? A może właśnie się godzi, bo coś nadałoby jej większy sens i lepiej wyrażało naszą wdzięczność niż uczynienie z Piotra Szczęsnego symbolu oporu wobec PiS? Tu jednak mieliśmy nowe wątpliwości. Czy aby na pewno niszczycielska siła rządów PiS jest już tak groźna w swoich skutkach, aby wolno nam było walkę z nimi porównywać z tego rodzaju walką o wolność, w której ludzie oddają za nią swe życie?

Wszystkie te rozterki pozostawiliśmy w zasadzie bez rozstrzygnięcia i dopiero teraz, po latach, Donald Tusk rozstrzygnął je za nas i w naszym imieniu. Piotr Szczęśny, jeśli tam można powiedzieć, wchodzi do historii. Nikt nie może powiedzieć, że jego osoba i jego desperacki czyn stały się przedmiotem jakiegokolwiek nadużycia. O samospaleniu Szarego Człowieka opozycja nie mówiła zbyt wiele. Nie wzięto go na sztandary,

jakkolwiek też o nim nie zapomniano. Były rocznicowe spotkania, kwiaty i znicze. Dziś jednak upamiętnienie weszło na wyższy poziom. Piotr Szczęśny zza grobu przemówił w sejmie i zapewne na tym się nie skończy. Mam nadzieję, że wkrótce doczeka się ulicy w swoim rodzinnym Krakowie.

Jest jednakże jeszcze jeden moralnie drażliwy aspekt tej sprawy, od początku rzucający na jej przebieg i wydźwięk. Otóż już wtedy, sześć lat temu, PiS starał się umniejszyć znaczenie ofiary Szczęsnego, przypominając, że leczył się na depresję. Sugerowano, a właściwie insynuowano, że to właśnie depresja pchnęła go ku samobójstwu, w związku z czym podawane przez niego motywy polityczne są wtórne, zastępcze, pozbawione wiarygodności.

Odrażające jest takie odzieranie człowieka z wszelkiej powagi i autonomii, robienie z niego wariata, gdy złożył największą ofiarę. Ze zdumieniem patrzyłem, jak bezmyślnie (ale i bez właściwej reakcji ze strony osób z publicznym autorytetem) robili to propagandyści oraz politycy PiS lekający się, że osoba Piotr Szczęsnego stanie się nośnym i dającym nam siłę symbolem. Niestety, to niegodziwe dyskredytowanie Szarego Człowieka trwa i dzisiaj. Skręcając się od własnego cynizmu i bezwstydu, propaganda PiS odsądza od czci i wiary Donalda Tuska z powodu powoływania się przez niego na słowa osoby w depresji. Tusk miałby rzekomo wykorzystywać czyjeś nieszczęście i czyjaś śmierć do własnych celów politycznych.

Kiedy zaś kogoś ubezwłasnowolni się częściowo, to jest spoko. Ubezwłasnowolniony w ten sposób może sam chodzić do sklepów i kupować. Ale oczywiście w wyborach uczestniczyć nie ma prawa.

Gdy o ubezwłasnowolnienie występuje prokurator, sąd wyznacza na opiekuna kuratora społecznego działającego przy sędziu albo urzędników opieki społecznej. Największy sens dla rodziny osoby pozbawianej praw ma to jednak wtedy, kiedy jest pewna, że ubezwłasnowolniony nie ma nigdzie ukrytego lub nieukrytego majątku. Jeśli ma, to kurator lub ktoś z opieki mógłby się nim bezpowrotnie zaopiekować.

Co innego, gdy ktoś, kogo chcemy ubezwłasnowolnić, jest posesjonatem. Wtedy stanowczo wypada pogłówkować, jak zostać jego opiekunem. Pamiętając o tym, że gdy mąż lub żona zostaną ubezwłasnowolnieni, to wtedy z mocy prawa ich majątek należący do wspólności małżeńskiej przechodzi na drugą połowę. Ba, kiedy już przejdzie, to nic w polskim prawie nie stoi na przeszkodzie, by zwrócić się do sądu nie o rozwód, ale o znacznie tańsze unieważnienie małżeństwa.

To, że w Polsce ubezwłasnowolnionych jest tylko 100 tys. osób, świadczy w tym kontekście o nader niskiej świadomości prawnej tak obywateli, jak i władzy. Dla najbliższej rodziny ubezwłasnowolniony „wariat” może być skarbem. Dla władzy zaś wyeliminowanie z wyborów milionów „idiotów” popierających drugą stronę to spokojny sen, milionowe synekury i nieniekajenie się taką bzdurą jak słupki poparcia.

TADEUSZ JASIŃSKI

ETYKA BEZBOŻNA

Trudno nazwać tę przewrotną moralną ohydę. Trzeba jednakże na nią zareagować. Podłością jest umniejszanie czynów osoby protestującej przeciwko złu i odbieranie jej zdolności do wyrażania swej moralnej dezaprobaty dla tegoż zła tylko dlatego, że cierpi na zaburzenia nastroju. Nawet gdyby Szary Człowiek cierpiał na jakąś chorobę ograniczającą jego zdolność do rozpoznawania rzeczywistości (a depresja akurat nią nie jest), to i tak nie wolno by było nikomu powiedzieć, że nie wiedział, co czyni, i że jego czyn nie ma tego znaczenia, jakie sam mu nadał. To obrzydliwe lekceważenie i deprecjonowanie maskowane pozorowanym szacunkiem dla nieszczęścia osoby chorej. Tak się jednakże składa, że Szczesny był całkiem zdrowy na umyśle, a chory w sferze emocji. I owšem! Jest bardzo możliwe, że nie targnąłby się na swoje życie, gdyby nie miał depresji! Tylko co z tego? Czy to w jakimkolwiek stopniu umniejsza wartość jego ofiary? Czy ofiara chorego na depresję jest jakaś gorsza? A może to właśnie przykład Piotra Szczesnego pokazuje najlepiej, jak ważną rolę odgrywają w społeczeństwie ci, którzy chorując na depresję, czują więcej niż inni? Tak właśnie myślę. I dlatego moim zdaniem Piotr Szczesny powinien być nie tylko patronem opozycji epoki rządów niesławnego Jarosława Kaczyńskiego, lecz również patronem osób z depresją. Bo też wcale nie trzeba Szarego Człowieka naśladować, aby go podziwiać i się z nim identyfikować.

JAN HARTMAN

Ratujemy planetę czy zyski kilku korporacji? Slepota ekologiczna

Przez dziesięciolecia jednym z głównych haseł obrońców środowiska był zakaz noszenia naturalnych futer. Ekoobligiem stało się noszenie odzieży z tworzyw sztucznych – znaczy z plastiku. Teraz to plastik okazuje się największym zagrożeniem dla planety. Zostaje zatem bawelna. Tymczasem ekolodzy przekonują, że na wyprodukowanie z niej podkoszulka marnujemy nieprzyswoite ilości energii i wody. Najwłaściwsze zatem byłoby chodzenie nago i boso.

Kubek w kubek

Katastrofalne zanieczyszczenie wszystkich skrawków Ziemi i wszystkich żywych istot tworzywami sztucznymi zmusiło rządy do przejścia na materiały alternatywne. Takie eko. Zamiast kubka z plastiku można więc kawę na wynos kupić w kubku papierowym z papierową słomką i plastikowym wieczkiem. Wieszko bowiem widać mniej groźne jest dla wielorybów.

Miłujący środowisko szwedzcy naukowcy jakoś nie wierzyli w nieprzepuszczalną dla wody moc papieru. Jako ludzie małej wiary i dużej wiedzy o celulozie wiedzieli, że papier po prostu mięknie.

Skoro zatem taki kubek trzymał gorące napoje, to znaczy, że taki do końca papierowy nie był. Naukowcy zostawili papierowe i plastikowe kubki w mokrym osadzie i wodzie na kilka tygodni i obserwowali, jak wypływające z nich chemikalia wpływają na larwy komarów. Komary są istotami żywymi, więc badacze od razu weszli na kurs kolizyjny ze współczesną ekologią zakazującą korzystania w badaniach ze zwierząt. Najgorsze, że to, co naukowcom wyszło, też miało się nijak do prawd głoszonych przez miłośników natury.

Wszystkie, czyli także papierowe, kubki miały negatywny wpływ na rozwój larw komarów. Bo otóż papier stosowany w materiałach do pakowania żywności jest pokryty specjalną powłoką z plastiku chroniącego celulozę przed kawą. Ta warstwa ochronna jest wykonana z polilaktidu (PLA). Ten zaś uchodzi za bioplastik. Znaczący jest ekologiczny, bo produkowany z zasobów odnawialnych – z kukurydzy, manióku lub trzciny cukrowej. Dzięki temu uważa się, że jest biodegradowalny, czyli rozkłada się o wiele szybciej niż tworzywa na bazie ropy naftowej. Wszystko byłoby fajnie, gdyby nie to, że szwedzcy naukowcy stwierdzili, że PLA jest toksyczny.

Bioplastik w środowisku naturalnym nie rozkłada się tak, jak zachwalają producenci. W wodzie zaś nie różni się od plastiku tradycyjnego. Powstały z niego biomikroplastik może więc zostać połknięty przez zwierzęta i ludzi. Tymczasem biotworzywa zawierają co najmniej tyle samo substancji chemicznych co konwencjonalne tworzywa sztuczne, które przecież zabijają i nas, i wieloryby.

Po ogłoszeniu takich ekoherezji, żeby już całkiem nie podpaść aktywistom, naukowcy wydali oświadczenie, w którym napisali, że korzystanie z plastikowych kubków tylko do picia kawy nie szkodzi. Ale tuż po wypiciu pojemnik należy wyrzucić do kosza na recyklingowe śmieci.

Kiedy po drugiej wojnie światowej na rynek trafiły produkty jednorazowego użytku, prowadzono duże akcje mające na celu nauczanie ludzi wyrzucania produktów do śmietników. Ludzie się tego jednak nie nauczyli. Dlatego dziś jeden jednorazowy plastik zastąpiono innym jednorazowym plastikiem. Który, jak się okazuje, też winien być zbierany jak ten wcześniejszy, bo wyrzucony w trawę jest tak samo szkodliwy.

Bezplodność przez słomkę

W lipcu 2021 r. weszła w życie dyrektywa Unii Europejskiej zakazująca stosowania plastikowych słomek. Producenci zaczęli wprowadzać na rynek różne alternatywne produkty, w tym słomki papierowe czy z bambusa. Tak miało być ekologicznie i bezpiecznie dla zdrowia.

Belgijscy badacze okazali się sceptykami. Cudem – bo jakże dawać forsy na coś tak ekoobrazoburczego – zdobyli fundusze i zaczęli patrzeć na papierowe słomki przez pryzmat zawartości szkodliwych związków chemicznych. Szczególnie interesowały ich substancje per- i polifluoroalkilowe, zwane po naukowemu PFAS. Te związki mają to do siebie, że gromadzą się w środowisku i organizmie człowieka, a potem wyjątkowo długo się tam utrzymują i powodują choroby tarczycy, uszkodzenia wątroby, nowotwory oraz problemy z płodnością.

PFAS w papierowych słomkach jest stosowany, bo ma właściwości hydroizolacyjne. Nie pozwala im zamakać. Belgom udało się toksynę wykryć w 19 z 20 rodzajów słomek papierowych i w czterech z pięciu analizowanych marek słomek bambusowych. Wniosek był prosty: ekologiczne słomki nie są bezpieczne dla zdrowia.

Na to zareagowali natychmiast producenci wielorazowych słomek ze stali nierdzewnej. Dzięki

ich pieniądзом ekologiczny internet orzekł, że to one są trwałe i bezpieczne dla człowieka. Jak z nich korzystać, żeby w cienkich, zakrzywionych, nienadających się do mycia rurkach nie było kolonii drobnoustrojów, nikt jednak nie wspominał.

Nabici w bidon

Ponieważ plastikowe butelki jednorazowe to samo zło zabijające nas i wieloryby, zapanowała ekologiczna moda na wielorazowe butelki na wodę i bidony. Używając ich dzieci w szkole, sportowcy, a poręczny bidon mieści się w eleganckiej torebce każdego celebryty.



rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

Jakie rolnictwo nas zabija?

Ekolodzy przekonują, że nie ma niczego gorszego dla planety niż intensywne uprawy rolne. O wiele lepsze dla nas są przecież małe ekologiczne gospodarstwa.

Grupa naukowców postanowiła dokładnie oszacować zanieczyszczenia – takie jak produkcja gazów cieplarnianych, zużycie nawozów i wody – i przeliczyć je na jednostkę żywności wyprodukowanej w sposób intensywny lub uważany za przyjazny środowisku. W ten sposób mogli porównać koszt środowiskowy obu metod. Przeanalizowali dane dotyczące zanieczyszczeń powodowanych przez uprawy ryżu w Azji, uprawy pszenicy w Europie, produkcję wolowiny w Ameryce Łacińskiej oraz produkcję mleka i jego przetworów w Europie.

Stwierdzili, że wiele systemów intensywnej uprawy i hodowli ma mniejszy negatywny wpływ na środowisko naturalne i – co najważniejsze – działa efektywniej na mniejszym obszarze niż mniej intensywna działalność rolnicza. Na przykład okazało się, że wykorzystywane w intensywnej uprawie ryżu nieorganiczne związki azotu nie zwiększają emisji gazów cieplarnianych, ale skutkują wyższymi plonami i mniejszym zużyciem wody na tonę ryżu. Z kolei przy niektórych intensywnych metodach hodowli krów możliwe jest zmniejszenie emisji gazów cieplarnianych aż o połowę, jeśli na pastwiskach zasadzi się drzewa zapewniające bydłu cień. Badania ekologicznych, organicznych farm mlecznych w Europie wykazały, że do produkcji tej samej ilości mleka potrzebują one co najmniej 30 proc. ziemi uprawnej więcej i dwukrotnie więcej ziemi do wypasu niż tradycyjne farmy mleczne.

Laboranci firmy badającej systemy filtrujące wiedzieli, że wielorazówki wcześniej czy później zaowocują jakąś pandemią. Wskazywała na to logika i wiedza o drobnoustrojach. Ta sama, którą mieli oczywiście właściciele firm produkujących modne ekologiczne gadżety, ale z powodów oczywistych woleli ją przemilczeć.

Ekspertci pobrali wymazy z różnych typów wielorazowych butelek, trzykrotnie z każdego rodzaju, i jeśli się im przyglądać. Nawet ich zaskoczyło to, co zaobserwowali.

W butelkach wykryto średnio 20,8 mln bakterii tworzących kolonie, zdolnych do namnażania się. Były wśród nich zwłaszcza Gram-ujemne pałeczki wywołujące zakażenia szpitalne, które łatwo stają się antybiotykooporne, a także Gram-dodatnie laseczki *Bacillus*, wywołujące psucie się produktów i zatrucia z objawami żołądkowo-jelitowymi.

W butelkach filtrujących skażenie było takie jak w bidonach bez filtra. Zarazki w wielorazówkach brały się stąd, że pije się z nich bezpośrednio z ustnika, wpływając nieco z powrotem. Oczyszczona woda wcale nie jest pozbawiona bakterii, ponieważ nie są one zatrzymywane podczas filtrowania.

Zawartość bakterii w wielorazowych butelkach porównano z wynikami takiego badania dla różnych domowych obiektów.

Przeciętna wielorazowa butelka zawierała 40 tys. razy więcej bakterii niż powierzchnia deski klozetowej. Bidony miały 14 razy więcej bakterii niż miska dla psa lub kota, pięć razy więcej niż myszka komputerowa oraz dwa razy więcej niż najbrudniejsze miejsce w domu, czyli kuchenny zlew.

W bidonach ze słomką bakterii było aż trzy razy więcej niż w zlewie.

Gdy wyniki poszły w świat, producenci bidonów napisali na opakowaniach, że trzeba je myć codziennie, a przynajmniej raz w tygodniu poddawać dezynfekcji. Do mycia zalecają miękką szczoteczkę do butelek i ciepłą wodę z detergentem. Pojemniki każą dokładnie wypłukać i odstawić, by woda ociekła. W celu dezynfekcji butelek polecieli zalanie ich wrzątkiem lub

Codzenie powinniśmy dziękować Stalinowi za Jaltę.

Cud nad Wisłą

„Szlachta nie pracuje” – taką dumną sentencję znajdziecie często na polskich facebookowych profilach. Zwykle w rubryce „Pracuje/pracował”. Czasem jest ona wyrazem beznamiętności, czasem przekory, często miłości do szlacheckiego sarmatyzmu.

W ciągu ośmiu lat rządów PiS-u jego elity intelektualne próbowały wykreować nam wizerunek Polski dumnej i mocarstwowej, IV Rzeczpospolitej na miarę ich marzeń i rozmiarów kapeluszy, aby łatwiej legitymizować swój archaizm i programy konserwatyzm. Dlatego wyciągano z kapelusza obrazy wesołej sanacji II Rzeczpospolitej i wielkiej sarmacji I Rzeczpospolitej. Ustawiano je w kontrze do „demokracji” III Rzeczpospolitej i zła wszelkiego Polski Ludowej.

Niestety II Rzeczpospolita, pomimo jej niekwestionowanych osiągnięć, nie nadaje się na wzór do naśladowania. Zwłaszcza przez elity polityczne państwa zobowiązanego do przestrzegania demokratycznych norm Unii Europejskiej. Autorytarna, faszystująca i słaba gospodarczo II Rzeczpospolita nie zmieściłaby się w Unii Europejskiej. Była peryferiami Europy.

Wielcy i bogaci

Ku pokrzepieniu patriotycznych i prawicowych serc lepiej nadaje się sarmacka I Rzeczpospolita. Zmitologizowana przez PiS bardziej niż ułańska sanacja.

Rzeczywiście pod koniec XVI w. ówczesne państwo polskie znajdowało się u szczytu swej potęgi. Było jednym z największych terytorialnie i najbardziej zaludnionych w Europie. Polska uważana była wtedy za ważne mocarstwo regionalne, przenoszące kulturę Zachodu na Wschód. Czasem też kulturę Wschodu na Zachód, najczęściej do Europy Środkowo-Wschodniej.

I Rzeczpospolita miała warstwę szlachecką, około 6-10 proc. społeczeństwa, która korzystała z nowatorskiego wtedy demokratycznego systemu politycznego. Szlachta miała prawa obywatelskie i wolności. Nawet wyboru religii, co zapobiegło wojnom religijnym. Stworzyło to mit państwa bez stosów.

Szlachta polska i litewska korzystały wtedy z ówczesnego globalnego łańcucha dostaw. Po odkryciu i skolonizowaniu Ameryki przez państwa europejskiego Zachodu gwałtownie wzrósł tam eksport zboża z Polski. Szlachta bogaciła się na nim. Stąd większość Polaków uważa, że I Rzeczpospolita w XVI w. była najwyżej rozwiniętym cywilizacyjnie państwem na świecie. A cały świat zazdrościł Polakom ich bogactwa, nawet Francuzi, których Polacy uczyli kultury. Jeść widelcem.

Mit ten jest miodem na patriotyczne polskie serca. Niestety, nie jest zgodny z hi-

storyczną prawdą. Wywołany popytem na zboże polski sukces ekonomiczny nie trwał długo. Po roku 1600 gospodarka I Rzeczpospolitej coraz bardziej zostawała w tyle za Europą Zachodnią. Dochód Polski per capita, po osiągnięciu swego szczytu w XVI w., czyli poziomowi nieco powyżej połowy dochodu gospodarek zachodu Europy, nie powrócił do tego poziomu w ciągu całej I Rzeczpospolitej. Również poziomy wydajności rolnictwa, urbanizacji, gęstości zaludnienia, rozwoju infrastruktury komunikacyjnej były znacznie niższe niż na Zachodzie.

Kiedy szlachta balowała, chłopci w Polsce żyli w skrajnej nędzy. Bez praw i wolności osobistych. Podstawowa różnica między pańszczyzną a niewolnictwem polegała na tym, że pan nie mógł swego chłopca pańszczyźnianego sprzedać indywidualnie. Mógł go sprzedać jedynie w pakiecie, czyli tylko z całą wioską.

Gospodarka I Rzeczpospolitej produkowała i eksportowała przede wszystkim produkty rolnicze, czyli pszenicę, oraz surowce, czyli drewno. Wymieniano je na zachodnie towary luksusowe zaspokajające ostentacyjną szlachecką konsumpcję. Wbrew mitowi ówczesna Polska nie była spichlerzem Europy. Twarde dane wskazują, że polski eksport to jedynie 2 proc. konsumpcji ówczesnej Europy Zachodniej.

Ponieważ „szlachta nie pracowała”, czyli nie zajmowała się rzemiosłem, handlem i działalnością finansową, to życie gospodarcze I Rzeczpospolitej zdominowali obcokrajowcy. Niemcy byli najbogatsi wśród mieszczan, Żydzi opanowali handel i finanse,



Ilustr. PAWEŁ FERENC

a na eksporcie polskiego zboża zarabiali Holendrzy i gdańszczanie.

Ta „mocarstwowa” I Rzeczpospolita nie miała własnej marynarki wojennej ani handlowej. Nie miała zawodowej armii. Była sprywatyzowaną przez oligarchów pszeniczną republiką. Coraz bardziej zacofaną i niesprawną.

Car oswobodziciel

Na szczęście dla nas, obecnie żyjących, I Rzeczpospolita upadła, a potem władzę na ziemiach polskich sprawowali zagraniczni cesarze i carowie.

Zaborcy uwolnili polskich chłopów z niewolniczego stanu narzuconego im przez Polaków i wprowadzili pierwsze systemy powszechnej edukacji. Nie uczyły one polskości, ale zmusiły też polską patriotyczną inteligencję do tworzenia polskiej edukacji. Zaborcy pruscy wymusili modernizację polskiego rolnictwa, industrializację i urbanizację. Uczyli Polaków zasad państwa prawa i nowoczesnego parlamentaryzmu.

Polacy w zaborze austriackim korzystali z zasad demokratycznego państwa. Powstały tam legalne partie chłopskie i socjalistyczne. Polacy mieli szansę zostać ministrami, a nawet premierami w wiedeńskich rządach.

To ruski car oswobodził wreszcie polskich chłopów z polskiego niewolnictwa. To ruski generał wybudował pierwszy wodociąg w Warszawie. A dzięki korzystnej dla polskich ziem rosyjskiej polityce celnej na polskich terenach mogły powstać fabryki. Te w Łodzi, Żyrardowie, Częstochowie, Dąbrowie Górniczej.

Powstała po I wojnie światowej II Rzeczpospolita była niepodległym państwem. Stworzyła instytucje suwerennego państwa, ale pozostała gospodarką słabą i peryferyjną. Nie przetrwała 20 lat swego istnienia.

Brzydkie kaczątko

Polska Ludowa miała na swym starcie najlepsze warunki, aby nadal być państwem drugorzędym z gospodarką chronicznego niedoboru. Po II wojnie światowej była jednym z najbiedniejszych państw w Europie. Bez podstawowej infrastruktury komunikacyjnej, przemysłu, niedotkniętych wojną miast. Miała przeludnienie na wsi i powszechny analfabetyzm. Reformę rolną do odrobienia. Została też zapisana podczas porozumienia przywódców mocarstw w Jaltie do bloku radzieckiego. Po czterdziestu kilku latach budowy socjalizmu, w 1989 r., gospodarka polska była w stanie bankructwa. Ale jednocześnie w Polsce Ludowej stworzono wreszcie nowoczesne proprodukcyjne społeczeństwo. Zlikwidowano analfabetyzm, upowszechniono wykształcenie średnie i studia wyższe.

Po reformie rolniej powstało polskie chłopstwo. Powstało też polskie rzemiosło, drobny i średni biznes. Pojawili się liczni robotnicy, także ci wykwalifikowani. Kadry inżynierskie i menedżerskie.

Upadł etos „szlachta nie pracuje”. Powstało społeczeństwo proprodukcyjne.

Polska wielce też skorzystała na pojałtańskiej zmianie granic. Choć oddała ówczesnym republikom radzieckim ponad 200 tys. km kw., to zy-

skała kosztem Niemiec 130 tys. km kw. Była to zdecydowanie korzystna wymiana, bo państwo polskie dostało ziemię zdecydowanie bogatsze. Gotowe do zasiedlenia.

Wiek złoty

Dzięki temu po 1990 r. z formalnie zbankrutowanej gospodarki mógł wykluczyć się gospodarczy łabędź. To w czasie III Rzeczpospolitej gospodarka polska stała się wreszcie realnie produktywna i proeksportowa.

W XVI w., uważanym ciągle za złoty wiek, gospodarka polska była na poziomie nieco powyżej połowy dochodu gospodarek zachodu Europy. Tego poziomu potem w I Rzeczpospolitej, pod zaborem, w II Rzeczpospolitej i Polsce Ludowej już nie osiągnęła.

W roku 1990 startowała z dochodem 10,3 tys. dol. na mieszkańca. W roku 2019 ów dochód wzrósł do prawie 30 tys. USD. I rósł przez następne lata pomimo pandemii, wojny w Ukrainie i rządów PiS.

W ciągu ponad 30 lat, czyli zaledwie jednego pokolenia, Polska z państwa biednego stała się państwem o wysokich dochodach, sięgających 70 proc. poziomu materialnego najbogatszych państw Unii Europejskiej.

Tego Zachodu, z którym przez wieki się porównywała i starała się go gonić.

To właśnie teraz żyjemy w tym złotym wieku – dowodzi profesor Marcin Piątkowski w bardzo dobrze udokumentowanej książce „Złoty wiek. Jak Polska została europejskim liderem wzrostu i jaka czeka ją przyszłość”. Opublikowało ją wydawnictwo Prześwity, a rekomendowali tacy eksperci jak Grzegorz W. Kołodko, Dani Rodrik, Justin Yifu Lin, Siergiej Guriew, Marek Belka, Andrzej A. Koźmiński, Branko Milanović, István P. Székely, Anders Aslund, Gérard Roland, Dale W. Jorgenson.

Polecam ją Wam na święta. Rzadko się zdarza, że zamiast tradycyjnie kwękać i narzekać, możemy się dowartościować. I tym razem prawdą, nie kolejnym narodowym mitem.

PIOTR GADZINOWSKI

Polszczyzna gwałcona postępu

Językowe potwory roku.

Wyznanie: mimo najlepszych chęci nie jestem w stanie używać słowa „ministra”. Podobny problem mam z „polityczką”, która w moim języku nie oznacza kobiety zajmującej się zawodowo polityką, tylko samą politykę, tyle że uprawianą niepoważnie, z małostkowych pozycji. Kłopot z żeńskimi formami męskich rzeczowników polega na tym, że te, które tworzą się naturalnie, zostały już stworzone i mają przypisane sobie znaczenia. „Dyplomatką” to płaszcz noszony przez dyplomatów, „sekreterką” to stanowisko zasadniczo inne – i powiedzmy sobie szczerze: niższe – niż sekretarz, a „dziennikarką” zawsze pozostanie dla mnie kolokwialnym określeniem Instytutu Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego, na którym studiowałam.

Poza tym ni cholery nie rozumiem gramatycznych zasad tworzenia feminatywów. Jeśli „minister” staje się „ministrą”, to polityk rodzaju żeńskiego powinien nazywać się chyba „polityca” na tej samej zasadzie, na której samica królika jest królicą. „Polityczka” wydaje się formą zdrobniałą – podobnie zresztą jak nieszczyśna „pełnomocniczka” – co zgodnie z zasadami języka polskiego oznacza tyle, co „mały żeński pełnomocnik”. Robotnik będący kobietą nie jest „robotniczką” – to, sami przyznacie, brzmi cokolwiek protekcyjnie – tylko robotnicą.

Język polski jest oczywiście ubogi w formy żeńskie związane z pozycją władzy i wpływu, bo władza i wpływ w długiej historii naszej mowy ojczystej były ubogie w kobiety.

Stąd większość słów, które dziś mają określać kobiety pełniące daną funkcję, tak naprawdę jest tytułami przez setki lat przypisywanymi żonom posiadaczy danych funkcji. Marszałkini to żona marszałka, podobnie jak radczyni to żona radcy. Kiedy Antonina Domańska mówi „radczyni jestem z Krakowa”, Wyspiański nie usiłuje przekonać widza, że ciotka Lucjana Rydla trudni się zawodowo prawem. Jej status jest określany przez jej męża prof. Stanisława Domańskiego, który był członkiem Rady Miasta Krakowa.

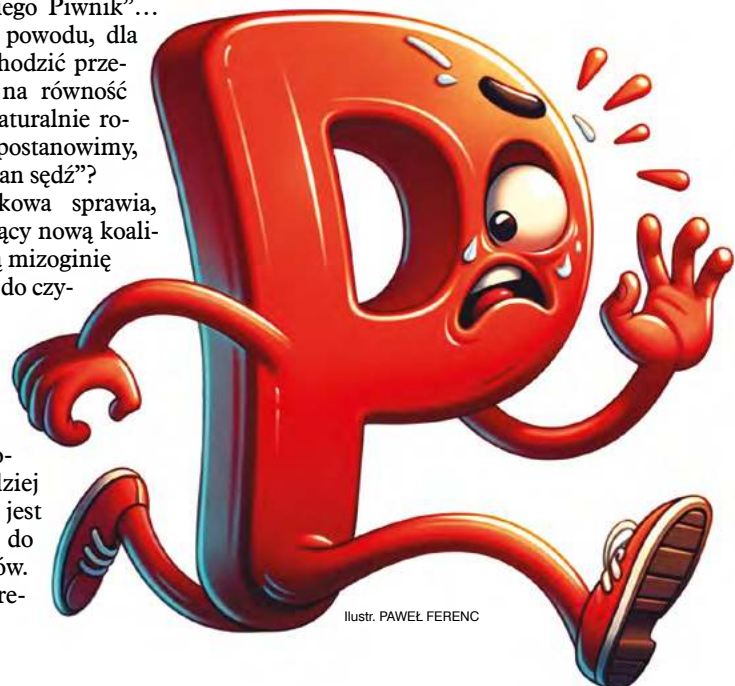
Ekstremalnym przejawem tego nieporozumienia jest termin „sędzina”, którego nieznający sądowej etykiety używają na określenie sędziego kobiety, co gwarantuje im z miejsca nieżyłkość wysokiego sądu. Do tego stopnia, że adwokaci dla mocniejszego odcięcia się od tej samobójczej formy często odmieniają „sędziego” po męsku, nawet gdy sędzia ów jest kobietą. Osobiście słyszałam wybitnych członków palestry mówiących „nie zgadam się z decyzją pani sędziego Piwnik”... Swoją drogą, nie widzę żadnego powodu, dla którego tylko kobiety mają przechodzić przemianę gramatyczną ze względu na równość płci. Słowo „sędzia” jest wszak naturalnie rodzaju żeńskiego, czemu zatem nie postanowimy, że należy mówić „pani sędzia” i „pan sędź”?

Feministyczna ofensywa językowa sprawia, że po cichutku cieszę się, że rządzący nową koalicją faceci jednak zachowali zdrową mizoginię – w przeciwnym razie mielibyśmy do czynienia z „wicepremierą”.

Nawiasem mówiąc, myślę sobie, że skoro musimy już tworzyć formy żeńskie, warto skorzystać z bogactwa polskiej gramatyki w kreatywniejszy sposób. Najpiękniejszą – i najbardziej równościową – formą feminatywu jest w mojej opinii ta, z którą mamy do czynienia w przypadku wampirów. Proponowałabym zatem „wicepremierzyć”.

Ale natrętne feminatywy nie są jedynym – ani nawet najgorszym – elementem nowego języka polityki. Mam kilku innych faworytów.

„Zaopiekowany”. Takiego słowa nie ma nawet w języku polskim – każdy słownik elektroniczny podkreśla je na czerwono. To zbrodnica (chodzi o zbrodnię na języku) kalka z angielskiego idiomu *taken care of*. Przydatna, to prawda, bo pozwala uniknąć wskazania odpowiedzialnych – inaczej



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Cierpienie ubogacza

Czy może być coś radośniejszego niż wielomiesięczne umieranie w niewyobrażalnym bólu?

Z krótkiej i bardzo niemiarodajnej sondy, którą przeprowadziłem wśród onkologów, wynika, że mnóstwo ludzi w terminalnych stadiach raka żyje w strasznym cierpieniu tylko dlatego, że boją się, iż gdyby popełnili samobójstwo, to ich rodziny nie powąchałyby nawet złotówki z opłacanej przez nich od lat ubezpieczeniowej polisy na życie.

Samobój ubezpieczony

Najgorsze, że ci, którzy tak myślą, nie mają racji. Co prawda samobójstwo od zawsze powodowało, że rodzina zmarłego nie dostawała forsy. Odebranie sobie życia było traktowane przez towarzystwa ubezpieczeniowe jako godzące w politykę społeczną oraz interesy firm ubezpieczeniowych. Jednak poglądy na temat samobójstw jako form wymuszania świadczeń z ubezpieczenia uległy zmianie.

Pierwszym państwem, które zmieniło w tym zakresie prawo, była Kanada. Kodeks cywilny Kanady uznał roszczenie do odszkodowania w przypadku samobójstwa osoby ubezpieczonej. Żeby jednak nie było dla chcących ze sobą skończyć (ubogającą najbliższych) zbyt fajnie, ubezpieczalnie wprowadziły pewien myk. Pomiędzy zawarciem ubezpieczenia a samobójstwem musiał być co najmniej dwuletni odstęp. Rozwiązanie przyjęte przez Kanadę zostało wkrótce zaadoptowane przez Stany Zjednoczone. W ślad za tymi państwami podażyły inne kraje, które przyjęły podobne zapisy w kwestii samobójstw.

I Polska od tych krajów należy. Ba, nasz kodeks cywilny mówi, że „umowa lub ogólne warunki ubezpieczenia mogą skrócić ten termin, nie bardziej jednak niż do 6 miesięcy”. Jak się jednak można domyślać, firmy ubezpieczeniowe zgadzające się na taką klauzulę wycenią składkę miesieczną na takim poziomie, że nawet komuś najbardziej depresyjnemu samobójstwa się odechce.

Ubezpieczalnie nieszczególnie wyjawiają ludziom wykupującym polisy, że prawo z musu obliguje je do płacenia odszkodowań za śmierć w wyniku samobójstw. Cwaniaczki wciskają więc ludziom specjalne polisy, w których śmierć z własnej woli i ręki za dwa lata nie będzie przeszkodą w odszkodowaniu. Oczywiście za „samobójcze polisy na życie” też trzeba płacić więcej niż za zwykłe, które za udane targnięcie się na siebie też wypłacą kasę.

Firmy ubezpieczeniowe nie byłyby sobą, gdyby nie stworzyły katalogu okoliczności, których zaistnienie spowoduje, że rodzina samobójcy płatnika składek nie otrzyma pieniędzy. Katalog ten – obalany potem w sądzie – zawiera zapisy, po których przeczytaniu umowy nie należy podpisywać, bo pachnie ona na odległość próbą oszustwa.

należałoby powiedzieć, kto ma się opiekować. Zamiast „pacjent musi być zaopiekowany” – trzeba by wskazać, że lekarze, pielęgniarki albo rodzina muszą opiekować się pacjentem.

Nawiasem mówiąc, tej zbrodni winni są wszyscy: w pierwszym tasiemcowym posiedzeniu sejmu nie było takiego klubu – poza, o zgrozo, Konfederacją – którego przedstawiciel nie wygłosiłby tego potwornika (taka forma nowotworu) z trybuny sejmowej.

Anna Dąbrowska-Banaszek (PiS): „W czasie rządów prawicy społeczeństwo było zaopiekowane”. Anna Wojciechowska (KO): „Na pewno zrobimy wszystko, aby nasz region był bardziej zaopiekowany, również jeśli chodzi o ochronę środowiska”. Maja Ewa Nowak (Polska 2050): „Mecenas Monika Horna-Cieślak według nas daje gwarancję tego, że prawa dziecka zostaną przywrócone, zaopiekowane i zadbane”. Władysław Bartoszewski (PSL): „5 mln uchodźców przeszło przez naszą granicę i zostało zaopiekowanych”. Maciej Koniczny (Lewica): „Żebyśmy mogli liczyć na to, że będziemy zaopiekowani w najtrudniejszych momentach naszego życia”.

„Dowozić”. Kolejny nalot z kolokwialnej angielszczyzny (a dokładnie amerykańszczyzny), a do tego jeszcze z korpomowy. „Dowozić” to tłumaczenie słowa *deliver*, które weszło do narzecza korpuldków jako skrócona forma idiomu *deliver on a promise*, czyli dotrzymać obietnicy. Ponieważ *deliver* w formie podstawowej, bez związku frazeologicznego, oznacza dostarczanie – np. towarów – ktoś wymyślił, że będzie bardzo zreczenie przetłumaczyć to na „dowożenie”. Osobą, która zanieczyszczyła język polski tym potworkiem, jest – tu wskazuję palcem oskarżającym – Robert Biedroń, który bez przerwy mówił o tym, że rząd PiS „nie

Nie wolno więc popełniać samobójstwa na terenie kraju, w którym prowadzone są działania wojenne. Za samobójstwo związane z popełnieniem przestępstwa również kasa się nie należy. Tak jak w przypadku śmierci w wyniku prowadzenia pojazdu po pijaku lub dragach. Ani złotówki od ubezpieczyciela nie dostanie oczywiście rodzina samobójcy, który wysadził się w ataku terrorystycznym. Samobójcza śmierć w wyniku zatrucia po spożyciu alkoholu, użyciu narkotyków lub innych środków odurzających też spowoduje niewypłacenie odszkodowania. Oczywiście jak w każdej polisie jest i to, że zatajenie przez późniejszego samobójcę informacji istotnych z punktu widzenia ubezpieczyciela powoduje niepłacenie. A teraz perełka: po odszkodowanie nie mają się co zgłaszać rodziny samobójców, którzy zeszli wskutek „zatrucia spowodowanego spożyciem środków farmakologicznych”. Widać, że firmy ubezpieczeniowe zamiast samobójców lykających prochy preferują ludzi rzucających się z mostów lub budynków, trujących się kuchenkami gazowymi czy po prostu wieszających się u powały.

Najwięcej z nas ma najzwyklejsze ubezpieczenie na życie. Ono nie dość, że jest tańsze, to dziwnych wykluczeń nie ma. I jeśli mamy raka, który powoduje taki ból, że nie uśmierza go już morfina w połączaniu z bardziej wymyślnymi preparatami przeciwbólowymi, a nowotwór nie rośnie tak, by szybko skrócić cierpienie, to nic nie stoi na przeszkodzie, żeby połączyć skuteczne z pożytecznym.

Co roku ponad 5 tys. Polaków rozstaje się z tym łez padolem z własnej woli. Zdawałoby się, że sporą część tego towarzystwa stanowią ludzie przymszczeni od tego kroku terminalnym bólem. Nic z tego. Statystyki przyczyn od lat są niezmiennie. Za 95 proc. skutecznych porывów na własne życie odpowiada miks następujących powodów: choroby bądź zaburzenia psychiczne, nieporozumienia lub przemoc w rodzinie, zawód miłosny i oczywiście długi czy kłapa ekonomiczna.

Gdy się weźmie pod uwagę, że ból niemożliwy do ogarnięcia przez medycynę towarzyszy zgonom ok. 15 tys. chorych rocznie, to coś jest nie tak. Chyba że jesteśmy jako społeczeństwo na tyle głupi, by uwierzyć, że cierpienie uszlachetnia.

Samobój ze wsparciem

W kilku krajach, których obywatele tego stanowiska nie dzielą, zalegalizowano prawo do dobrowolnej godnej śmierci. W odróżnieniu od samobójstwa w przypadku eutanazji aktywną rolę w działaniu prowadzącym do śmierci odgrywa druga osoba. To ona odbiera komuś życie na jego wyraźną prośbę.

dowodzi” środków europejskich. Za nim poszli inni politycy lewicy, jak Włodzimierz Czarzasty, który ogłosił w kampanii, że „Lewica zawsze dowodzi”, czy Adrian Zandberg, który sądzi, że „młodzi wyborcy chcą silnego państwa, które dowodzi usługi publicznej”. Miałam też niejasne wrażenie, że Szymon Hołownia gdzieś kiedyś wspominał o tym, co dowiedzie pożyteczna, ale teraz nie mogę znaleźć takiego cytatu, więc może go obrażam. Jeśli tak, to najserdeczniej przepraszam.

„Na stole”. „Na stole” mogą być propozycje programowe, kandydaci na ministrów, pieniądze, przyszłość ojczyzny, cokolwiek politycy zechcą tam położyć. To wyrażenie stanowi oczywiście kolejną kalkę z angielskiego – tym razem brytyjskiego, *on the table* – i generalnie nawiązuje do renesansowych gier karcianych, przeważnie hazardowych. W polskiej tradycji na stole stała drewniana micha, z której wszyscy jedli jedną łyżką, więc myślę sobie, że byłoby nie od rzeczy poszukać innego frazeologizmu, który wykazywałby gotowość do wyrafinowanych negocjacji.

„Mamy to!”. *We’ve got it!* – kolejny korpuldkowy okrzyk, tym razem wyrażający entuzjazm. „Mamy to” oznacza z grubsza tyle, że więcej nie musimy się wysilać, bo efekt, który uzyskaliśmy, jest dostatecznie dobry, sygnalizuje zakończenie prac nad jednym z zadań. W swojej pierwszej rządową środę Donald Tusk ogłosił: „Na 90 proc. uda się ten proces przyspieszyć na tyle, że w piątek będę mógł powiedzieć »mamy to!«”. Serio? A nie mógłby pan premier powiedzieć: „osiągnęliśmy sukces”? Albo „udało się”? Albo „jest git”, co byłoby równie potoczne, ale swojskie?

AWL

OKNO ŚMIERCI



Rys. TOMASZ WIATER

Wszystkie teistyczne religie przekonują, że życie jest darem od Boga i tylko on może nim dysponować. To dlatego eutanazji zakazują Watykan i Iran. Ale Związek Radziecki również nie pozwalał, by zwykły człowiek samodzielnie decydował o swoim życiu. Porobiło się więc tak, że swoim życiem może rozporządzać nie sam człowiek, lecz albo Bóg, albo państwo. U nas zaś – oba byty naraz.

Dlaczego Kościół – wi zależy, żeby ludzie cierpieli, i to jak najdłużej? Choćby dlatego, że większość hospicjów należy do Kościoła. A w tych, które są publiczne, znaczną część personelu stanowią osoby duchowne. Za prywatne hospicja – jak za zboże – płacą rodziny umierających. W publicznych pensje księżom i zakonnikom płaci państwo. Im więcej więc będzie w nich chorych i im dłużej będą tam leżeli, tym lepiej dla finansów Kościoła.

I dlatego, a nie z powodu doktryny o życiu do naturalnej śmierci, biskupi nie odpuszczają.

Tak jak i lekarze czy pielęgniarki. Dla nich umierający długo i nieszczęśliwie pacjent to worek złota. Natomiast eutanazja jest jednorazowa i prosta, więc nawet gdyby była legalna i masowa, to zyski z niej nie zrekomensują utraty szmalcu z pacjenta wielomiesięcznie terminalnego.

W 2021 r. pisowskie Centrum Badań Opinii Społecznej (CBOS) zapytało Polaków o podjęcie do eutanazji: 41 proc. było przeciw, natomiast

34 proc. – za. Co ciekawe, zarówno wcześniejsze badania CBOS, jak i innych instytucji pokazywały, że za rozstawianiem się z życiem na własną prośbę z pomocą lekarza jest co najmniej połowa z nas.

Za eutanazją – ale prywatnie – są i byli w większości urzędnicy Ministerstwa Zdrowia i wierzuszka NFZ. Niekoniecznie jednak ze względu na chęć ulżenia cierpiącym. Menedżerowie od systemu zdrowia wychodzą z założenia, że dzięki wspomaganemu medycznie schodzeniu w systemie zostanie więcej kasy, którą można spożytkować na ratowanie życia tam, gdzie jest nadzieja.

Kanada, która wprowadziła eutanazję dawno temu, oprócz tego, że ulżyła cierpiącym, liczy też wymierne zyski. Te wyrażające się w zaoszczędzonych ludziom i państwu setkach milionów dolarów. Co 20. schodzący z tego świata Kanadyjczyk robi to dziś, korzystając z eutanazji.

Zrób to, Tusku

Przez większość systemów prawnych eutanazja nie jest uznawana za samobójstwo i podlega karze. W Polsce jest nielegalna i kwalifikowana jako zabójstwo na żądanie. Zakazane jest zabójstwo człowieka na jego żądanie i pod wpływem współczucia. Grozi za to kara pozbawienia wolności od trzech miesięcy do pięciu lat.

Maksymalnie piątka dla zabójcy? Jeśli komuś wydaje się, że jak na polski kodeks karny to trochę mało, to ma rację. Kara za zabójstwo eutanatyczne to u nas wyjątek. Niezmieniony nawet przez przykościelnego Ziobrę i PiS. Stanowi bowiem uprzywilejowany typ zabójstwa ze względu na szczególną motywację sprawcy. Wszak działa on z pobudek altruistycznych: współczuje swojej ofierze i chce skrócić jej cierpienie. Ponadto dokonuje tego na wyraźne żądanie ofiary.

Okazuje się też, że za pomoc w zejściu kogoś chorego można wcale nie iść do pudła. Przepisy stanowią, że w wyjątkowych przypadkach sąd może zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary lub nawet odstąpić od jej wymierzenia. Kodeks nie precyzuje nawet, na czym miałyby polegać ten wyjątkowy przypadek, zostawiając pełną dowolność sądowni. A sąd może wziąć pod uwagę na przykład stopień związania emocjonalnego sprawcy z ofiarą czy też szczególną intensywność żądania i współczucia związaną z ogromnym cierpieniem ofiary i puścić oskarżonego wolno.

Wygląda na to, że polskie przepisy są już bardzo blisko ucywilizowania cierpienia, tak jak to jest w Beneluksie, Hiszpanii, Portugalii, Kolumbii, Japonii i Szwajcarii. Wystarczy, by nowa większość sejmowa mająca gębę pełną praw człowieka poszła pół kroku dalej. I po prostu pozwoliła ludziom niepotrzebnie nie cierpieć. No i nie bać się firm ubezpieczeniowych, bo eutanazja nie mogłaby być traktowana przez nie inaczej niż jakakolwiek inna procedura medyczna.

TADEUSZ JASIŃSKI



Rys. TOMASZ WIATER

Nikt nie zauważył, że w grudniu tego roku stuknęło naszej Giełdzie Papierów Wartościowych 30 lat*. Ha, przypomnijmy, jak to było.

W czasach, kiedy zło obracano w dobro, zaczęło się od czynności magicznej, symbolicznej i świętej. Była to zarazem profanacja i splugawienie. Były tzw. Dom Partii, siedzibę Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, gdzie ongiś był mózg systemu, który za cel stawiał złamanie przemocy pieniądza, zasiedlono Centrum Bankowo-Finansowym wraz z biurami Giełdy Papierów Wartościowych. Kwintesencją kapitalizmu i nieróbstwa, która udowadnia zawsze i wszędzie, że pieniądź jest miarą wszechrzeczy. To trochę tak, jakby w budynku po kościele otworzyć burdel.

W gruncie rzeczy inicjator tego przedsięwzięcia i pierwszy prezes Wiesław Rozłucki nie mógłby przekonać postkomunistycznej władzy do potrzeby powołania tej instytucji, gdyby nie argument, jakim było okazanie pogardy minionym 45 latom PRL-u. Na pytanie, do czego to ma służyć, mógł odpowiedzieć, że jest to potrzebne, no bo wszędzie kapitaliści coś takiego mają. Kwintesencja polskich przemian ustrojowych.

Kapitalistyczny eden w pustce

Od tamtego czasu wiele się zmieniło. Giełda przeniosła się do nowego budynku obok Domu Partii przy ul. Książęcej na warszawskim Solcu. Mauzoleum pieniądza wybudowano z piaskowca, hartowanego szkła i niklowanych rurek. Nie ma tam prezesa Rozłuckiego ani maturzystów w czerwonych szelkach i białych koszulach, którzy udawali maklerów. Nikogo tam zasadniczo teraz nie ma poza dozorcą i dyrektorami oraz dwoma ciągami schodów ruchomych (pozostającymi na ogół nieruchomymi) prowadzącymi donikąd. Schody są tak naprawdę po to, aby coś wypełniało pustkę przestronnego foyer (w handlowej nomenklaturze „hall główny”) budynku zaprojektowanego przez Stanisława Fiszera, architekta pracującego ongiś u ministra prac publicznych Kambodży. Do tego są jeszcze cztery sale konferencyjne przeważnie niezagospodarowane. Każdy, wchodząc z ulicy, może je sobie wynająć, tyle że drogo.

Oraz jest tu, co najważniejsze, potężna jednostka obliczeniowa w szafie komputerowej typu Rack. Odbывают się na niej doniosłe operacje wymiany wirtualnego bogactwa między jednymi kontami mailowymi biur maklerskich a innymi mailami.

Nie musi być to prawda. Być może odbywają się one zupełnie gdzie indziej. Co tu dużo mówić: główny komputer giełdowy nie wygląda, jakby spełniał logiczne standardy bezpieczeństwa. Wystarczyłoby, żeby sprzątaczką wylała na niego wiadro z pomyjami i pssss! Mikroprocesory się zagotują i utopia. Więc może stoi tu dla ozdoby, a obliczenia wykonuje maszyna ukryta w jakimś bunkrze banku na Islandii, gdzie podobno, jak nigdzie na świecie, finansami zajmują się przyzwyczajeni ludzie. Byłoby to rozsądniejsze i bardziej uzasadnione. Z dawnej odpartyjnej giełdy pozostał jedynie dzwoneczek, którym ongiś wydzwaniano początek i koniec sesji.

Intelektualna historia polskiej Wall Street

Początki kapitalizmu giełdowego w Polsce były modelowym procesem prywatyzacji państwowego majątku, który odbywał się mniej więcej tak: w budynku Ministerstwa Przekształceń Własnościowych (obecnie nie istnieje) wynajmowały biura zachodnie firmy konsultingowe (piętro niżej), a w nich siedzieli absolwenci trzeciorzędnych college'ów, których nikt nie chciał w ich ojczyznach zatrudnić. Z braku laku i innych chętnych wysłani byli do Polski, gdzie płacono im tak jak na Zachodzie. Owi doradcy nauczali polskiego ministra, ile są warte polskie przedsiębiorstwa. To zresztą było łatwe. Wystarczyło przejrzeć ostatni bilans. Następnie przedsiębiorstwa transformowano w spółki akcyjne. Akcje były sprzedawane wśród tak zwanych subskrybentów lub trafiały na giełdę przez biura maklerskie.

Z garnituru zapyziałych PRL-owskich zakładów wybierano przedsiębiorstwa najbardziej dochodowe. Perły socjalistycznej ekonomii. W pierwszym okresie działania Giełdy Papierów Wartościowych był to Tonsil z Wrześni, producent kolumn głośnikowych sprzedawanych na świecie po zawrotnych niekiedy cenach, Zakłady Przemysłu Odzieżowego im. dr. Adama Próchnika z Łodzi, sprzedające garnitury i kapoty w najdroższych butikach Paryża i Londynu z metkami Giorgio Armani, Yves Saint Laurent i Hugo Boss, Krośnieńskie Huty Szkła, handlujące kryształami od Japonii po Chicago, Przedsiębiorstwo Eksportu Budownictwa i Usług Technicznych Exbud w Kielcach, które pod wodzą Witolda Zarazki budowało autostrady i cukrownie od Arabii Saudyjskiej po Kijów, oraz Śląska Fabryka Kabli, w których to kablach nadal płynie prąd w liniach przesyłowych wysokiego i średniego napięcia polskiego systemu energetycznego.

Od tych pięciu wszystko się zaczęło. Kto kupił wówczas akcje, stawał się krezusem. W ciągu roku, dwóch stopień zwrotu z tak zwanych inwestycji wynosił tysiące procent. Oczywiście nie działała

Szulernia na Hydra polskiego kapitalizmu.



tu magiczna ręka wolnego rynku. Ów kosmiczny wzrost wartości akcji spowodowany był podskórnymi zakupami zachodnich funduszy inwestycyjnych, jak również pompowaniem w giełdę pieniędzy polskiego podatnika w celach czysto reklamowych. Gdyby bez owych inwestycji GPW miała rozwijać się w sposób – jak się obecnie lubi mówić – organiczny, zapewne by padła.

Pieniądże wydawane z pozoru bez sensu wwarły w społeczeństwie wrażenie, że na giełdzie można zarobić łatwo, szybko i dużo. Magia tych opowieści spowodowała, że setki tysięcy ciułaczy likwidowało lokaty bankowe i zakładało konta w domach maklerskich, powierzając im oszczędności całego życia. Skończyło się to tak:

Żadna z tych spółek motorów komunistycznej gospodarki i kapitalistycznej transformacji nie jest na giełdzie. Cztery zbankrutowały. Ludzie stracili oszczędności.

Exbud wykupiony został przez Szwedów. Ówczesny prezes Skanska AB Claes Björck, podejmując decyzję o wycofaniu z polskiej giełdy akcji Exbudu, miał powiedzieć: „Z nieuczciwymi nigdy nie zasidaj do stołu”.

Spadające gwiazdy

W końcu lat 90. Laboratorium Frakcjonowania Osocza SA miało wybudować w Mielcu fabrykę osocza krwi, aby uniezależnić Polskę od zagranicznych dostaw insuliny dla diabetyków. W radzie nadzorczej zasiadało iluś tam generałów, jeden admirał, zastęp profesorów i tak dalej. Spółka sprzedawała po 100 zł akcje, których wartość w końcu ustabilizowała się na poziomie 4 gr. Media poru-

który zresztą – co symboliczne – w końcu też został zburzony. Kto miał głowę na karku i uchola w Ministerstwie Przekształceń Własnościowych, kupował akcje Uniwersalu po 1,05 zł, aby w ciągu dwóch lat zarobić 6200 proc. Wzrost cen akcji był nieuzasadniony. W sytuacji, kiedy uwolniono handel zagraniczny i mógł się nim zajmować każdy bez pośrednika centrali handlu, interesy Uniwersalu szły coraz gorzej. Kluczowych pracowników oraz ich kontakty wysłały zagraniczne firmy. Uniwersal ratował pozycję dziwnymi pożyczkami, podejrzanymi transakcjami na nieruchomościach, a przede wszystkim fałszem i kłamstwem, nie informując o swoich poczynaniach akcjonariuszy. Nałożono na firmę szereg kar. W końcu ówczesna Komisja Papierów Wartościowych i Giełd bezterminowo zawiesiła obrót akcjami Uniwersalu. Nikt nie poniósł za to odpowiedzialności z wyjątkiem inwestorów, którzy zostali z bezwartościowymi śmieciami. Nie mogli nawet się podetrzeć. Akcje już wtedy miały charakter wirtualny. Spółka w końcu zbankrutowała.

Są zapewne tacy, co pamiętają, a nawet tacy, co myślą, że nadal istnieje, Petrolinvest SA, przedsiębiorstwo przemysłu paliwowego z Gdyni, wymyślone przez tak zwanego – swego czasu – miliardera Ryszarda Krauzego. Ów dorobił się na emerytach i rencistach, sprzedając Zakładowi Ubezpieczeń Społecznych system informatyczny za setki milionów złotych. Następnie, kierując się swoją niezawodną intuicją biznesową oraz radami jasnowidzów (myślę o tym najważniejszym w Polsce, z Człuchowa), pieniądze zainwestował w poszukiwania ropy w Kazachstanie z pewnością, że ją znajdzie. Na pokrycie kosztów prac poszukiwawczych Petrolinvest SA wypuścił akcje, które po debiucie chodziły po 842 zł. Jak na złość ropa w Kazachstanie nie chciała się dać znaleźć. Krauze jednak uparcie szukał, zapożyczając się w bankach. Sprzedał nawet własny odrzutowiec. Troszeczkę oszukiwał akcjonariuszy, za co Komisja Nadzoru Finansowego nałożyła na niego karę 400 tys. zł. Czy zapłacił, to już inna sprawa. W każdym razie ropy nie znaleziono. Akcjonariusze pozostali z akcjami wykluczonymi z giełdy, których wartość na ostatnim notowaniu wynosiła 1,94 zł. Spółka zbankrutowała. Tym razem, obiektywnie rzecz biorąc, życie było nieco sprawiedliwsze w pojęciu filozofii biznesu. Krauze nie dla siebie nie ukradł. Po prostu się pomylił. Stracili nie tylko amatorzy łatwego zysku. W Gdańsku chodzą legendy o żonie Krauzego, która chciała sprzedać ogrodowy grill, bo nie miała na rachunek za prąd i wodę.

Niezbyt dobrze wyszli też ci, którzy kupowali akcje Mostostalu Export. Firmy, która jak nazwa wskazuje, w mrocznych czasach komunizmu budowała mosty ze stali. Potem, kiedy już nie były potrzebne, stawała centra biznesowe i handlowe. Różnie jej to wychodziło. Miało się akcjonariuszom poprawić w wy-

Szklane domy

Przesłanie do młodych: zamiast złotych odkładajcie butelki!

Wypełniony połyskującymi kolorami, świeci nawet w jesiennym słońcu. Przyciąga i załamuje światło, które przechodząc przez jego butelkowe ściany niczym przez pryzmat, staje się powabną tęczą. Ten prawdziwy, realny szklany dom wymarzony przez Cezarego Barykę, bohatera powieści „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego, znajdziecie w Azerbejdżanie. Ale nie w Baku, lecz w przesławnym mieście Gandza. Mateczniku czterech wyższych uczelni, oazie poetów i artystów wszelkiej maści. Nic dziwnego, że w tej magicznej Gandzy powstał dom zbudowany z butelek. Piękny, użyteczny i będący turystyczną atrakcją.

Z kronikarskiego obowiązku trzeba przypomnieć, że gandżyjski butelkowy szklany dom nie jest pierwszym takim obiektem na świecie. Pierwszy dom ze szklanych butelek zbudował w USA William Peck w 1902 r. Budynek został jednak zburzony w 1980 r., bo padł ofiarą popularnej też w USA patodeveloperki. A mógł być używany nadal. Podobny dom z butelek powstał w ukraińskim Zaporozżu. Do jego budowy zużyto 8 tys. butelek. Powstawał stopniowo dzięki mozolnemu trudowi wykonawczemu Władymira Sysy oraz konsumpcji jego rodziny i przyjaciół.

Do dziś już wiemy, że dom zbudowany z butelek jest nie tylko tani, ale także wygodny w utrzymaniu. Sprzyja zdrowiu fizycznemu i pogodzie ducha. Ponieważ użyte do budowy butelki są puste, mają dobre właściwości termoizolacyjne. Ściana z jednej warstwy butelek jest tak ciepła jak ściana o grubości trzech tradycyjnych cegieł. Ściany z butelek są też wytrzymałe, ich gładka powierzchnia łatwa jest do utrzymania w czystości. Ale co najważniejsze, takie ściany przepuszczają łatwo światło słoneczne. Daje to naturalne oświetlenie i ogrzewanie pomieszczenia.

Solecu

niku „przekształcenia spółki w międzynarodowy holding działający w sektorze poszukiwawczo-wydobywczym” – pisano w prospekcie emisyjnym którejś tam serii akcji. Mostostal zmienił nazwę na MSX Resources. Pozyskał strategicznego partnera, szwajcarski fundusz Tarantoga Capital, który uważał, że ma koncesje na wydobycie miedzi i złota w Mongolii, gdyby oczywiście te metale pod piaskami pustyni Gobi się znajdowały. Informacja ta wywindowała akcje spółki z kilku na 300 zł. Kto kupił przed podaniem tej informacji, a sprzedał, kiedy stała się jawna, zarobił zapewne tyle samo, jak gdyby owa miedź w Mongolii była. Okazało się jednak, że nie ma żadnego złota, nie ma żadnej miedzi. Mostostal został oszukany przez strategicznego partnera, który nie miał żadnych praw do złóż w Mongolii. Przypuszcza się, że owa polska naiwność nie do końca wynikała z głupoty. „Pomimo naszej ciężkiej pracy oszustwo Tarantogi doprowadziło nas do sytuacji, w której jesteśmy zmuszeni ogłosić upadłość!” – poinformował przewodniczący rady nadzorczej Tomasz Pańczyk. Akcje osiągnęły stabilną wartość 13 gr za sztukę.

Bilans trzydziestolecia

Takich historyjek można by napisać zapewne kilkaset. Te bardziej znane to Boruty Zachem, Polisa, Europejski Fundusz Energii, Devoran, Eficom Sinersio, PC Guard, Rafako, a ostatnio – GetBack. Może mi ktoś zarzucić tendencyjność. Nie święci garnki lepią. Na GPW wszak obecnie notowanych jest ponad 420 spółek (w szczytowym okresie było ich 487) i czarna owca znaleźć się

musi. Tyle że w tym trzydziestoleciu opuściło giełdę 260 spółek.

Rzadko się zdarzało, że wycofanie akcji z obrotu lub ich zawieszenie nie wiązało się z jakimś skandalikiem i stratami rzeczywistych pieniędzy przez tak zwanych inwestorów.

W trzy dekady Komisja Nadzoru Finansowego lub jej poprzedniczka Komisja Papierów Wartościowych i Giełd nałożyły na podmioty związane z obrotem giełdowym (zarządy spółek notowanych na giełdzie, biura maklerskie, tudzież innych uczestników rynku) 697 kar. W uzasadnieniach czytamy: „niedotrzymanie obowiązków informacyjnych”, „niezawiadomienie w ustawowym terminie”, „trzydziestojednokrotne naruszenie obowiązków informacyjnych”, „świadczanie usług maklerskich bez uwzględnienia najlepiej pojętego interesu klienta”, „oszustwa”, „czynny mające znamiona zabronionych w rozumieniu kodeksu karnego”.

Udający prezesów

Oczywiście musimy sobie zadać fundamentalne pytanie, czy te zarzuty są coś warte w sytuacji, gdy jeden z przewodniczących KNF nie komentował zarzutów, jakoby pozostawał w konflikcie interesów, mając akcje, których mieć nie powinien. Jego następca został zatrzymany pod zarzutem przestępstw urzędniczych polegających na niedopełnieniu obowiązków na szkodę funduszu. Tegoż następca (trzeci z kolei przewodniczący KNF) przekroczył uprawnienia funkcjonariusza publicznego celem osiągnięcia korzyści osobistej przez inną osobę. Jeśli o ostatniego chodzi, to „Gazeta Wyborcza” zapytuje: „Kiedy się zacznie proces Marka Cha?”. Cha, cha, cha, cha! „Nigdy” – odpowiadamy.

Prawda może być również taka, że ktoś jednak doniósł na poprzedniego prezesa GPW, jakoby ten lubbo-

potrafił udźwignąć intelektualnie problemu zwrotu szklanych butelek. Teraz nie trzeba będzie się już prosić w sklepach, aby je przyjęli, bo każda opróżniona lub znaleziona butelkę będziemy oddawać młodym, budując tak ich szczęście. Od teraz każda butelka będzie opróżniana w szczytnym celu. Wreszcie picie odzyska narodowy sens. Poza tym pijąc i zachęcając do picia, odciążymy obywateli, zwłaszcza młodych, od zgubnych nałogów narkotykowych. Bo każda wypita butelka to cegiełka nowego domu. A każda wciągnięta do nosa kreska od takiego domu oddala.

Warto przypomnieć, że każda butelka napoju, alkoholowego i beزالkoholowego, to także akcyzowa i podatkowa danina do budżetu państwa. Każdy wypity browar to obywatelska składka na Rządowy Program Bezpieczny Kredyt 2 proc., który zamiast upowszechnić dostęp młodym do mieszkań, spo-



wał wśród udziałowców giełdy w sprawie sponsoringu filmu, w którym zagrać miała jego kochanka. No i aresztowanie jego następcy w związku z zarzutami o manipulację przy sprzedaży akcji pewnego potentata chemicznego nie mogło się przecież dziać bez wiedzy i zgody przewodniczących Komisji Nadzoru Finansowego. Zawiść i zemsta mogły odgrywać tu jakąś rolę.

Korzenie zła

Czy to ogromne pieniądze łamią charaktery, czy może ludzie, którzy się bawią w giełdę, urodzili się już zdemoralizowani i tak pozostało? Ani jedno, ani drugie. Giełda Papierów Wartościowych w Polsce to fałsz od zarania. Tak naprawdę ta instytucja powinna dostarczać pieniądze przedsiębiorstwom na rzeczywiście potrzebne inwestycje; pieniądze pochodzących od tych, którzy mają ich w nadmiarze, a w zamian oczekują godziwego zysku zwanego dywidendą. W Polsce to nie działało. Już na początku aukcjonowano przedsiębiorstwa, które kapitału w ogóle nie potrzebowały. Wbrew rozsądkowi. W imię ideologii.

Zyski na giełdzie, które zasadniczo powinny brać się ze wzrostu gospodarki, tak naprawdę pochodzą z portfeli drobnych ciulaczy, którzy nie uzyskują w bankach uczciwego wynagrodzenia za posiadanie lokat. Na giełdzie nie ma inwestycji. Pieniądże tam pozostawiane zwiększają pulę nagród w grze, kto kogo oszuka. Gra ma sumę zerową. Ktoś musi stracić, aby inny mógł zyskać.

Postawisz na zielone, wygrałeś, jak jest zielone. Gdy jest czerwone, no to poległeś. Te wszystkie almanachy: „Jak inwestować na giełdzie?”, „Giełda dla bardzo początkujących”, „Giełda. Podstawy inwestowania”, „Jak zarabiać na giełdzie?”, „Giełdy można się nauczyć”, „Bezpieczne inwestowanie” itp. są tyle warte, ile instrukcja wygrywania w ruletkę. Zwykły człowiek nie ma szans. Kupowanie akcji dla dywidendy, aby zabezpieczyć się na starość, jest jak rzut monetą. Wygrywasz, kiedy moneta stanie na rancie. Żaden indywidualny inwestor, jak to się – nieprawdopodobnie – mówi, nie ma możliwości pokonania rynku ani profesjonalnych macherów z banków i biur.

Ze społecznego, moralnego i historycznego punktu widzenia należałoby tę instytucję zlikwidować. Istniejące mechanizmy finansowe w sposób uczciwszy, przejrzystszy i rozsądny zastąpiłyby giełdopapierowartościowe knowania.

Nie jest dlatego dziwne, że nawet dobrze wykształceni finansisiści z silnym zawodowym kodem etycznego postępowania zatracają instynkt w tym kołowrocie kłamstwa i prawdy. Właściwą ocenę w sprawie tego, co jest słuszne, a co nie. Rozpoznawania, co jest tylko użytecznym i potrzebnym kłamstwem, a co szkodliwym i kryminalną prawdą. Trudno się w tym nie zapodziać.

ROBERT JARUGA

* Nie jest prawdą, że giełda w grudniu tego roku kończy 30 lat. Jakby chcieć to policzyć, to wychodzi, że jakieś 32 lata. Nie było tak naprawdę żadnej okrągłej rocznicy, która upoważniałaby do publikacji tego tekstu teraz. Wymyśliłem sobie to 30-lecie. Tym kłamstwem i prawdami po nim następującymi chciałem ochronić zwykłych ludzi, którzy jak mi dochodzi do uszu, pakują pieniądze w walizki, aby powierzyć je giełdowym rekinom. Zawsze nienażartym.

Jeżeli nie macie czasu, rzućcie nesesy do przepływającej opodal Wisły. Społeczny pożytek będzie taki, że umocniecie złotówkę. Albo banknoty rozdajcie przypadkowym przechodniom na pobliskim placu Trzech Krzyży. Poznacie wtedy radość dawania, widząc zaskoczone szczęśliwe twarze beneficjentów niespodziewanej nagrody. Pamiętajcie jednak o podatku od darowizny. Urzędnicy skarbowi niewiele się różnią od tych z Książęcej. Jedni i drudzy są równie bezduszni, beznamiętni i okrutni.

Butelki można łączyć z cegłami, układając je w szachownicę lub jedną na drugiej. Jeśli wybierzemy różne odcienie szkła, to uzyskamy wielokolorowe paski, geometryczne kształty i przeróżne wzory. Możemy odzwierciedlić tymi butelkami całą głębię naszej duszy, naszego jestestwa.

Do wybranej butelki możemy też włożyć list. Nasze przesłanie do potomnych. Możemy też nałapać aktualnego powietrza i przechować je tam na przyszłe wieki.

Nie chce mi się już wymieniać obietnic, jakie w ciągu tego wieku polscy politycy składali swoim młodym wyborcom spagnionym własnego mieszkanią, domu, czterech kątów. Obiecywano im domy na własność i na wynajem. Kanadyjskie, skandynawskie, z Hongkongu. Z pustaków, drewna i z narodowej gliny. Mieszkań dla młodych brakuje nadal, a przecież rozwiązanie leży w zasięgu ręki. Niechże powstanie Narodowy Program Budowy Szklanych Domów imienia Cezarego Baryki! Niechaj każdy młody człowiek, sam lub zrzeszony we wspólnotę albo spółdzielnię, dostanie od nowego rządu szansę budowy swego szklanego domu! Niech zacznie już teraz, zwłaszcza w okresie poświęconym, gromadzić materiał budowlany na swoje rodzinne gniazdo.

Butelek jest ci u nas pod dostatkiem. Zwłaszcza że rządzący przez ostatnie osiem lat PiS budował Polskę dumną i imperialną, ale nie

potrafił udźwignąć intelektualnie problemu zwrotu szklanych butelek. Teraz nie trzeba będzie się już prosić w sklepach, aby je przyjęli, bo każda opróżniona lub znaleziona butelkę będziemy oddawać młodym, budując tak ich szczęście. Od teraz każda butelka będzie opróżniana w szczytnym celu. Wreszcie picie odzyska narodowy sens. Poza tym pijąc i zachęcając do picia, odciążymy obywateli, zwłaszcza młodych, od zgubnych nałogów narkotykowych. Bo każda wypita butelka to cegiełka nowego domu. A każda wciągnięta do nosa kreska od takiego domu oddala.

Warto przypomnieć, że każda butelka napoju, alkoholowego i beزالkoholowego, to także akcyzowa i podatkowa danina do budżetu państwa. Każdy wypity browar to obywatelska składka na Rządowy Program Bezpieczny Kredyt 2 proc., który zamiast upowszechnić dostęp młodym do mieszkań, spo-



wodował jedynie wzrost ich cen oraz wzrost zysków banków i deweloperów.

Postawmy zatem na program szklanych domów. Wykorzystajmy do ich budowy każdą butelkę. Nawet popularne małpki, z których przecież można zrobić domki dla ptaków.

Przedsiębiorca z Jasła Grzegorz Schabiński już wybudował na terenie swojego ośrodka w Krzemiennej nad Sanem domek wypoczynkowy ze szklanych butelek z odzysku. Prosty, elegancki, w pełni funkcjonalny. Na pamiątkę, że okoliczni mieszkańcy realnie przyczynili się do ponownego wykorzystania opróżnionych butelek i wspólnie coś stworzyli, każdą przekazaną butelkę można było podpisać lub wydrapać na jej dnie ważne dla darczyńcy słowa. Domek nad Sanem ma wymiary jedynie 4 × 5 m, czyli powierzchnię 20 mkw. Służy wędkarzom, którzy odwiedzają ośrodek. Ale mamy w polskiej tradycji wezwanie „rybka lubi pływać”, mamy zatem historyczną szansę, aby wspólnym trudem powstały wreszcie wymarzone osiedla szklanych domów.

Życzę Wam pogodnych, ale i pracowitych świąt.

Nie zmrągnijcie ani jednej butelki!

PIOTR GADZINOWSKI

Czarnek po chińsku

W Państwie Środka kobiety wracają do garów.

Pamiętacie, jakie reakcje wywoływała w Polsce chińska polityka jednego dziecka? Jeszcze w PRL obowiązującą opinią było, że jest to polityka niehumanitarna, okrutna, nieludzka i w ogóle należało się oburzać. Tymczasem – przy całej swojej bezwzględności i rzeczywiście niewielkim związku z zachodnim rozumieniem praw człowieka – była to polityka, która wybitnie przyczyniła się do równouprawnienia kobiet w Chińskiej Republice Ludowej. Teraz partia postanowiła, że dosyć tego dobrego.

Podtrzymać pół nieba

Chiński komunizm generalnie przyniósł wyraźny postęp w pozycji kobiet. W tamtejszej tradycji kobiety były uważane – niczym wśród incelów z Konfederacji – raczej za składnik inwentarza żywego niż za równoprawnych obywateli. Ich los zależał od ojca, później męża, a w razie jego śmierci – najstarszego syna. To do pewnego stopnia zmieniło się wraz z ustrojem.

W latach 50. Mao Zedong wygłosił słynne zdanie: „Kobiety mogą podtrzymać pół nieba”. Komuniści zdelegalizowali rozwiązania sprowadzające kobiety do roli towaru małżeńskiego, takie jak aranżowane małżeństwa czy wydawanie za mąż dziewczynek. Praca zawodowa kobiet stała się popieraną przez państwo normą. Co prawda kobiety w Chinach wciąż nie osiągnęły równości w rozumieniu zachodnim, jeśli chodzi o zarobki, wykształcenie czy udział w rynku pracy, ale problemy, z którymi się mierzyły, nie były aż tak różne od tych, na które napotyka równouprawnienie na Zachodzie. Według publikowanego co dwa lata raportu ONZ w 2014 r. – czyli w okresie, w którym Xi Jinping doszedł do władzy – wskaźnik nierówności płciowej GII wyniósł 0,191, co dało Chinom 40. pozycję na 155 analizowanych krajów (Polska z GII na poziomie 0,138 zajęła 28. miejsce).

Jednak to bardziej polityka jednego dziecka niż komunistyczna doktryna zmieniła na lepsze pozycję kobiet w chińskim społeczeństwie. Po wprowadzeniu ograniczeń w 1980 r. tradycyjna rola kobiet – która, mimo deklaracji partii, nadal sprowadzała się głównie do rozrodu, dbania o dzieci i teściów – ustąpiła koncepcji zgola feministycznej. Z braku dzieci kobiety zajęły się karierą zawodową, co spowodowało stałą zmianę mentalności. Dodatkowo tradycyjna mizoginia chińskiego społeczeństwa (które mając prawo do

jednego dziecka, z zasady wołało chłopca, co przyczyniło się do powszechnego usuwania żeńskich ploidów, a także, niestety, porzucania noworodków, jeśli okazały się dziewczynkami) wywołała paradoksalnie odwrotny efekt związany z prawem popytu i podaży. Dziś w Chinach kobiet jest o 32 mln mniej niż mężczyzn, co oznacza, że są – za przepraszaniem – w cenie. Mają na przykład większy wybór, jeśli chodzi o partnerów. Ale najciekawsze jest to, że wcale nie rwą się, by z niego korzystać.

Generacja unikająca narodzin

Mimo stopniowego luzowania polityki – w 2015 r. partia zezwoliła na drugie dziecko, w maju 2021 r. podbiła do trzeciego, a dwa miesiące później zniosła wszelkie ograniczenia – kobiety wcale nie mają ochoty wrócić na swoje miejsce. Dziś młode chińskie małżeństwo, jeśli ma do wyboru drugi samochód albo drugie dziecko, najczęściej wybiera samochód, a to i tak jest wersja z punktu widzenia demografii optymistyczna. Większość nie rwie się ani do małżeństwa, ani do zrobienia choćby jednaka. Jak wynika z analizy Centrum Badań nad Komunikacją i Zarządzaniem Państwem szanghajskiego Uniwersytetu Fudan, młodzi Chińczycy nie mają najbardziej wygórowanego zdania na temat małżeństwa i rozrodu jako takiego.

Olbrzymia metaanaliza objęła internetowe wypowiedzi 4,5 tys. osób urodzonych w latach 1990–2005. Badacze przestudiowali ponad 10 mln wpisów w latach 2009–2021 na różnego rodzaju blogach i portalach społecznościowych, w których młodzież wyrażała swój stosunek do życia i jego przejawów. Okazało się, że młodzi Chińczycy w swej masie owszem, chcą się zakochać, ale wcale nie uważają, że musi za tym iść zakładanie rodziny. Badacze nazywają ich generacją unikającą narodzin. Co więcej, za tym unikaniem nie stoją troski materialne, obawa związana z wysokim kosztem edukacji dzieci, tylko wartości, wśród których kluczowa staje się wolność osobista. „Reprodukcja nie jest ważnym celem w życiu”; „urodzenie dziecka pogłębia nierówności w ramach rodziny”; „wychowywanie dzieci negatywnie wpływa na samorealizację” – to najczęściej wymieniane przez młodych internautów powody bezdzietności. Chińska młodzież nie widzi w małżeństwie powszechnego doświadczenia życiowego, tylko indywidualny wybór. Naciski ze strony starszego pokolenia tylko utrwalają tę niechęć.

Wśród autorów przeanalizowanych wpisów badacze znaleźli zaledwie 7,6 proc. takich, którzy wyrazili pozytywny stosu-

nek do posiadania dzieci. 29,4 proc. wyraźnie pisało o tym, że dzieci mieć nie chce. Z drugim dzieckiem – to w chińskiej mentalności osobne zjawisko związane z obowiązującym przez dekady zakazem – jest jeszcze gorzej: chęć posiadania drugiego dziecka wyraziło zaledwie 0,4 proc. młodych chińskich „netizenów” (obywateli sieci), a niechęć – 40,4 proc.

Efekt tej postawy jest taki, że w 2022 r. populacja Chin zmniejszyła się o 850 tys., co przy 1,4 mld obywateli nie jest jakimś wielkim uszczerbkiem, ale ujemny przyrost naturalny ChRL zarejestrowała po raz pierwszy w swojej historii. Urodziło się zaledwie 9,56 mln dzieci, najmniej od 1949 r., kiedy zaczęto statystyki. Liczba zawieranych małżeństw także spadła do najniższego poziomu w historii.

Kobiety odpadowe

To naturalnie przekłada się na gospodarkę. Społeczeństwo się starzeje, liczba emerytów przypadających na jednego pracującego rośnie, na horyzoncie majaczy problem braku rąk do pracy. Xi Jinping przystąpił zatem do ofensywy, którą trudno określić inaczej niż patriarchalną.

Seksistowska państwowa propaganda określa niezamężne kobiety po 27. roku życia terminem *sheng nu* – kobiety odpadowe, czy kobiety resztki. Kontekst jest taki, że chodzi o baby, których żaden chłop nie chciał, ale w praktyce wszyscy wiedzą, że tak naprawdę mówimy o ambitnych profesjonalistkach, które same podjęły taką decyzję. Partia postanowiła zagnać je z powrotem do domów, żeby zajęły się reprodukcją.

Na niedawnym Narodowym Kongresie Kobiet – odbywającej się co pięć lat imprezie, na której partia prezentuje swoją politykę w kwestiach feministycznych – Xi ogłosił: „Powinniśmy aktywnie wspierać nowy rodzaj kultury małżeństwa i rodzenia dzieci”. Dodał też, że rolą urzędników partyjnych jest wpływanie na poglądy młodych ludzi na „miłość i małżeństwo, płodność i rodzinę”, i zobowiązał ich do „opowiadania dobrych historii o tradycjach rodzinnych i skierowania kobiet do odgrywania właściwej im specjalnej roli w kontynuowaniu tradycyjnych wartości narodu chińskiego”. W całym wystąpieniu ani razu nie pojawiła się wzmianka na temat pracy zawodowej kobiet i ich roli na rynku pracy. Zagnanie kobiet z powrotem do kuchni i sypialni to zdaniem lidera KPCh „chińska ścieżka modernizacji”. Zastępca Xi, Ding Xuexiang, w przemówieniu otwierającym kongres po raz pierwszy od 20 lat nie wygłosił standardowej formuły o równości płci jako fundamentalnej polityce partii. Po raz pierwszy od 1997 r. w 24-osobowym politbiurze nie ma ani jednej kobiety. Partia wprowadziła utrudnienia w rozwodach, zdławiła chiński ruch #MeToo, zamykając w pierdlu jego liderkę Huang Xueqin. Widoki chińskich kobiet stają się coraz mroczniejsze.

Nowa retoryka Xi Jinpinga na temat roli kobiet w społeczeństwie wyraźnie przypomina wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego czy Przemysława Czarnka. Na razie działania chińskiego reżimu – w odróżnieniu od pisowskiego – ograniczają się do propagandy, choć wielu zachodnich komentatorów nie wyklucza kroków praktyczniejszych, takich jak zakaz aborcji czy delegalizacja antykoncepcji. W tej sprawie jednak, póki co, pisowska Polska wyprzedza komunistyczne Chiny.

AWŁ

Ludowa historia polskich kobiet.

Zawsze wydawało mi się, że skoro uważałam na lekcjach biologii w podstawówce, to wiem, skąd biorą się dziewczyny. A jednak się myliłam. Pamiętam z filmów Barei i niepoprawnych dowcipasów Stanisława Tyma, że małe dziewczynki robi się tak samo jak małe deseczki – rżnąc duże. Ale jak się dowiedziałam z właśnie wydanej książki „Ludowa historia kobiet”, redagowanej przez Przemysława Wielgosza, sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana i pokazuje, że Polska Ludowa miała też jasne strony, emancypując rzesze młodych kobiet, z którymi wcześniej nikt się nie liczył.

„Filipinka” daje radę

Kiedy w Polsce na dobre skończył się stalinizm i przysłała gomułkowska odwilt, w 1957 r. powstało pismo „Filipinka”, które było ukłonem w stronę nowej, coraz wyraźniej wyodrębniającej się grupy społecznej, a mianowicie – dziewczyn.

Jak podkreśla Katarzyna Stańczak-Wiślicz w tekście „Skąd się wzięła dziewczyna?”, dziewczęcość czy też dziewczynskość to konstrukcja historyczna, owoc powojennych procesów modernizacyjnych. Wtedy pojawiła się „kultura młodości”, która już nie traktowała tego okresu życia tylko i wyłącznie jako przygotowania do pracy zawodowej i małżeństwa. Jak podkreśla ta autorka, „bardzo długo doświadczenie młodości, rozumianej jako korzystanie z osobnych rozwiązań i specyficzny styl życia, opisywano w odniesieniu do młodych mężczyzn. Dorastające kobiety pozostawały pod silniejszą niż rówieśnicy kontrolą rodzicielską, ich aktywność miała się koncentrować wokół sfery domowej”.

Co ciekawe, w Polsce międzywojennej „dziewczyna” była kategorią elitarną, wyraźnie naznaczoną klasowo. Względna swoboda, szansą na rozwinięcie zainteresowań (edukacyjnych czy sportowych) cieszyły się wyłącznie córki w rodzinach inteligenckich uczące się w szkołach średnich czy wyższych.

a że kto pyta, nie błądzi, powinnością samca pragnącego odróżnić „półkę” (tak, w środku jest zero – nie mylić z Ziobro) od Polki jest wysondowanie, czy aby pannica nie ogląda pornografii, chce płodzić potomstwo (uwaga, ważne, w jakiej liczbie!) i czy była kiedyś niewierna. Żeby się przypadkiem nie skończyło tak jak z jedną z żon Adama, występującą w tradycji (tfu!, żeby Polski Patriotą musiał takie rzeczy wiedzieć) żydowskiej – Lilith – która jak na feministyczną dziwkę przystało, chciała nad swoim chłopem dominować, w tym także w intymnych aktach erotycznych, co znowu miało zaburzyć naturalny porządek świata ustanowiony przez Boga. Ewa, ta szmata, też zaprzedała siebie i nas szatanowi, a taka była ho, ho cnotka niewydymka.

Kuś baba na dziada

Po kurtuazyjnej inwigilacji sekretnych zakamarków niewiasty warto przelecieć przez materiał medycznym okiem. SOK zwraca uwagę na trzy kwestie. Jakie jest jej zdrowie psychiczne i neurologiczne? Jak się zachowuje po pijanemu? I czy inaczej się zachowuje publicznie, a inaczej w domu.

Ziemiński przytacza w książce anegdotę o jednym ze swoich profesorów, mizoginie, który na wykładach „nie wstydził się publicznie mówić,

Adam szuka Ewy

Manosferyczny wytrysk patriarchy.

W kontrze do wszechobecnej atmosfery zbiorowej histerii oczekiwania narodzin wyimaginowanego zbawiciela, zamiast zeszkrobiwać brud z okien i dekorować zwłoki drzewa iglastego chińskimi lampkami, czytam książkę Artura Nowaka i Ireneusza Ziemińskiego „Chrześcijaństwo. Amoralna religia”, w której autorzy pysznie patroszą biblijne absurdy.

Karp po chrześcijańsku

Podczas lektury ze szczególną uwagą pochyliłam się nad rozdziałem o biblijnym wzorcu kobiety. Już nawet nie przez tę plemienną samiczą solidarność, ale przez взгляд na piekło współczesnych mężczyzn z rosnących w siłę ruchów RedPill i MGTOW (Men Going Their Own Way, pol.: Mężczyźni Idący Własną Drogą), którzy szukają tej jedynej w ciemnościach feministycznego szeolu. A wszystko to za sprawą Systemu Oceny Kobiet, internetowej biblii (sic!) przedstawicieli polskiego patriarchy, wedle której wskazówek wyznawcy manosfery, potomkowie Adama, szkoła się, jak szukać Ewy, żeby nie musieć wygrzać sobie łapy z potrzasku, gdy samica znowu nawali. Z dwóch bibli bez dwóch zdań musi wyjść przepis na idealną kobietę.

Jak słusznie zauważa w książce Ireneusz Ziemiński, „zgodnie wszak

z opisem stworzenia człowieka wedle Księgi Rodzaju, najpierw do istnienia został powołany mężczyzna, potem zwierzęta, które z woli Boga Adam miał poazywać. Nadanie imienia jednak to nie tylko wyraz panowania i władzy nad inną istotą, lecz wprost jej ponowne stworzenie”. Mogę więc spokojnie założyć, że kryteria przydatnej do koegzystowania współczesnej kobiety spisane w 29 punktach (z podpunktami) pełnią nie tylko rolę płonących obręczy w castingu na idealną żonę i matkę, ale – jeśli je odpowiednio zastosować – pozwolą uformować zbliżony ideałowiec. Trochę tak, jakby wyciągnąć karpia z mułu, przefiltrować i dojść do wniosku, że może nie jesiort, ale ryba.

Lilith to dziwka

Ziemiński podkreśla: „Tekst biblijny uczy, dosyć przewrotnie, że szatan skryty pod postacią węża zdał



sobie sprawę z tego, że mężczyzna nie ulegnie jego namowom. Jeśli zatem intryga miała być skuteczna, to musiała być wymierzona w kobietę. Przebiegłość szatana polega więc na tym, że zaatakował istotę – przynaj-

mniej zdaniem autorów Biblii – słabszą, niezdolną do posłuszeństwa i przestrzegania zasad moralnych”. Niestrudzonym bojownikiem o patriarchalny związek małżeński nie trzeba dwa razy powtarzać, wobec czego pierwszy panel ankiety Systemu Oceny Kobiet (SOK) kręci się wokół dupy, a gwoźdźcem do ścisłości: pytania dotyczą jej przebiegu na rynku matrymonialnym (Ilu kobieta miała partnerów seksualnych? Czy ma dzieci z poprzednich związków? Czy uprawialiście seks przedmałżeński? Czy korzysta z antykoncepcji?).

Jeśli jakimś cudem pierwszy etap przeświadczenia samiczej dziury wypadł pomyślnie, nie wolno zapominać, że cnotliwość ma również wymiar duchowy. Skoro w babskim łbie z natury pusto, to pewnie sami diabli nie wiedzą, co tam się legnie,

Dziewczyny na schwał



Filipinki – tę młodą, tę starszą – pani w kok”.

Niedola służących

Skoro zatem przed okresem PRL-u nastolatki nie były dziewczynami, to kim do cholery były? Odpowiedzi na to pytanie udziela poniekąd rozdział Alicji Urbanik-Kopeć „Wzięta w kilku słowach rzecz o pokojówkach». Służące domowe na ziemiach polskich w drugiej połowie XIX wieku”. Nie jest to miły tekst, rzekłabym, że wręcz przeciwnie – ponury, choć nader pouczający.

Bo okazuje się, że służąca nie była w pełni człowiekiem, raczej narzędziem do zaspokajania potrzeb, w tym seksualnych. Lekceważona i poniżana. Miała tę przewagę nad kurtyzaną, zdaniem facetów, że była mniej zorientowana w możliwościach finansowych mężczyzn z klasy wyższej, toteż nie trzeba było podejmować jej drogimi obiadami i obsypywać kosztownymi prezentami. Zwykle służące były migrantkami ze wsi, osobami niezamężnymi i bardzo młodymi. Pod koniec XIX w. ponad połowa służących w zaborach rosyjskim i austriackim miała poniżej 24 lat, a co piąta – mniej niż 19 lat.

Służące traktowano jako część szeroko pojmowanej rodziny, co – wbrew pozorom – nie było dla nich korzystne. Znajdowały się pod całkowitą kontrolą pani i pana, a poradniki dla pokojówek wyjaśniały, że powinny pracować od szóstej rano do godziny 22, a nawet do północy, jeśli tego życzyli sobie pracodawcy. Niby miała mieć jeden dzień w tygodniu wolny – w niedzielę trzeba iść do kościoła! – a także przerwy w pracy w ciągu dnia, lecz ich panie często uznawały, że ledwo zasłużonym odpoczynkiem służących są wyjścia na zakupy, wyprawianie psa czy wieczorne czerowanie ubrań jawnie państwa.

Elżbieta Bederska, autorka książki „Dobra służąca, czyli co powinien wiedzieć o służbie i na służbie”, zalecała zimny wychów pokojówek i nie miała dla nich litości, zarzucając im osobliwą mieszaninę głupoty i lenistwa: „Uniewinnienia u niej, jak »zapomniałam – nie wiedziałam, że tak późno – myślałam« itp., są na porządku dziennym. Szczególnie to ostat-

nie, prawdziwe utrapienie, najczęściej bywa w użyciu. »Ja myślałam«, tym rozpoczyna się prawie każde uniewinnienie. Otóż właśnie, moja kochana, nie myślałaś i dlatego nie wypełniłaś polecenia”. I dodawała do tego sankcję religijną, uznając, że Bóg pochwała harówkę młodej kobiety: „Jeżeli się jest tak zmęczonym, że uśnięcia przy dłuższym pacierzu zachodzi obawa, to wiercie mi; miłszą będzie Bogu krótka serdeczna modlitwa [...] niżli długie spanie na klęczkach”.

Czas na wpierdol

Klechy i hierarchie wciąż lubią grać na nutce tęsknoty za czasami przednowoczesnymi, kiedy lud był pobożny, wszyscy żyli zgodnie z rytmem zmieniających się pór roku, każdy znał swoje miejsce w społeczeństwie, a rodziny były wręcz wzorowe. Do dzisiaj nawet – niestety! – osoby niezbyt ufające księżom lubią wpatrywać się w ten infantylny obrazek, wzdychając ciężko za „starymi dobrymi czasami”. Lektura „Ludowej historii kobiet” to znakomita odtrutka na te łzawe brednie, zwłaszcza zaś „Przemoc” Jaśminy Korczak-Siedleckiej.

Autorka nie owija w bawełnę i zaczyna z grubej rury: „Życie kobiet w dawnej Polsce prześlągnięte było przemocą. Od dzieciństwa do starości, w domu, w pracy i w karczmie, w sferze cielesnej, psychicznej, seksualnej, ekonomicznej i kulturowej kobiety doświadczały dyskryminacji, opresji i bólu. Odpowiedzialny był za to system patriarchalny, który porządkował całe przednowoczesne europejskie społeczeństwo. Zakładał on dominację mężczyzn we wszystkich dziedzinach życia i silną hierarchizację stosunków społecznych”.

Obraz odmalowany przez Korczak-Siedlecką jest, co godne podkreślenia, pełen niuansów i szarości. Bo kłamstwem jest, że w świecie patriarchalnym każdy facet był przemocową świnią. Było pewnie nieco mężczyzn kochających swoje żony, szanujących je i wspierających na każdym kroku. W końcu kobiety wypełniały inne obowiązki, komplementarne wobec męskich. A żona, która była podległa mężowi, panowała wręcz niepodzielnie nad dziećmi i służącymi.

Nie zmienia to jednak faktu, że cały porządek społeczny był ściśle hierarchiczny, a środkami dyscyplinującymi

była nade wszystko przemoc fizyczna, mówiąc bez ogródek: wpierdol, jaki rządzeni zgarniali od rządzących. System prawny to wspierał, aczkolwiek ograniczał bicie – nie powinno się tłuc baby w taki sposób, aby zrobić z niej kalekę, albo z użyciem niebezpiecznego narzędzia. I funkcjonowały całe łańcuchy przemocy – szlachcic lał chłopą, chłop – żonę, żona – dzieci, a dzieci – zapewne zwierzęta.

Stereotypy kulturowe nakazywały kobiecie bierność, posłuszeństwo i podległość, karząc aktywność i niezależność: „Co więcej, postrzeganie płci niewieściej jako bardziej skłonnej do grzechów skutkowało obwinianiem kobiet za wszystkie nieszcześcia, które spotykały innych i je same. W efekcie kobiety, które doświadczały przemocy w domu, nie miały jak uciec czy uwolnić się od swoich oprawców. Mało tego – otrzymywały kulturowy przekaz (wzmocniany przez Kościół), że same są sobie winne, a ze strony społeczeństwa i sądów mogły oczekiwać nie wsparcia, a nagany”.

Łoksyne złogi

Wartość „Ludowej historii kobiet” jest, co warto podkreślić (skądinąd z rozdzierającym serce smutkiem), nie tylko historyczna.

Do dziś wielu ojców, zwłaszcza na wsi, ogranicza swoje córki, czekając tylko, aż wyjdą za mąż i się wyprawdzą. Urodzą dzieci, będą zapierdalać na pierwszy etat w pracy i drugi bezpłatny – w domu. Biją je lub poniżają, jeśli chcą cieszyć się swoją dziewczynnością.

I chciałyby innego, lepszego niż ich sterane życiem i wiecznie gderające matki, pocieszające się oglądaniem komedii romantycznych na Polsacie.

Trzeba to sobie jasno powiedzieć, że dzisiaj mamy do czynienia z pewnym regresem w stosunku do Polski Ludowej. Kultura w ogóle, a zwłaszcza kultura dziewczynska, skomercjalizowała się totalnie i to jej dobrze nie zrobiło... Ale to już opowieść na inną okazję.

ZUZANNA JURCZYŃSKA



że Pan Bóg stworzył obraz i obrazę Boga”. Nie śmiałyby przypuszczać, że twórcy Systemu Oceny Kobiet uczestniczyli w jakimkolwiek wykładzie czy nawet wykładaniu towaru na półki (jak ktoś ciężko pracuje, to nie ma czasu na głupoty), ale tli się we

mnie swąd niepewności, bo w takim razie skąd rozbita na atomy kwestia wyglądu? Czy ma tatuaże? Kolczyki? Modyfikacje estetyczne wymagające interwencji chirurgii plastycznej? W jakim stylu się ubiera? Jeżeli wyzywająco, to źle o niej świadczy, je-

żeli konserwatywnie, to pewnie coś ukrywa, np. traumę. Tak, tak, pod Jego okiem nic się nie ukryje, a zatem i pod samczym nie powinno. I chuj!

Jeśli wszystkie wątpliwości w kwestii braku upośledzeń fizycznych zostaną rozwiązane, przystoi zbadać, na ile ów element inwentarza będzie zdalny w gospodarstwie domowym.

Tu znów posłużę się cytatem z Ziemińskiego: „Podobnie poszczególne formuły Dekalogu są adresowane do mężczyzn i zakazują im cudzołóstwa, czyli uwodzenia prawowitych żon swoich współplemieńców, co równałoby się kradzieży. Żona przecież to część majątku, podobnie jak niewolnicy, niewolnice, dzieci i stada. Cudzej wartości tymczasem nie wolno ani kraść, ani pożądać”.

Gdyby nie głupota Ewy, wszyscy byśmy się cieszyli słodkością pierdzenia w rajski stółek, a tak trzeba zapierdalać. Trudno, żeby baba służyła tylko do rozplodu i ogarniania kuwety, za darmo można dostać co najwyżej po mordzie, na wikt i ciepły kąt trzeba zarobić. Przy poszukiwaniu białogłowy do rozplodu i poddaństwa roztropność nakazuje więc wnikliwą ocenę jej wykształcenia i wykonywanego zawodu (pkt 22 i 23), podejście (bo przecież nie stosunek, na miłość boską!) do pracy i – uwaga! – czy ona lub jej rodzina mają znajomości w strukturach państwowych bądź sami tam pracują (pkt 26). Szczególnie w sądach, he, he.

To przez tę kretynekę Ewę

A skoro przy rodzinie jesteśmy...

„Postawa Jezusa wobec matki jest jednym z najważniejszych źródeł marginalizacji kobiet w późniejszym chrześcijaństwie” – pisze Ziemiński.

„Przykładem scena w Kanie Galilejskiej, kiedy informuje go, że zabrakło wina. Wprawdzie Jezus spełnił prośbę matki, dokonując swojego pierwszego cudu, to jednak potraktował ją obcesowo niczym natręta, który ośmielił się zakłócić mu zabawę. Już wcześniej [...] jako dwunastoletni chłopiec porzucił w czasie pielgrzymki do Jerozolimy, aby debatować z uczonym w Piśmie. Na wyrzuty ze strony matki, że nie powinien był się tak zachować, odpowiada, że nie należy do rodziców, tylko do Ojca w Niebie”. Złośliwi mogliby powiedzieć, że ten w niebie to już gówniarza dobrze przeciwzył, ale nie zapominajmy, że to przez Ewę kretynekę, grzesznicę Chrystus cierpiał na krzyżu. Aby samemu nie cierpieć nie tylko przez pindę, ale i jej rodzicieli, trzeba w ramach SOK ustalić

następujące kwestie: jaki jest jej ojciec (pkt 8 ppkt 1: Kobieta przekłada obraz ojca na ciebie. Kobiety podświadomie szukają mężczyzny podobnego do ojca)? Jaka jest jej relacja z ojcem? Jaka jest jej matka? Jaka jest jej relacja z matką (jeżeli matka rządzi w domu, córka też będzie tak chciała)? Jakie są relacje jej rodziców? Czy rodzice nie otaczają jej nadmierną opieką? Jeśli tak, może to oznaczać, że ma jakieś ukryte problemy! Ufff, co za orka.

Dekalog SOK porusza również kwestię rozvodu rodziców, natomiast nie doszukałam się ani wzmianki o ojcu nieobecnym – czy to takim, który odszedł do domu Pana, czy tym z przypadku – sami wiecie, matka jedna, a ojców cała stodoła. Ciekawo dlaczego? Im wnikliwiej poznaję przemocowy program Jezusa i jego ferajny, tym większą mam radochę z każdego komercyjnego gównidła, które faszkuje PR-em w żłobie rodzzonego, bo jeśli już z lufą przy głowie musiałabym wybrać między komercją a tradycją, to miłsz mi elfy niż bałwochwalstwo symbolu chrześcijańskiego okrucieństwa. Tym chłopcom zaś, którzy przez matrycę biblijnych bają i na wzór swoich rodziców, którzy przykreć im resoraki do podłogi, próbują przykreć sobie jakąś kobietę, życzę, żeby odnaleźli spokój w ascezie. Najlepiej na pustyni, gdzie żadna kusicielka nie będzie zakłócać ich relacji z Bogiem.

IDALIA DUBICKA

Kluseczki Oleksego

Poselska opowieść wigilijna.

Podobno dotowane dożywianie warstwy panującej zaczęło się w Rosji radzieckiej. Wówczas urzędujący na Kremlu bolszewicy dostawali bezpłatny talerz solianki. Pożywnej ruskiej zupy. Decyzją towarzysza Lenina, aby nie zasłabli w rewolucyjnym zapale. Wraz z postępami budowy komunizmu menu stołówek liderów światowego proletariatu wzbogacało się o bliny, kawior, jesiotra pierwszej świeżości i wielogwiazdkowe koniaki.

Francuscy deputowani, też potomkowie rewolucji, nie byli gorsi. Od lat mają na VII piętrze gmachu Zgromadzenia Narodowego skromnie wyglądający bufet. Serwujący ślimaki morskie w majonezie, pulardy w galarecie, homary w sosie czosnkowym, zające po królewsku. Wszystko zalewane winem przedniej jakości, ale po cenach niezwykle pospolitych.

Każdy sprawny parlament musi koniecznie mieć dwa pomieszczenia. Knapję parlamentarną i salę plenarną. Sala plenarna jest mniej ważna, bo zwykle powtarza się tam to, co wcześniej ustalono w kuluarach, czyli w knajpie.

W każdej porządnej knajpie parlamentarnej serwuje się alkohole lekkie i ciężkie. Nawet w krajach uchodzących za religijnie abstynenckie.

Smar demokracji

Alkohol jest bowiem darem i smarem demokracji. Ułatwia zawieranie politycznych znajomości, zbiorowe podejmowanie decyzji. Smarując nim, unika się zgrzytów, tarć personalnych w koalicjach rządzących. Regularne smarowanie łagodzi ideową oporność zapiekłych ortodoksów. Koi cierpienia wysiadających na twardych opozycyjnych ławach. Bez sejmowych bufetów nie byłoby zgodnego ucierania stanowisk i ustaw we wszystkich sejmach.

Pamiętacie zapewne świetnie skrecony przez Andrzeja Wajdę spektakl telewizyjny „Bigda idzie!” według prozy Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Syntetyczny obraz życia politycznego i parlamentarzysty II Rzeczypospolitej. Dokumentujący, że wtedy też najważniejsze i dramatyczne decyzje zapadały w sejmowym bufecie.

W Polsce Ludowej ciężar władzy przesunął się z parlamentarnej ul. Wiejskiej do gmachu KC PZPR. Zmarginalizowany sejm zbierał się na dwóch sesjach w roku. Ciała parlamentarne płci wszystkich mieszkaly w Starym Domu Poselskim. W pokojach wieloosobowych z łazienkami na korytarzach. W sejmowych stołówkach jadało się suto, acz niewyszukanie, jak to w gospodarce niedoboru rynkowego. Za to chlało się ostro. Ale ukradkiem, w pokojach, bo towarzysze posłowie nie pruderyjni jak dzisiejsi proboszczowie.

Gmach Sejmu RP jest jedynym miejscem w Polsce, w którym jawnie łamało się ustawę o wychowaniu w trzeźwości. Zakazującą sprzedaży alkoholu w pobliżu obiektów sakralnych. W gmachu sejmu sklep z wódką sąsiaduje z kaplicą sejmową. Za moich czasów sklep w przeciwnieństwie do kaplicy stałe był pełny.

W IV kadencji posłowie ze Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego (ZChN) chcieli ten zgrzyt prawny rozwiązać. Szybko zostali przywołani do porządku przez lewicę przypomnieniem, że sklep był pierwszy na terenie sejmu. Zatem rozwiązaniem konfliktu byłoby zamknięcie kaplicy. Potem prawicowi warszawscy radni pod wodzą Karola Karskiego straszili parlamentarzystów, że zabronią wyszynku w gmachu parlamentu, bo kodeks zabrania picia w miejscu pracy. Ale kiedy Karol Karski został prominentnym posłem PiS-u, to sejmowa prohibicja od razu wywietrzała mu z głowy.

Odrodzenie parlamentarnej gastronomii zaczęło się po wyborach 4 czerwca 1989 r.

W Starym Domu Poselskim urządzono restaurację na pierwszym piętrze i barek dolny na poziomie suterenu. Wraz z umacnianiem się demokracji barek dolny ewoluował w kierunku narodowego fast foodu, a restauracja podzieliła się na restaurację właściwą, bar szybkiej samoobsługi i drink bar z panią Moniką. Biust pani Moniki był obiektem fantazji erotycznych wielu parlamentarzystów i kilku parlamentarzystek. Serwowane dania nigdy.

W Nowym Domu Poselskim, czyli hotelu dla parlamentarzystów, urządzono knajpę, kultowy drink bar Za Kratą i stoisko cukiernicze. Bo

każdy smakosz wie, że rurką z kremem też można zakąsić.

Na pierwszym piętrze hotelu poselskiego był jeszcze tajny barek nocny serwujący wódkę, zagrychę i napoje towarzyszące na użytek nocnych Polaków rozmów urzędowych w hotelowych pokojach posłów. Ale najoszczędniejsze ciała parlamentarne wódkę i płyny do jej towarzystwa kupowały w sejmowym sklepiu spożywczym.

Całość zaplecza gastronomicznego parlamentu polskiego uzupełnia bufecik w siedzibie Senatu RP, skromny jak zakres władztwa tej izby dumania. No i tzw. rządówka, czyli specbufet oddany do wyłącznej dyspozycji marszałka sejmu. Full wypas jedynie dla wybranych z grona wybrańców narodu.

O losach knajpy w Starym Domu Poselskim nie będę tu długo opowiadał. Z kronikarskiego obowiązku przypomnę, że od czasu II kadencji sejmu zagnieździła się tam krakowska firma Hawełka, trzymająca restaurację i bar szybkiej obsługi. Pewnie dlatego żarcie w barze smakowało jakby dla oszczędności robione było w tańszym wtedy Krakowie i potem dowożone do stolicy. W restauracji najlepsze były nalewki pozwalające strawić w miarę bezboleśnie kilka zjadliwych tam dań.

Ceny były wysokie nawet jak na parlamentarną kieszeń. Obsługiwała na koszt podatnika licznie odwiedzające nas delegacje zagraniczne, przygotowując im staropolskie lanczyki.

Miała też Hawełka specjalny osobny pokój zwany Salonikiem Tetmajerowskim od obrazka Włodzimierza Tetmajera, który tam kiedyś wisiął. Pewnie dlatego salonik upodobały sobie najpierw parlamentarne krakusy z Janem Marią Rokitą na czele, potem Roman Jagieliński i jego wielohektarowi ludowcy, później nawrócenie na gastronomiczny luksus działacze robotniczej Solidarności, aż wreszcie zasiadł tam klub wesołego Mirka Drzewieckiego (KLD, UW, PO).

Jednak prawdziwe życie gastronomiczno-parlamentarne toczyło się u Maliszewskiego.

Pod Trucicielem

Roman Maliszewski był knajpiarzem jeszcze za pierwszej komuny. Nie byle jakim, bo prowadził nawet bufet w gmachu KC PZPR. Początkowo trzymał dwie sejmowe knajpy, barki i rządówkę. Potem nastąpił podział kulinarnych wpływów. Stary Dom Poselski przypadł Hawełce, a Maliszewski okopał się w Nowym Domu, czyli tam, gdzie posłowie spali i śpią nadal.

Wykroił sobie tam królestwo składające się z drink-baru Za Kratą, barku nocnego, czyli pogotowia ratunkowego dla chlejących po pokojach, cukierni, rządówki i historycznej już knajpy. Przerobił ją na gospodę ludową z czasów wczesnego Gierka. Wtedy na miarę marzeń ówczesnych parlamentarzystów.

Siedział Maliszewski zwykle u drzwi i każdego gościa serdecznie witał, a był przez posłów Trucicielem zwany. Kelnerki swoje dobrał urodą podobną do tych z najwykwintniejszych restauracji GS-ów z lat 70. ubiegłego wieku. Kelnerów miał z elegancji warszawskiego nocnego klubu Kamieniołomy z tejże dekady.

Było wtedy u Maliszewskiego suto i tłusto. Dania obiadowe jak domowe i porcje też. Żadna tam zupa w bulionówce, zawsze dostawałeś talerz aż po brzegi. I bez kantów. Jeśli w menu pisało 250 gramów, to tyle było.

Jak chciałeś schabowego, to był na pół talerza, z kostką rzecz jasna. Bo schaboszczak bez kostki jest jak Chrystus bez krzyża. Piure było z ziemniaków, a nie z torebki. Kapusta kiszona z prawdziwej beczki, z grochem twardym jak prawo wtedy stanowione. Skwarki tłuste, grubo krajane, zawsze świeżo przysmażone. Kiedy zamówiłeś rosół, to był z pływającymi oczkami tłuszczy i ma-

karonem domowej roboty. Jeśli tatar, to dawali z jajem świeżym, cebulką, ogóreczkiem i ociekającą oliwą sardynką. Śledź w majonezie gęstym, zimne nożyki z prawdziwego wieprza, żadne tam lajtowe drobiowe. Pasztet i cała garmazetka były u niego jak za Gierka, a nawet lepsze.

Do zamówionej garmazetki od razu podawano wódeczkę krajową, schłodzoną jak się patrzy, bez konieczności wcześniejszego zamawiania.

Dla tych, którzy nie lubili, jak im się w kieliszek patrzy, był zwyczajowy „tonik otwarty”. Na takie hasło kelner przynosił butelkę toniku z wlanym już tam ginem Lubuskim albo butelkę coli z wódką Wyborową.

Najwesielej było u Maliszewskiego w II kadencji Sejmu RP, kiedy rządziła koalicja SLD–PSL. Parlament reagował wtedy na traumę po jego niedawnym rozwiązaniu przez prezydenta Wałęsę, a gospoda pana Romana idealnie się do tego nadawała. Zwłaszcza że nie było wówczas podstępного „Faktu” ani wścibskiego TVN24. Było za to wielu parlamentarzystów w wieku portfelowym traktujących plenarne posiedzenia jak wyjazd z domu w delegację służbową.

Toteż każdej nocy podczas plenarnych posiedzeń flaszki wręcz fruwały tam ponad stolikami i partyjnymi podziałami. Wiem coś o tym, bo sam flaszka wyborowej, niczym pałeczka od sztafety, wtedy rzucałem, a przyszły premier Włodzimierz Cimoszewicz zrećnie łapał ją i nalewał siedzącym po jego stronie dużego okrągłego stołu.

Kto dzisiaj uwierzy, że Cimoszewicz był kiedyś aż takim balangowiczem? Kto uwierzy, że wpadało tam ówczesnych „trzech muszkieterów”? Jan Łopuszański, Marek Jurek i Stefan Niesiołowski, a zimne toniki czekały już otwarte? Kto uwierzy, że był prawicowy poseł z Warmińsko-Mazurskiego, który między tonikowymi drinkami uwiódł najpiękniejszego kelnera z gospody?

Ku zdumieniu restauratora Maliszewskiego, który też był gejem. Jawnym, ale nieeksploatującym swojej orientacji seksualnej, jak zawsze podkreślał.

Kelnerzy Maliszewskiego byli dyskretni i powolni. Zawsze przy regulowaniu rachunku bra-

kowało im monet do wydawania reszty, kiedy ciała parlamentarne zapomniały o należnych napiwkach. Panie kelnerki same sobie napiwki do rachunku doliczały wedle zasady: im dłuższy staż parlamentarny, tym większy tip.

Pan klient

Miały też swych ulubieńców, których podszczypywały albo gładziły ich frywolnie po podchmielonych główkach. Dla gronka wybranych faworytów, jak premier Józef Oleksy, oprócz masażu głowy były dania specjalnie niewystępujące w karcie. Jak choćby słynny rosółek Oleksego. Najpierw podawany z ryżem, potem ze specjalnymi kluseczkami kładzionymi.

Kiedyś chciałem zamówić właśnie taki rosółek, pokazując go kelnerce u konsumującego przy stoliku obok Józefa Oleksego, wtedy marszałka sejmu. Ale zamiast gorącego rosółku ze słynnymi kluseczkami otrzymałem zimną czarną polewkę – dumną odpowiedź pani kelnerki: „Będzie poseł marszałkiem, będzie miał takie kluseczki”.

Starzy parlamentarzyści twierdzą, że sejm z kadencji na kadencję robi się coraz gorszy. Na psy schodzi. Restaurator Maliszewski przynawał im rację i dodawał, że gastronomicznie stan poselski też z roku na rok psiał.

Kiedy polskie elity władzy już obrosły sadłem, a zwłaszcza kiedy pojeździły sobie po świecie, zaczęły na sejmową gastronomię zwyżajnie wybrzydzać. Że to tradycyjne menu niewyszukane jest. Że wódka niezamrożona tak na maksa, jak już robią w knajpach na mieście. Że tequili, porządnych łyskaczów, tabasków i innych wściekłych psów w sejmowym bufecie nie ma.

Zwykła wiocha – krzywili się młodzi parlamentarzyści nie pamiętający czaru dawnych geesowskich gospód. Kelnerzy za senni są i nie wydają reszty, co w Europie standardem już jest, gderali liderzy parlamentarnej demokracji. Niestety, wraz z postępem budowy kapitalizmu w naszym kraju stan poselski ulegał rozwarstwieniu. Podzielił się na paniska i gołodupców.



rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Paniska szybko poczęły omijać gospodę Maliszewskiego. Wołały jadać na mieście, choć było tam drożej. Snobować się na intelektualistów w pobliskiej stołówce Czytelnika, nabijać cholesterol w bawarskim Adlerze albo szpanować jak luksusowe żdźry w knajpach niedalekiego Sheratona.

Młódź poselską ciągnęło ku hipsterce, ku placowi Zbawiciela. Wyrwane tam laseczki i ciacha prowadzali potem do mnożących się w stolicy punktów wydających sushi.

Coraz częściej parlamentarzyści chodzili jadać do sezonowo modnych stołecznych knajp i nocnych klubów. Z zawsze otwartymi dla nich VIP-roomami. Bo dzięki TVN24 i Polsatowi najczęściej gadające tam głowy stały się częścią nowej klasy celebryckiej.

Parlamentarzyści zaczęli zarabiać pieniądze i dawali zarobić niejednemu restauratorowi na mieście.

Bankructwo zawisło nad Maliszewskim. Bo

gołodupcy parlamentarni przestali regularnie chodzić na obiady i kolacje. Do gospody wpadali na śniadanie. Na szwedzki bufet, który szatan chyba Maliszewskiemu podpowiedział, bo za niewielki śniadaniowy abonament opychali się na cały dzień. Kanapki nawet na wynos sobie robili!

A kiedy żony gołodupców przyjeżdżały w odwiedziny, to z przywiezionymi grzybami do Maliszewskiego przychodzili, aby im je udusić w kuchni restauracyjnej, i z gotowymi daniami wracali do hotelowych pokoi.

Zwyczaj gotowania posiłków i jedzenia ich w pokojach hotelu sejmowego wprowadzili parlamentarzyści Samoobrony. Bo potrafili gotować, no i tak życie w stolicy wychodziło im taniej. Jedynie coroczne andrzejki wyprawiane u Maliszewskiego przez przewodniczącego Lepera przebiły swą wystawnością i ogromem zaproszonych niejedne ucztę radziwiłłowskie.

Najgorzej wspominał Maliszewski konsumentów z Ligi Polskich Rodzin. Na śniadanie po mszy przychodzili, zwykle w towarzystwie księży. A ksiądz jak głodny, to zły. Zmiatali wszystko, co było na szwedzkim stole, jakby z luterskimi wojskami walczyli. Wszystko za Bóg zapłać, w ramach śniadaniowych abonamentów towarzyszących im posłanek.

Starych, przywiązanych do standardów gospody Maliszewskiego z roku na rok było mniej. A i oni też coraz częściej narzekali. Że dania za tłuste, niedietetyczne. Że brakuje fusion cuisine, dań skreczowanych i fristajlowych. Że tatar ostatnio szary był jakiś i gazy po ostatniej wieczery mieli. A przecież przychodzi człowieko- wi taki wiek, posłowi nawet, że gazy mieć musi. Sorry, taki mamy klimat.

Obstrukcja

Pomimo tych trudności pan Roman się nie poddawał. Nastroj intymny w swej gospodzie zrobił. Świeczki eleganckie na stołach pousta- wiał, bo cóż to za władza bez kandelabrow. Obrazy w knajpie popowieszał, bo z postępem chciał kroczyć. Pilnował gramatury, do interesu nawet dokładał, kiedy Hawełkowa konkurencja ceny dumpingowe wprowadziła i przestano mu przyprowadzać delegacje zagraniczne.

Niestety coraz surowsze kontrole przy wejściu do hotelu sejmowego wypłaszały zapraszone panienki z miasta. Potem zabroniono pracownikom sejmu wchodzić do restauracji, żeby nie miesza- li się z jaśniepaństwem poselstwem.

Dobiły knajpę Maliszewskiego skomercjali- zowane media i pisowska władza. Kiedy komer- cyjne media rozpoczęły masowe polowania na polskich parlamentarzystów pijących alkohol

w gmachu sejmu, to rozpoczął się czarny okres sejmowej gastronomii. Na nic zdały się argu- menty ustrojowe, informacje o światowych pa- lamentarnych standardach. Polski skomercja- lizowany dziennikarz własną matkę za ekstra- honorarium sprzeda, a co dopiero parlamenta- rzyste. Nawet wcześniej zaprzyjaźnionego.

Serie opublikowanych w tabloidach zdjęć posłów piwoszy sprawiły, że zamknięto jaw- ny drink-bar pani Moniki. Ona straciła pracę, a posłowie – obiekt swych erotycznych fantazji. Dziennikarze zyskali za to nienawiść stanu po- selskiego, a w pozostałych sejmowych obiektach gastronomicznych zapanował ostatecznie „tonik otwarty”.

Ale co to za przyjemność pić i cały czas bać się błysku flesza strzelającego ci za węgla. Toteż z baru Za Kratą zniknął Donald Tusk smakujący tam polskie piwo, wtedy jeszcze w towarzystwie Schetyny.

Zniknął Jarosław Kaczyński degustujący czerwone wino z posłanką Elżbietą Krukówną. Zniknął chór SLD-owskich posłanek reweler- sek: Ostrowskiej, Murynowicz, Szynalskiej, Ba- nach, wzmacniających gardła przed kolejnym koncertem patriotycznych pieśni. Kiedyś nad ranem nienagannie odśpiewały pod drzwiami pokoju posła profesora Bronisława Geremka wszystkie zwrotki „Pierwszej Brygady”.

Nazajutrz tak wstrząśnięty poseł profesor zło- żył u marszałka sejmu oficjalną skargę na lidera Konfederacji Polski Niepodległej posła Leszka Moczulskiego. Bo w głowie mu się nie mieści- ło, że jeszcze ktoś inny w sejmie mógłby znać te wszystkie brygadowe zwrotki...

Dziennikarskie wścibstwo sprawiło, że co bar- dziej masowe imprezy poselskie przeniosły się z knajp do poselskich pokoi. Wtedy powstał klub Mirka Drzewieckiego Drewutnia, potem też zwany Sherwoodem.

W efekcie tych zmian cywilizacyjno-kultu- rowych najpierw padł barek nocny. Był niepo- trzebny, bo imprezowicze wcześniej sami robili sobie duże zakupy na mieście. Widok posłów objuczonych siatkami stał się normą sejmową.

Na początku V kadencji władze sejmu za- braли Maliszewskiemu rządówkę. Uczynił to marszałek Marek Jurek podpuszczany ponoć przez Romana Giertycha. Nie chciał, by komuch i gej w jednym Maliszewskim karmił katolickie- go marszałka i jego gości, choć Maliszewski nie tylko komuchów żywił, a gejem był wyjątkowo porządnym. Żył latami z tym samym partnerem, czego nie można mówić o posłach prawicy, tych homo- i heteroseksualnych.

Potem jeden redaktor z RMF FM zapragnął zdobyć Nagrodę Pulitzera. W dzień przymuso- wej abstynencji wywołanej pielgrzymką papieża B16 do Polski zamówił w knajpie Maliszewskie- go „tonik otwarty”. Kelner mu podał, bo mło- dy był i myślał, że wszyscy dziennikarze to po- rządni ludzie. I zwyczajnie pić się redaktorowi chce. Reporter zachował się jak agent Tomek. Najpierw sprowokował złamanie prawa, potem zawył niby z moralnego oburzenia i szybko kel- nera dla jednorazowej wierszówki podkablował. Media miały przez dzień uciechę, a następnego o tej „prowokacji dziennikarskiej” zapomniały. Kelner zapamiętał, bo wyrzucono go z pracy.

Maliszewskiemu też tego nie zapomniano. Znalazł się wreszcie znakomity bat na jego nie- heteroseksualny tyłek. Za udowodnione zła- manie prohibicji propapieskiej odebrano mu koncesję na alkohol. A to dla knajpy nie tyl- ko sejmowej oznacza zwykłą śmierć. Powolną i okrutną. Bo nawet najporządniejszy poseł nie zje tatara pod soczek jabłkowy. Gorącej golonki nie strawi bez zimnego kufelka.

I tak po 17 latach żywienia konstytucyjnego organu został Maliszewski z emeryturą w wy- sokości 1700 zł miesięcznie. Nikt z ówczesnych władz sejmu na pożeganie nie podziękował mu za te sute dania. A przecież w jego restauracji żadnego parlamentarzysty podstępnie nie nagra- no jak w kilku innych, niby wykwinnych.

Pewnie dlatego gastronomia sejmowa przekle- ta została i lawinowo poczęła się staczać. Nastę- pni po Maliszewskim nie zagrzewali w Nowym Domu Sejmowym długo miejsca. Konkurencyj- na Hawełka ratowała się organizowaniem wesel, pokój dla palaczy w Saloniku Tetmajerowskim urządziła, ale też w końcu wyniosła się ze Stare- go Domu Poselskiego. Potem przyszła pandemia i dobiła sejmową gastronomię. Dziś nawet bar Za Kratą wieje trunkowym chłodem.

Kiedy kolejny następca Maliszewskiego ogło- sił konkurs na nazwę kolejnej otwieranej knaj- py, zorganizowałem głosy zaprzyjaźnionych ciał parlamentarnych, aby wygrać ten plebiscyt. Aby nową knajpę ochrzcić dumnym, znanym z pa- lamentarnych tradycji mianem Obstrukcja.

Chrzcin nowej knajpy, tak jak kluseczek Olek- sego, nie doczekałem. Nowy jej właściciel po przeliczeniu głosów w większości na Obstrukcję oddanych demokratyczne wybory w gmachu Sejm RP zwyczajnie unieważnił.

A wolny demokratyczny świat ten jawny gwałt na demokracji gastronomicznej w najwyższym sanktuarium polskiej demokracji uczyniony zbył wymownym milczeniem.

PIOTR GADZINOWSKI



rys. TOMASZ WINTER

WIARA CZYNI CZUBA

1. Świątynia Satanistyczna – grupa wolnomyślicieli, zarejestrowana jako organizacja wyznaniowa, żeby korzystać z amerykańskiej konstytucji, która gwarantuje równość wyznań, ale nie światopoglądów – zgodnie ze stanowym prawem wystawiła na Kapitolu stanu Iowa pogodną statuetkę Baphometa: postaci z ludzkim ciałem i głową kozła, będącej symbolem dualizmu i dychoomiczności świata. Baphomet z lowy miał czerwona pelerynę i łeb z lusterek, a otoczony był przykazaniami ŚS („Należy odnosić się ze współczuciem i empatią wobec wszystkich stworzeń, zachowując przy tym rozum”). „Zobaczyłem ten bluźnierczy posąg i byłem oburzony. Moje sumienie jest zniewolone słowem Bożym, a nie biurokratycznym dekretem. I dlatego musiałem działać” – ogłosił niejaki Michael Cassidy, po czym zerwał lusterkowy łeb. Jezus odetchnął z ulgą.

2. Elon Musk został apostołem rozrodu. Najnowszą zabawką najbogatszego człowieka świata okazują się Włochy, gdzie został zaproszony na prawacki Festiwal Atreju (na cześć zielonoskórego bohatera „Niekończącej się historii”), organizowany przez partię Bracia Włosi premierzycy Meloni. Elon Musk, posiadacz 11 dzieci (z trzema matkami), zabrał jedno z nich ze sobą, żeby pokazać Włochom, jak wygląda mały miliarder. „Moja rada dla wszystkich szefów rządów i wszystkich ludzi brzmi: miejcie dzieci, aby stworzyć nowe pokolenie” – głosi ewangelia wg Elona. Miliarder pouczył Włochów także o niebezpieczeństwie „wirusa woke”, czyli ruchu społecznego wymierzonego przeciwko dyskryminacji, lekceważeniu i obrażaniu mniejszości. Do prawdy woleliśmy, jak Elon Musk latał w kosmos.

3. Ksiądz James Jackson, członek integrystycznego Bractwa Kapłańskiego Świętego Piotra specjalizującego się w celebrowaniu przedsoborowej konserwy, został skazany na sześć lat więzienia i dodatkowe pięć lat nadzoru po tym, jak przyznał się do posiadania dziecięcej pornografii. Sędzia William Smith z sądu okręgowego Providence wymierzył księdzu karę o rok dłuższą niż postulowana przez prokuraturę. „Proszę o jedno: o modlitwę za mnie w intencji, aby pokuta i skrucha, którą rozpocząłem jakiś czas temu, jeszcze przed moim uwięzieniem, była kontynuowana, i nie tylko kontynuowana, ale pogłębianą, a nawet doskonałą” – ogłosił James po wyroku. Skrucha wymaga udoskonalenia, bo w trakcie procesu okazało się, że ksiądz James nie przestał trzepać kapucyna do obrazków z dziećmi nawet po tym, jak został aresztowany i wyszedł za kaucją.

4. Kardynał Angelo Becciu, do 2018 r. postać numer dwa w sekretariacie stanu Stolicy Apostolskiej,

został skazany przez sąd karny Watykanu na 5,5 roku pozbawienia wolności, stały zakaz pełnienia funkcji publicznych i 7,5 tys. euro grzywny. Kardynał przepompowywał pieniądze Watykanu na konta swojej rodziny i nie tylko. 39-letnia Cecilia Marogna otrzymała z sekretariatu stanu ponad pół miliona euro na konto należącej do niej firmy Logsic z siedzibą w Słowenii. Marogna wyjaśniała, że to wynagrodzenie za pracę, którą wykonała jako konsultant, oraz zwrot kosztów podróży. Owszem, kupowała za watykańskie pieniądze torebki Prady i Chanel, ale nie dla siebie, tylko w celach służbowych. I nieprawdą jest, jakoby była spokrewniona z kardynałem lub miała z nim, Boże broń, jakiś niewłaściwy związek.

5. Daddy Yankee, portorykański muzyk reggaeton, najlepiej sprzedający się latynoski artysta pierwszej dekady XXI w., porzuca muzykę dla Jezusa. „Zdałem sobie sprawę z tego, że Biblia mówi: „Cóż wart jest człowiek, który zyska cały świat, jeśli straci swoją duszę». Zrozumiałem i nie wstydę się powiedzieć całemu światu: Jezus żyje we mnie, a ja będę żył dla Niego. Zaczyna się nowa historia, nowy początek, wszystkie narzędzia, które posiadam, takie jak muzyka, media społecznościowe, platformy, mikrofon, wszystko, co dał mi Jezus, będzie teraz służyć Królestwu Bożemu” – ogłosił artysta, który zarobił 50 mln dolarów na piosenkach takich jak „Dwie kobiety”: „Sprawdzam, czy nie mam śladów po szmince, staram się poświęcać im obu tyle samo czasu, nie wiem, którą Kocham bardziej, ten romans zrukuje mój związek”...

6. Watykan podjął decyzję o rozwiązaniu wspólnoty sióstr Loyola, założonej przez o. Marko Rupnika. Dekret watykańskiej Dykasterii ds. Instytutów Życia Konsekrowanego mówi o „poważnych problemach dotyczących sprawowania władzy i sposobu wspólnego życia” w sekcje, którą Rupnik traktował jak har- rem. Dwa lata temu został ekskomunikowany, kiedy okazało się, że wydył jedną zakonnicę, a potem ją z tego wypowiadał i rozgryzł. Ojciec Marko Ivan Rupnik to jezuicki celebryta ze Słowenii, przyjaciel papieża Franciszka, twórca mozaik i malarz, autor obrazu wyobrażającego balującego Chrystusa obejmowanego przez Maryję z kieliszkiem wina i jednego z apostołów leżącego na stole z flaszką. Tytuł obrazu brzmi „Tajemnica jest wielka”. Był to oficjalny wizerunek Światowego Spotkania Rodzin 2022.

7. Ksiądz Stephen Gutsell z Nebraski został zaszytletowany na swojej plebanii przez niejakiego Kierre'a L. Williamsa. Przyczyny ataku są nieznane, acz policja ujawniła, że Williams ma za sobą wyrok za posiadanie kokainy, a Gutsell – za sprzeniewierzenie 125 tys. dolarów należących do kongregacji, którą prowadził. Z bliżej nieznanych przyczyn zamiast na 20 lat pierdła ksiądz został skazany na okres próbny, musiał też zwrócić 40 tys. dol. – mniej niż jedną trzecią tego, co ukradł. Policja zapewnia, że złodziejstwo księdza nie miało żadnego związku z atakiem, ale przynajmniej, że nie ma pojęcia, co miało. Według policyjnego raportu 65-letni ksiądz został znaleziony – jeszcze żywy, lecz poważnie krwawiący – na podłodze, a 43-letni Afroamerykanin leżał na nim w taki sposób, że ich ciała formowały krzyż.

R E K L A M A

POLSKO-UKRAIŃSKI SPÓR O HISTORIĘ

KULT BANDERY I SZUCHEWYCZA

Bohdan Piętka, historyk, autor PRZEGŁADU

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. Darmowa wysyłka listem nieregistrowanym Poczta Polska. Więcej informacji: tel.: 22 635 84 10 wew.111, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

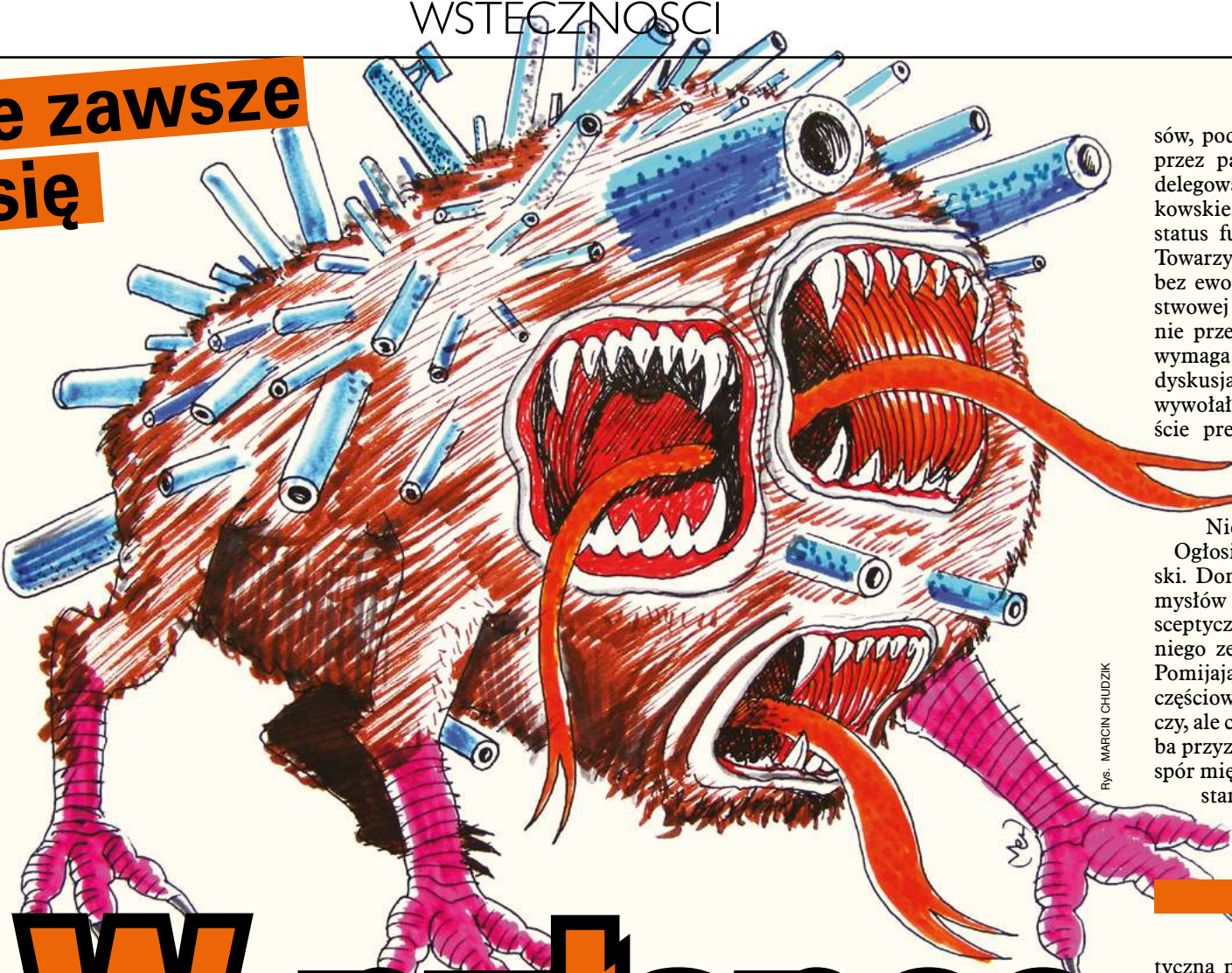
50 zł

Historia nie zawsze powtarza się tak samo.

W obliczu licznych i nieoczekiwanych nieszczęść, jakie nekają świat i Polskę, modne stało się poszukiwanie analogii historycznych, czyli podobnych wydarzeń z przeszłości, w nadziei, że ułatwi to prognozowanie przyszłości i wskaże remedium na te dzisiejsze kłopoty. Historycy profesjonalni są tym poszukiwaniom niechętni, wiedzą bowiem, że historia nigdy się nie powtarza w sensie dosłownym. A podobne wydarzenie z przeszłości, jeśli nawet nieco ułatwia rozpoznanie istoty współczesnych kłopotów, to przede wszystkim przez ustalenie różnic między tym, co wydarzyło się dawniej, a współczesnością. Odstąpmy jednak od reguły i przyjrzyjmy się kilku popularnym dziś analogiom.

1.

W publicystyce najczęściej przywołuje się analogie dotyczące migracji. O takie nietrudno, gdyż cała współczesna ludzkość poza rdzennymi mieszkańcami Afryki to potomkowie migrantów z tejże Afryki, którzy w kilku falach zaludnili cały glob. Najlepiej rozpoznana jest wielka wędrówka ludów z I tysiąclecia naszej ery, która ukształtowała podstawowy zręb dzisiejszej struktury etnicznej i państwowej Europy. Klimatyczne pogorszenie się warunków zdobywania żywności na stepach Azji zmusiło tamtejsze plemiona koczownicze do poszukiwania lepszych siedzib na zachodzie (w Europie) lub na wschodzie (w Chinach). W odróżnieniu od dzisiejszych migrantów wędrujących pokojowo i wobec gospodarzy terenów pożądanego osiedlenia nastawionych prośalnie, czasem wręcz żebrazco, tamte dawne migracje szły z bronią w rękę i nastawiały się na podbój. Tysiące zbrojnych jeźdźców zaprawionych w wojennym rzemiośle ruszało w drogę. Była to katastrofa dla ludów wcześniej osiadłych w Europie. Najędździ-migranci odnosili sukcesy. Jeden z przykładów: w połowie IV w. germańscy Wizygoci ze stepu nad Dnieprem ruszyli na rzymską żywną prowincję Panonię (dzisiejsze Węgry). W bitwie pod Adrianopolem (378 r.) rozgromili legiony wschodniego Cesarstwa Rzymskiego, uzyskali prawo osiedlenia się w imperium i zatrzymali się na dłużej na pograniczu Francji i Hiszpanii. Kilkadziesiąt lat później już jako sojusznicy Rzymu w bitwie na Polach Katalaunijskich w Szampanii (451 r.) walczyli przyczynili się do zwycięstwa armii rzymskiej Aecjusza nad groźnymi Hunami Attyli, którzy po tej klęsce już się nie podnieśli. Związki plemienne ruszające z pogranicza Azji lub ze Skandynawii na Europę powróciły już nie mogły, naciskały na nie kolejne fale zbrojnych wędrowców. Z reguły osiadały gdzieś w Europie na stałe. Początkowo w odrębnych grupach rządzących się własnymi prawami i obyczajami, a dopiero po kilku pokoleniach zespalały się z autochtoniczną ludnością, często jako jej warstwa panująca. W ten sposób powstały Węgry, Hiszpania, Francja, Niemcy, Anglia, po części też Rosja. Nawet polska szlachta hołubiła mit o własnym sarmackim – odmiennym od chłopskiego – rodowodzie etnicznym. Dowodów na to brak, ale mit dobrze wpisywał się w europejską rzeczywistość. Wniosek z tego doświadczenia historycznego płynie taki: gdy jakaś wielka katastrofa klimatyczna lub społeczna zmusza całe populacje etniczne lub ich części do wędrówki w poszukiwaniu przyjazniejszych siedzib, to zazwyczaj siłą nie da się powstrzymać tej migracji. Nawet potężny Rzym nie zdołał tego uczynić. Skuteczniejsza okazywała się metoda osławiania tych wędrowców i ich wchłaniania. Sprawdziała się ona nawet wobec migracji zbrojnych, tym łatwiej wobec pokojowych. W Chinach nawet władzę na pewien czas przejmowały dynastie zewnętrzne: mongolska i mandżurska, ale w ostatecznym rachunku uległy całkowitemu schłuszczeniu. Wyjściem



W pułapce analogii

2.

alternatywnym bywała całkowita likwidacja owych migrantów w stylu hiszpańskiej rekonkwisty, ale to rzadko się udawało, a zawsze trwało wieki i pochłaniało masę ofiar.

Częściej niż w odniesieniu do czasów odległych o tysiąclecia współczesna debata polityczna rozważa analogię obecnej sytuacji europejskiej i światowej w kontekście sytuacji sprzed 90 lat, sprzed wybuchu II wojny światowej. O to, w którym miejscu – porównawczo rzecz traktując – jesteśmy, zapytał niedawno dziennikarz „Rzeczpospolitej” Michał Fiszer, emerytowanego majora pilota pisującego bardzo interesujące i kompetentne oceny sytuacji wojennej na Ukrainie. Tym razem mjr Fiszer, wykraczając dość beztrojsko poza swe merytoryczne kompetencje, orzekł, że sytuacja jest podobna do września 1939 r. W działania wojenne były zaangażowane dwa państwa, ale to już była wojna światowa, tylko jej uczestnicy tego nie wiedzieli. Tak też jest obecnie. Już jest wojna światowa. Dobrze by było, gdyby z tej sytuacji zdali sobie sprawę szefowie państw NATO i bez wahania wkroczyli swoimi siłami zbrojnymi na Ukrainę, pokonali szybko Rosję i ustabilizowali pokój. Przekształcenia tej nowej wojny światowej w nuklearną major się nie obawia. Jest pewny, że Rosja tej broni nie użyje, gdyż wie, że jej armia zostałaby wówczas unicestwiona. To rozumowanie i wnioski są błędne zarówno w odniesieniu do przeszłości, jak terażniejszości. We wrześniu 1939 r. toczyła się już wojna europejska, a nie tylko niemiecko-polska, brały w niej udział trzy z pięciu europejskich mocarstw: Niemcy, Francja i Wielka Brytania. Nie była to jeszcze wojna światowa aż do końca 1941 r. i nie musiała się nią stać.

Według znanego brytyjskiego historyka tej wojny R.A.C. Parkera Hitler mógł w tym czasie jeszcze wojnę wygrać, gdyby pokonał Wielką Brytanię przed zaatakowaniem Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych. Mógłby wtedy wymusić korzystny dla siebie pokój, który pozostawiłby Europę poza Wielką Brytanią w jego rękę. Obecnie mamy na razie w Europie

wojnę sukcesyjną dwu państw porażonych, w której Zachód sympatyzuje ze stroną napadniętą, ale czynnie nie uczestniczy i nie chce uczestniczyć. Właśnie dlatego, aby uniknąć jej przekształcenia się w konflikt światowy z groźbą nuklearnego. Jest nieco denerwujące, gdy emerytowani majorzy z dużą dozą pewności siebie chcą być w takich sprawach mądrzejsi od prezydenta Stanów Zjednoczonych. 60 lat temu po raketowym kryzysie kubańskim John F. Kennedy na pytanie, skąd wiedział, że Chruszczow może ten konflikt przekształcić w wojnę nuklearną, odpowiedział: „Liczylismy się z tym, gdyż sami jesteśmy posiadaczami tej broni i odczuwamy wynikającą stąd odpowiedzialność”. Lepiej i bezpieczniej, aby tak pozostało.

Wojna rosyjsko-ukraińska zmierza coraz wyraźniej do zakończenia rozejmem lub pokojem na podstawie kompromisu osiągniętego na polu boju. Ukraina obroń swą niezależność i przynależność do Zachodu, a Rosja wyjdzie poturbowana i osłabiona, ale nie wyeliminowana.

Ku temu wyraźnie zmierzają Stany Zjednoczone, a w ich rękę jest klucz do sytuacji. Również kontrola nad decyzjami NATO. Rosja współczesna skłonnością do agresji i pobrząkiwania szabelką przypomina Niemcy hitlerowskie, ale siłą i możliwościami już nie. Niemcy dzięki swej gospodarce i potencjałowi naukowo-technicznemu zdołały stworzyć maszynę wojenną o wyjątkowej potędze – żadne ówczesne mocarstwo nie mogło jej dorównać. Potrzeba było dopiero przymierza trzech mocarstw, kilku lat wojny i milionów ofiar. Rosja zaś nie jest w stanie pokonać znacznie słabszej Ukrainy. Ten stosunek sił jest dla

obu stron rywalizacji globalnej oczywisty. W ich współczesnych relacjach jest wiele kwestii spornych, ale nie takich, dla których trzeba by ryzykować wojnę światową z jej kosztami i ofiarami.

3.

Ostatnio w polityce polskiej zarysował się problem, na który interesujące światło może rzucić analiza porównawcza z pewnym fragmentem dziejów Stanów Zjednoczonych w XIX w. Od początku istnienia Unii Europejskiej nazywają ją czasami Stanami Zjednoczonymi Europy, czyli państwem federalnym. Oczywiście UE takim państwem nie jest. Powstawała jako wspólny rynek o szerokim zakresie integracji gospodarczej. Nazwano ją wspólnotą suwerennych ojczyzn. Stopniowo UE zaczęła jednak wykraczać poza granice tej formuły w stronę federacji państwowej. Najważniejsze kroki w tym kierunku to wspólny pieniądź i układ z Schengen znoszący kontrolę ruchu granicznego wewnątrz Unii. Bicie monety oraz kontrola granic to od wieków wyłączny przywilej i zarazem obowiązek państwa, jego cecha rozpoznawcza. Dodatkowo w tym kierunku zmierzało utworzenie wybieralnego unijnego parlamentu, powołanie czegoś na kształt unijnego ministerstwa spraw zagranicznych oraz unijnych trybunałów. W integracji gospodarczej też wykroczone znacznie poza reguły wspólnego rynku. Wszystkie te kroki miały poparcie większości lub wszystkich państw członkowskich: pieniądź – 20 z 27, a Schengen – wszystkich poza Irlandią. Jednak kilka państw unijnych do tej ewolucji odnosi się sceptycznie i nawołuje do respektowania zasady wspólnoty suwerennych ojczyzn. Najważniejsza z tych oponentów, Wielka Brytania, Unię opuściła, pozostają Polska i Węgry, a ponadto w większości państw unijnych są silniejsze lub słabsze, ale słyszalne ruchy w obronie ojczyzn. Niedawno w parlamencie unijnym wszczęto dyskusję nad przyszłością UE jako federacji państwowej, co oznaczałoby utworzenie wspólnej armii obok wojsk narodowych, także policji i sądów, ujednolicenie kodek-

sów, podatków, rządu powoływanego przez parlament w miejsce komisji delegowanej przez państwa członkowskie. Te projekty mają na razie status futurologiczny, a nie prawny. Towarzyszy im przeświadczenie, iż bez ewolucji w stronę federacji państwowej Unia w obecnym kształcie nie przetrwa, sam wspólny pieniądź wymaga wspólnego państwa. Otóż ta dyskusja, choć prawnie niewiążąca, wywołała wściekły atak PiS i osobiście prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Zinterpretował ją jako spiszek przeciw suwerenności Polski sterowany przez Niemcy i w ich interesie.

Ogłosił alarm w obronie bytu Polski. Donald Tusk, który do tych pomysłów federacyjnych odnosi się sceptycznie, został publicznie przez niego zelżony jako niemiecki agent. Pomijając propagandową przesadę, częściowo zapewne na użytek wyborczy, ale częściowo z przekonania, trzeba przyznać, że coś jest na rzeczy. Ten spór między federalistami i nacjonalistami będzie się toczyć i od jego wyniku rzeczywiście zależeć będzie przyszłość Unii.

4.

Nasuwa się tu autentyczna nienaciągana analogia z dziejami Stanów Zjednoczonych w XIX w. Kolonie angielskie w Ameryce powstawały, podobnie jak hiszpańskie, portugalskie i francuskie, jako sui generis państwa z odrębną administracją i bezpośrednią komunikacją z metropoliami. Z hiszpańskich i portugalskich kolonii wypączkowały niepodległe państwa Ameryki Łacińskiej. Angielskie zaś połączyły się i utworzyły Stany Zjednoczone – państwo federacyjne. Zmusiła je do tego sama Anglia, która zdecydowała się wziąć te kolonie „za pysk” gospodarczo i administracyjnie oraz wymusić to zbrojnie. Broniąc się, te 13 kolonii-państw wydało Anglii wojnę o niepodległość (1775–1781) i ją wygrało. Formowanie wspólnego państwa zakończono w 1787 r. uchwaleniem konstytucji.

Status federacyjny Stanów Zjednoczonych był z mocy konstytucji dość luźny, a samodzielność stanów ogromna. Większość sił zbrojnych i całość policyjnych pozostawały stanowe. Przez kilkadziesiąt lat wierność własnemu państwu, czyli Unii. Nowojorczyk czy mieszkaniec Wirginii utożsamiał się ze swoim stanem tak jak Europejczyk ze swoim państwem narodowym. Unia pozostawała w dużej mierze zrzeszeniem suwerennych stanów połączonych dolarem, trwającym wciąż zagrożeniem ze strony Anglii i walką z autochtonicznymi Indianami. Dla przykładu, kiedy w 1861 r. wybuchła wojna secesyjna, prezydent Abraham Lincoln chciał powierzyć dowództwo wojsk federalnych generałowi Robertowi Lee. Ten odmówił, gdyż, jak powiedział, ma obowiązki wobec własnej ojczyzny, Wirginii. Został dowódcą wojsk tego stanu, walczących po stronie Konfederacji Południa, a pod koniec wojny – naczelnym wodzem całości wojsk Konfederacji. W 1865 r. kapitulował przed kolegą z West Point generałem Ulysemsem Grantem. Wojna secesyjna toczyła się przede wszystkim o utrzymanie Unii i respekt dla konstytucji, która dopuszczała wystąpienie ze związku tylko za zgodą większości pozostałych stanów. Była wyjątkowo zacięta, zginęło 650 tys. żołnierzy, najwięcej ze wszystkich wojen, jakie Stany Zjednoczone toczyły w swej historii. Dopiero ta wojna i kilkuletnia okupacja pokonanych stanów południowych przez wojska Północy upowszechniły nowe ogólnopaństwowe poczucie tożsamości. Gdy w 1961 r. John F. Kennedy w orędziu inauguracyjnym zwrócił się do rodaków: *My Fellow Americans!*, wszyscy mu przyklasnęli. Możliwe, że taka przyszłość czeka Unię Europejską, ale to na pewno daleka i trudna droga. Polacy, wbrew interesom narodowym, nie są, jak dotychczas, w tej wędrówce awangardą. Najbardziej zainteresowana pogłębieniem integracji i najliczniejsza grupa państw strefy euro wcześniej czy później proces ten przyspieszy. Pozostaje siedmiu państwom UE pozostanie dostosowanie się lub exit.

M.Z.

Luz z promilami

Więcej uśmiechu w sporcie.

Twarz sportowca to twarz cierpiennika. Najczęściej widać na niej zmęczenie i ból, niczym na obrazach klasyków, przedstawiających tortury wczesnych chrześcijan. Dla kibiców czy kiboli sport stał się natomiast zabawą. Zabawą, która ma szczególny status. Ludzie nie szukają potwierdzenia wartości swojej ojczyzny w poezji, muzyce, teatrze czy na dyskotecie. O randze kraju świadczą zwycięstwa na arenach sportowych. Każde czasopismo (my też) czy portal internetowy prowadzi rubrykę sportową. Rubryki poświęcone kulturze pojawiają się raczej sporadycznie. Owszem, Oscar czy Złota Palma są powodem do dumy, ale nie takiej jak zdobycie przez reprezentanta kraju medalu olimpijskiego.

Sportowców od najmłodszych lat coraz staranniej, i korzystając ze zdobyczy nauki, szkoli się w specjalnych placówkach, swego rodzaju szkołach gladiatorów. Co z tego mają inne dzieci? Prof. Anna Fijałkowska z Zakładu Kardiologii Instytutu Matki i Dziecka w Warszawie od lat bada fizyczny i psychiczny stan zdrowia naszych młodych rodaków. Sprawność fizyczna z roku na rok spada. 88 proc. dzieci z klas I–III nie jest w stanie wykonać przewrotu w przód, czyli praktycznie żadne tego nie potrafi. 74 proc. dzieci z klas IV–VI nie potrafi kozłować piłki. Tak samo sprawa ma się z innymi ćwiczeniami, a prof. Fijałkowska pokazuje to na przykładzie zwisu na drążku. Przez 44 lata (badania prowadzono od 1979 r.) czas, w którym dzieci były w stanie utrzymać się w takiej pozycji, zmniejszył się z 24 sek. do zaledwie 8 sek.

Minister dołoży starań

Dość. Nie będę już dłużej zamęczać danymi z pracowni prof. Fijałkowskiej. Wnioski z nich są po prostu przerażające. Jeśli dodać do tego, że nadwagę lub otyłość stwierdza się u ponad co trzeciego dziecka, trzeba bić na alarm. „Co nas czeka za 20–30 lat, gdy nasze dzieci dorosną?” – pyta specjalistka. Aż boję się odpowiadać na to pytanie, tym bardziej że nie dożyję tych czasów i nie będę w stanie porównać moich przypuszczeń z faktami.

Kultura fizyczna ma się fatalnie, sport wyczerpujący nie lepiej. Co się dzieje w futbolu, wszyscy wiedzą. W światowej czołówce są tylko Iga Świątek, żużlowcy, siatkarze i niektórzy lekkoatleci.

Przed nowym mini-strem sportu Sławomirem Nitrasem taki ogrom zadań, że nie wiem, czy on sam zdaje sobie z tego sprawę. Po objęciu stanowiska zapowiedział, że żadnej rewolucji nie będzie i że „dołoży wszelkich starań”.

Tymczasem po desygnowaniu Nitrasa na ministerialną funkcję najwięcej mówi się nie o konieczności odnowienia orlików, budowie sal gimnastycznych i pływalni, o konieczności skończenia patologicznego połączenia klubów i Polskiego Komitetu Olimpijskiego ze spółkami skarbu państwa, ale o jego wypowiedzi po wyjazdowym meczu Legii z Aston Villa w Birmingham.

Stwierdził, że „Żyłety” nie ma w Anglii, a brytyjska policja jest kompetentna na swoim terenie. Przypomniał też finał Pucharu Polski na Stadionie Narodowym, podczas którego kibice o mało nie

spalili obiektu. Czyli u nas nie wszystko jest w porządku. Polak w Anglii ma przestrzegać angielskiego prawa, podobnie jak Anglik w Polsce naszego. Co złego albo nieprawdziwego w takich opiniach?

Niesłuszne gry

W czasach mojej młodości sport jeszcze miał coś wspólnego z kulturą fizyczną. Co prawda lekcje wychowania fizycznego odbywały się zimą na korytarzach, bo w wielu szkołach brakowało sal gimnastycznych, ale wydaje mi się, że były dość bogate w ciekawe zajęcia, przynajmniej w tych szkołach, do których uczęszczałem. Zdaję sobie sprawę, że może idealizuję młode lata – to częste u ludzi w moim wieku – bo gdzieś czytałem, że gra w dwa ognie i w zbijaka, podstawowe punkty programu lekcji WF, z jakiegoś punktu widzenia były niesłuszne (już nie pamiętam, o co chodzi), ale faktem jest, że nie przypominam sobie wielu koleżanek i kolegów z nadwagą, a jeśli byli, od razu wyróżniali się wśród innych. Koledzy, którzy nie radzili sobie z kopaniem albo kozłowaniem piłki, nazywani byli łamagami i raczej nie odgrywali ważnych ról w grupach rówieśników.

Oczywiście idealnie nie było. W czasie gdy zaczynałem trenować piłkę ręczną, a miałem wówczas 12–13 lat, mój wzrost określano jako optymalny do tej gry. Byłem wystarczająco wysoki i sprawny. Driblasy nie nadawali się do gry, bo na szkolnych lekcjach nie nabrały koordynacji ruchowej. Dziś tacy zawodnicy jak ja nadawaliby się co najwyżej na pozycję skrzydłowego.

Piłki ręcznej nie wybierałem sam – wybrano za mnie. Po prostu szkoła, do której chodziłem, objęta była patronatem sekcji piłki ręcznej klubu Spójnia Warszawa. Innego patronatu nie było. Ja raczej myślałem, ku przerażeniu rodziców, o boksie.

Wyczynowe uprawianie sportu zaczynało się późno, w razie niepowodzenia można się było wycofać i nie wiązało się to z tragedią życiową. Dzisiaj każdy sportowiec trzyma się tej profesji pazurami, choćby mu przyszło grać w III lidze bez nadziei na awans, bo po prostu niczego innego nie umie.

Przed wszystkim zabawa

Stadiony i hale sportowe są coraz większe, coraz piękniejsze. Proszę spojrzeć na trybuny. Tam trwa nieustająca zabawa. Nie zawsze kulturalna, zwłaszcza jeśli chodzi o nasze obiekty piłkarskie. Mniejsza z awanturami, haniebnymi okrzykami i paleniem rac. Proszę zwrócić uwagę, że na wielu stadionach, nie tylko polskich, niektórzy kibice zwróceni są do areny plecami. To najlepszy dowód, że wydarzenia boiskowe ich nie interesują. Liczy się tylko zabawa i to, co się dzieje na trybunach. Zabawa już całkiem odrywa się od sportu.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nieźle bawili się kiedyś sportowcy. Uśmiech na ich twarzach nie był rzadkim zjawiskiem, pojawiającym się tylko po strzeleniu bramki lub odniesieniu innego sukcesu. Nieraz opowiadałem o kawałach, jakie robili sobie sportowcy, i o najgłośniejszym z nich: Władysław Komar podczas igrzysk olimpijskich w Monachium wykonywał próbne rzuty treningową, czyli lżejszą, kulą i osiągał rezultaty niedostępne dla innych nawet w marzeniach. Tak tym wszystkim podłamał psychicznie, że zdobył złoty medal już pierwszym pchnięciem.

Komar w ogóle był mistrzem żartu. Kiedyś przeprowadzałem wywiad w sali treningowej bokserów na warszawskiej AWF. Wpadł na chwilę Komar, rozejrzał się uważnie dookoła i głośno zauważył: „Wolę moją robotę. Trenuję na powietrzu i nikt mnie nie bije po mordzie”. Po czym natychmiast wyszedł. Niby nic, a wszyscy zaczęli się śmiać.

Alkoholizm utajony

My, dziennikarze sportowi, też dobrze się przy sporcie bawiliśmy. Wielokrotnie opisywałem w tym miejscu rozliczne i huczne alkoholowe biesiady.

Po przeczytaniu tych tekstów ktoś mógłby pomyśleć, że nasza praca polegała głównie na zaglądaniu do kieliszka. Oczywiście to nieprawda, choć faktycznie za minionego ustroju alkohol w dziennikarstwie (nie tylko sportowym) odgrywał istotną rolę.

W ogóle okres PRL był przesiąknięty substancją o charakterystycznym zapachu wypijaną pod postacią piwa, wina lub mocniejszych trunków. Niektóre źródła donoszą, że obyczaj te kulturywują obecnie władze PZPN z ich prezesem na czele. Zapominają, że to już nie PRL, lecz kapitalizm i obowiązują inne standardy.

Nie tylko picie alkoholu i wyczyny dokonywane pod jego wpływem były dla nas źródłem rozrywki. Można było sobie zażartować z tego,

ze swoim nałogiem. Nie wiem, jak to robi, ale w ogóle nie czuć od niego wódki”.

Po jakimś czasie spotkałem się na zawodach z Michałem Listkiewiczem. Tonem kogoś wtajemniczonego w ważny sekret poinformował mnie, że gdy Pac wrócił do Grand Hotelu w Sopocie, dyskretnie, ale starannie go obwąchał. Faktycznie, nie było czuć alkoholu, co tylko stanowiło potwierdzenie moich słów. Janusz Pac zyskał wówczas nieoficjalny przydomek utajonego alkoholika.

Marzenka na barykadzie

Gorszy żart zrobiliśmy Januszowi, wrabiając go w aferę seksualną, też przy okazji turnieju koszykarskiego w Sopocie. Mieliśmy wówczas w dziale stażystkę, studentkę dziennikarstwa pannę Marzenkę. Kierownik naszego działu Andrzej Lewandowski postanowił, że Januszowi towarzyszyć będzie Marzenka i pod jego światłym przewodnictwem nauczy się, jak pięknie oraz szybko pisać sprawozdanie z imprezy sportowej, a później przesyłać je do redakcji. Na pewno nie bez znaczenia był fakt, że Janusz jest człowiekiem wysokiej kultury i szarmanckim wobec pań.

Zanim para wysłanników udała się do Sopotu, poprosiliśmy na bok Marzenkę i ostrzeżliśmy ją, żeby uważała na Paca. Po zawodach zwykł on się upijać, a wówczas budzi się w nim drapieżnik seksualny. Nie dość, że rzuca się na kobiety, to je bije. Nie osiągnie satysfakcji, jeśli nie zobaczy krwi.

Po powrocie z Sopotu para naszych wysłanników dzieliła się swoimi wrażeniami, każde osobno. Janusz opowiadał o dziwnym zachowaniu stażystki. Wieczorem po pracy kulturalny i zawsze pykający fajkę mężczyzna postanowił elegancko się zachować i zaprosić ją na kolację do restauracji. Gdy zapukał do jej pokoju, nikt mu nie otworzył, usłyszał tylko rumor podsuwanego pod drzwi biurka. Najwyraźniej tworzona była barykada z mebli. Na wszelkie pytania nikt z pokoju nie odpowiadał.

Marzenka miała inną wersję tego wieczoru. Otóż o późnej godzinie Janusz zaczął się dobijać do jej pokoju. „Faktycznie” – dodała – „nawalony był jak stodoła”.



Rys. BARTŁOMIEJ BELINAK

że ktoś nie pił. W dziale sportowym „Trybuny Ludu” pracowałem z Januszem Pacem – był to znakomity kolega, ale niepijący. Podobnie jak Michał Listkiewicz, który zanim został międzynarodowym sędzią piłkarskim, a później działaczem najpierw polskiego, a później światowego formatu, jako szeregowy dziennikarz pracował w warszawskim oddziale katowickiego „Sportu”. Obaj pisali o koszykówce i obaj unikali pijaństw.

Swego czasu miałem nocny dyżur w drukarni, odbierałem wiadomości, czytałem je, poprawiałem, przygotowywałem technicznie i oddawałem do składu. Od Janusza Paca dostałem sprawozdanie z jakiegoś turnieju koszykarskiego rozgrywanego w Sopocie. Chciałem potwierdzić niejasny dla mnie szczegół, więc zatelefonowałem do słynnego soppockiego Grand Hotelu, w którym zatrzymali się dziennikarze. Janusz dzielił pokój z Michałem Listkiewiczem; obaj bardzo się lubili. Była późna pora, Michał poinformował mnie, że Janusz mimo niej poszedł na spacer nad Zatokę, „Słuchaj, Michał, tylko niech to absolutnie zostanie między nami” – poinformowałem go konfidencjonalnym tonem. „Pac to utajony alkoholik. On nie zaśnie, jeśli nie golnie ćwiartki. Tylko bardzo ukrywa się

Januszką, zawsze bardzo Cię lubiłem jako kolegę i ceniłem jako dziennikarza. Fakt, że po odejściu z działu sportowego „Trybuny Ludu” do „Sztandaru Młodych” ani razu do Ciebie nie zatelefonowałem, gorzej o mnie świadczy niż usilne robienie z Ciebie utajonego alkoholika albo drapieżnika seksualnego. Jedyne, co wiem od wspólnych znajomych, to że żyjesz na emeryturze i masz się dobrze.

A jeśli chodzi o Marzenkę, to nie została dziennikarką sportową. Wkrótce zaszła w ciążę z jakimś Skandynawem i postanowiła realizować się w roli matki samotnie wychowującej dziecko przy finansowym wsparciu zagranicznego ojca. Parę razy przyjechała pod redakcję pochwalić się kupioną jej przez Skandynawa w Peweksie srebrną toyotą. To są ostatnie wieści, jakie mam o Marzence.

Nie mówię, że marzą mi się czasy, w których alkohol lał się strumieniami, a ludzie – ja też – pili w pracy. Ale o uśmiech upominać się wolno i na sportowej arenie, i poza nią.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Andrzej Rozenek – zastępca redaktora naczelnego,
Edyta Baker, [Małgorzata Daniszewska], Idalia Dubicka,
Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński,
Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz,
Agnieszka Wolk-Laniewska, Marek Sanowski.

Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,

e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600

www.prenumerata.poczta-polska.pl
„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7⁰⁰–17⁰⁰. (koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zama-

wiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl
Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc.,
3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont.,
L4X 2E6 Kanada. Tel. (905) 624-4726.0

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–32 – 19.12.2023 r.



SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Wigilia zbliżała się wielkimi krokami stawianymi przez gwiazdora w paradnych buciorach. Pewnie Przyłębska przebiera już nogami, warząc te wszystkie zgodne z konstytucją barszcze, uszka, karpie, kutie i mace.

– Mace też? – zastanawiał się, leżąc w łóżku i, prawdę mówiąc, nie czekając na pierwszą gwiazdkę. No bo na co tu czekać? Prezentu, który sobie wymarzył, i tak już nie dostanie, bo zabrał mu go agent Tuszk. Zwędził jak złodziej. Jak jest „złodziej” po niemiecku?

Goście przy wigilijnym stole? Przyłębska z pierogami, może Mateusz z dekalogiem polskich spraw, najpewniej ochroniarze z siankiem, kot z myszą w zębach... Nihil novi.

Zadrżał na myśl, że mógłby przyjść Braun z gąśnią i przemówić ludzkim głosem.

Zawsze gdy budził się za wcześnie rano, miał zwyczaj szukać w myślach synonimów. Dziś weźmy „ojczyznę”. Patria, macierz, kolebka... „Tusk”? Drań, szalbierz, oszust, uzurpator, rudzielec, ryż, szwab, szkop, esesman, gestapowiec.

Zdał sobie sprawę, że ostatnie rzeczowniki wypowiedział na głos. Właściwie wykrzyczał. Czyli to wszystko, co o sobie słyszał, jest prawdą? To o szaleństwie, które go ogarnęło? O opętaniu?

– Nie – powiedział głośno i zdecydowanie. – Jestem zdrowy. Może trochę stary, może zmęczony, ale całkiem zdrowy. Na umyśle, bo jeśli chodzi o kolana, to...

Mówi sam do siebie?

Złapał się za głowę, bo wydawało mu się, że w hipokampie zaczyna słyszeć głosy. Konkretnie – piosenkę disco polo. „Przyniosę ci słonko, co świeci na niebie/ Każdą gwiazdeczkę oddam tylko dla ciebie...”

A co, jeśli umarł i to wszystko, co mu się wydaje, że się dzieje, dzieje się naprawdę, tylko w zaświatach? W niebie? A może to piekło? Poczekalnia? Przedpiekło? Zaraz pojawi się diabeł z widłami i zaciągnie go do kotła z wrzącą smołą?

Przyłożył palce do szyi, starając się poczuć tętno. Żyję – rzekł do siebie w myślach i odetchnął z ulgą.

...

Wigilia postanowiła nie przejmować się śpiącym Kaczyńskim. Niech śpi do południa albo i dłużej. Zdąży wstać przed pierwszą gwiazdką. W kapciach przywita się z Przyłębską, która w kretyńskich rogach renifera na głowie przyniesie mu jak zwykłe słoik śledzi w oleju i talerz gołąbków z kaszą i grzybami. On jak zwykle się skrzywi, bo nie znosi gołąbków. Ona jak zwykle spuści oczy i powie, że zapomniła.

Potem wpadnie na chwilę Mateusz z miną zbitego psa.

– Der Dieb – powie.

– Co? – zapyta Kaczyński.

– „Złodziej” po niemiecku. Wesołych świąt!

PRZEMYSŁAW CÍWKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA już jest gotowa do świąt. To znaczy kupiła prezenty. Kupować bardzo lubi. **JOANNA SENYSZYN** straciła zapał do kupowania, ale że nie gotuje, zamówiła różne pyszności.

Wołk-Łaniewska: – Bóg się rodzi?

Senyszyn: – Moc truchleje?

– To ja ciebie pytam.

– Czy bóg się rodzi? Nie.

– Ale czy tobie się rodzi? Znaczący, czy obchodzisz te urodziny...

– Co roku urządzam wigilię Wigilii, żeby odreligijnąć święta. Ale jako dziecko obchodziłam z wielką radością, bo przyjeżdżały obie siostry mamy z prezentami i dziećmi.

– W takiej kolejności?

– Prezenty były oczywiście najważniejsze, ale dzieci też chętnie przyjmowałam; byliśmy równolatkami i dobrze się razem bawiliśmy.

– Ja bym chyba nie lubiła, gdyby obce bachory zaludniały mój habitat, żarły moje słodycze z choinki i bawiły się moimi zabawkami.

– A ja lubiłam. Szaleliśmy od rana do nocy. Ze starszym o rok Januszem uprawialiśmy zapasy i kiedyś, żeby nie dać się położyć na łopatki, ugryzłam go w pierś. Ryczał jak ranny łos, a ślad po moich kłach został mu na całe życie.

– Taaaa. Kiedyś zaczęli mnie na ulicy facet, który powiedział, że chodziliśmy razem do podstawówki i ja na basenie zrzucałam go ze słupka, „o tu, zobacz, mam bliźnię”... Najwyraźniej obie byłyśmy uroczę za młodu. I gościnne.

– Po co ten sarkazm? Dom pełen ludzi był dla jedynaczki atrakcją.

– Tak sobie myślałam, że jesteś jedynaczką.

– Jak na to wpadłeś, drogi Watsonie?

– Jesteś tak samo rozbawiona jak ja.

– A babcia robiła ci pociągi z chleba?

– Słucham?

– Byłam niejadkiem. Żeby mnie skłonić do jedzenia, babcia wycinała z kanapek lokomotywę i małą wagonik, które pakowała mi do buzi, odwracając uwagę wierszykiem Tuwima...

ła, że chodzenie do kościoła szkodzi dziecku na zdrowie, i tak się zakończył mój związek z papizmem.

– Podobna mi się twoja matka.

– Wszystkim się podobała. Była prekursorką feminizmu, a los sprawił, że także wychodzenia z szafy i wolnych związków.

– W szafie go poznała?

– Nie w szafie, tylko jak wyszła z szafy, kiedy się okazało, że z wizytą przyszedł nie jej mąż, tylko inny facet.

– I co?

– Po dwóch dniach się jej oświadczył, a ja się urodziłam jakieś dziewięć miesięcy później. Kiedy wreszcie brali ślub, nikomu się nie przyznali, bo wszyscy byli przekonani, że już od dawna są małżeństwem. Pamiętaj, że to były lata czterdzieste. Wieki później matka mi powiedziała, że gdybym potrzebowała kiedyś daty ich ślubu, żebym nie brała tej z obrączek...

– Dlaczego?

– Bo na obrączkach wygrawerowali sobie dzień, kiedy pierwszy raz poszli do łóżka.

– Kocham twoją matkę po prostu.

– Była mistrzynią. A także mistrzem. Krawieckim.

– Umiała szyć?

– Szyć to ja umiem, a mama była bizneswoman, projektowała stroje, robiła rewie mody i prowadziła zakład krawiecki. Ludowa ojczyzna wymagała do tego papierów mistrzowskich, bo chciała mieć rzemieślników, a nie kapitalistów, więc mama musiała zdać egzamin, czyli uszyć sukienkę. Ponieważ nigdy tego nie robiła, kupiła dwa jednakowe kupony materiału, uzgodniła ze swoją pracownicą fason i udając, że coś dzierga, czekała, aż wraz z obiadem przyniosą jej gotową sukienkę ukrytą pod menażkami. Potem wystarczyło ją podmienić i odebrać gratulacje od komisji egzaminacyjnej. Do dziś mam legitymację mistrzowską mamy... A wracając do świąt: zauważyłaś, że ludzie nie są aż tak zapatrzeni w siebie, jak się to im przypisuje, skoro Boże Narodzenie obchodzą szumniej niż swoje urodziny, a Boże ciało darzą większym szacunkiem niż własne?

– A ty?

– Ja zdecydowanie wolę swoje.

– Urodziny czy ciało?

– Ponoć jestem jak Forsyte, typem posiadaczki, więc jedno i drugie.

– A kiedy masz?

– Ciało permanentnie. Urodziny 1 lutego.

– O, to już niedługo. Będzie balanga?

– Po pięćdziesiątce przeszłam na imieniny, więc w maju.

– W maju też obejdzimy.

– A na razie życzymy wszystkim wesołej wigilii Wigilii czy kto tam sobie co świętuje.

– Oraz wszystkiego najlepszego.

senyszyn@wp.pl
wolkaniewska@wp.pl



– Mnie nikt nie wycinał. Moja toruńska babcia była kochana, ale ciągle chora i umarła bardzo wcześnie, a warszawska była w ogóle nieszczególnie babciowa. Opierdoliła mnie, że zepsułam telewizor...

– A zepsułaś?

– 13 grudnia. Jak nie było teleranka. Poza tym była dewotką i zajmowała się głównie modleniem i narzekaniem.

– Moja też była dewotką i trochę despotką. Zmuszała mnie do pacierza i wlokła ze sobą do kościoła, a że był nieogrzewany, często wracałam przeziębiona. Na szczęście mama szybko zrobiła z tym porządek. Powiedzia-

Po wojnie przyjechała do Gdyni z pierwszym mężem, żeby się z nim rozwieść...

– A dlaczego akurat do Gdyni?

– Bo przed wojną była w Gdyni na wycieczce, zachwyciła się i uznała, że tylko tam chce mieszkać.

– I co, rozwiodła się?

– Miała z tym przeboje, bo mąż długo nie chciał jej dać rozwodu. Zamieszkała u wspólnych znajomych i kiedy przychodził z wizytą, chowała się przed nim w szafie. Właśnie tam poznała swojego ojca...

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 279



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI